

BIULETYN IPN

nr 12 (45)/2015

pamięć.pl



Szczecin '70: robotnicza rewolta

Komunistyczne czystki

Potulicka szkoła przetrwania



ISSN 2084-7319



Cena 6 zł (5% VAT)

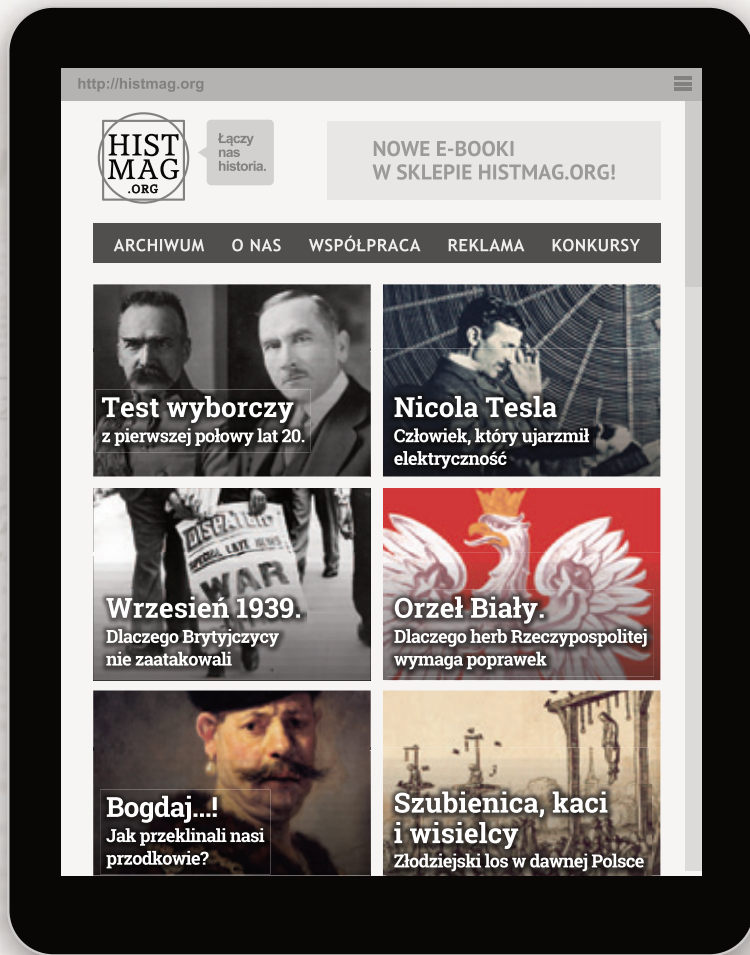
ISSN 2084-7319



numer indeksu 284521
nakład 11 500 egz.

Dodatek specjalny:
plyta z filmem *Próba generalna.*
Strajk w Wyższej Oficerskiej Szkole
Pożarniczej listopad–grudzień 1981





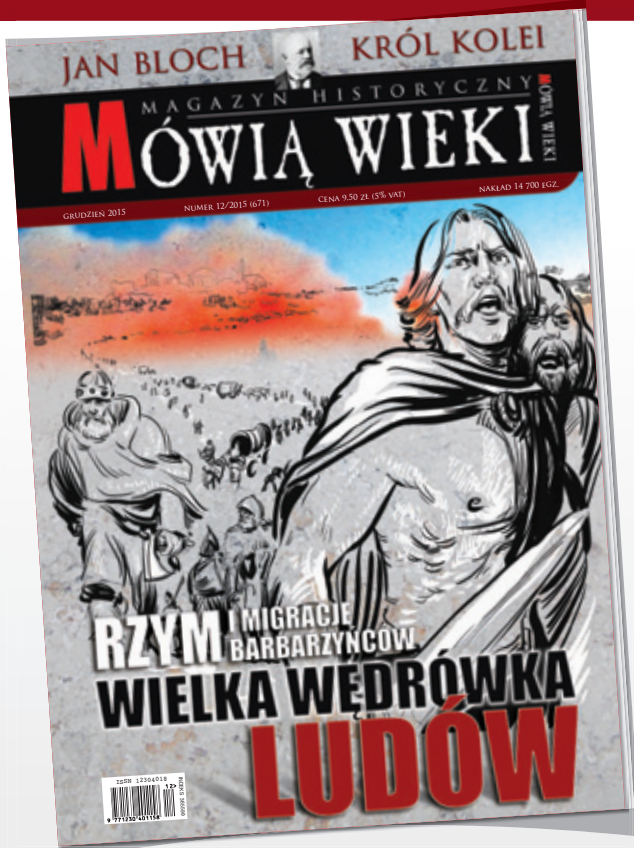
Najbardziej merytoryczny magazyn historyczny w Internecie

Histmag.org to najświeższe newsy, rzetelne artykuły popularnonaukowe, wnikliwe recenzje i zajmująca publicystyka. Wszystko co najlepsze w papierowych czasopismach, dzięki nam znajdziesz także online. Całkowicie za darmo!



Łączy nas historia!
www.histmag.org

MAGAZYN HISTORYCZNY „MÓWIĄ WIEKI”



Popularyzujemy historię od 57 lat!

TEMAT MIESIĄCA: **JAN BLOCH**
– **PRZEDSIĘBIORCA I FILANTROP**

- Jan Bloch – król polskich kolei
- Testament Jana Blocha
- Jan Bloch i pierwsza Pokojowa Nagroda Nobla

PONADTO:

- Wielka wędrówka ludów – migracje w V wieku n.e.
- Lisowczycy, Kozacy i postać z hymnu
- Rzeź pod Magnezją
- dodatek edukacyjny „Dziedzictwo dawnej Rzeczypospolitej” oraz recenzje i nowości historyczne

„Mówią wieki” można nabyć w salonach EMPiK, Kolportera, Garmonda, Inmedio oraz dobrych kioskach RUCH-u, wersja elektroniczna dostępna na stronie internetowej księgarni Bellony: ksiegarnia.bellona.pl. Zamów prenumeratę: kolportaz@bellona.pl

Zapraszamy także na nasze strony internetowe: www.mowiawieki.pl oraz www.facebook.com/mowiawieki



2 AKTUALNOŚCI IPN

4 KALENDARIUM

6 Z PIERWSZEJ STRONY

FELIETON

8 Krzysztof Gottesman, **Kara od niewdzięcznego Polaka**

STOP-KLATKA

10 Aneta Nisiobęcka, **Operacja „Uran”, cz. 2**

Z ARCHIWUM IPN

14 Grzegorz Wołk, **Nie było (prawie) żadnych ofiar!**

WYWIAD

16 **Szkoła przetrwania** – rozmowa z prof. Wojciechem Polakiem i dr Sylwią Galij-Skarbińską

WYDARZYŁO SIĘ W XX WIEKU

21 Jan A. Choroszy, **Przypadki mędrca z Karpat Wschodnich**

26 Krzysztof Tarka, **Do celu za „Kulturę”**

31 Robert Spalek, **Kropla w morzu terroru**

36 Michał Paziewski, **Szczecin 1970: pierwszy taki bunt**

43 Filip Gańczak, **Kociółkiem w Solidarność**

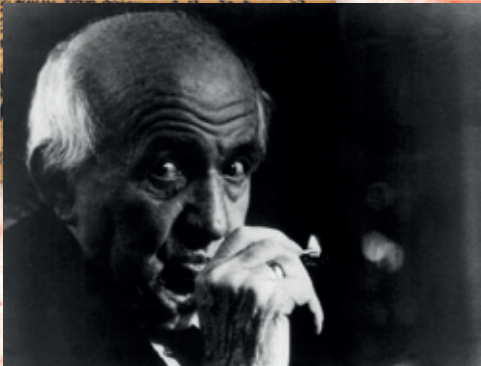
48 Grzegorz Majchrzak, **Goebbels stanu wojennego**



Fot. AIPN



Fot. ze zbiorów Stanisława Wisniewskiego



Fot. Claude Hubert/ze zbiorów Barbary Wander-Vincenz



Fot. PAP/CAF

Fot. Marek Czesnojc

Fot. Damazy Kwiatkowski/PAP

Fot. ze zbiorów MWP

Z DZIEJÓW OPOZYCJI I OPORU SPOŁECZNEGO

53 Kamil Dworaczek, **Na górskich szlakach**

PRAWDA CZASÓW, PRAWDA EKRANU

57 Jerzy Eisler, **Skarga**

Z BRONIĄ W RĘKĘ

60 Michał Mackiewicz, **Arsenał odrodzonej armii**

ORZEŁ BIAŁY

64 Piotr M. Zalewski, Tomasz Zawistowski, **Krzyż zamiast orła**

EDUKACJA HISTORYCZNA

68 Andrzej Brzozowski, **Sport a sprawa polska**

71 RECENZJE

73 BIBLIOTEKA IPN

Szanowni Czytelnicy!

Dopóki nie zaczną się święta Bożego Narodzenia, polski grudzień zazwyczaj wygląda dość ponuro. Śniegu jeszcze często nie ma, zimno, deszczowo, ciemno. „Sorry, taki mamy klimat” – ktoś mógłby powiedzieć, ale chyba chodzi tu także o aurę promieniującą z naszej przeszłości. Dwie „grudniowe noce” z 1970 i 1981 roku wryły się głęboko w polską historię. W tym numerze „Pamięci.pl” nie możemy o nich nie pamiętać.

Najtragiczniejszym akordem Grudnia '70 była masakra w Gdyni, ale przecież nie mniej dramatyczny przebieg miały zamieszki w innych miastach. Wydarzenia z okresu robotniczej rewolty w Szczecinie opisuje Michał Paziewski. Dekadę po tych „wypadkach” – jak eufemistycznie nazywała strzelaninę rządowa propaganda – nastąpiła jeszcze dłuższa noc – stan wojenny. Wśród tej nocy coraz donośniejszy był głos rzecznika prasowego rządu, Jerzego Urbana, który w tym czasie z jeszcze większą niż dotychczas gorliwością zbierał punkty w kategorii na najbardziej zniechęconą postać. Manipulacje, kalumnie, pospolite kłamstwa i bezczelność komunistycznego propagandzisty sprawiły, że zaczęto go porównywać z ministrem propagandy III Rzeszy, Josephem Goebbelsem. Działania Urbana opisuje Grzegorz Majchrzak.

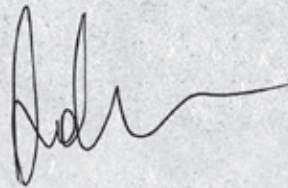
Z grudniowymi nocami kojarzy się jeszcze jedna postać – Stanisław Kociołek, pamiętany głównie ze swego tragicznego w skutkach apelu do gdyńskich robotników o powrót do pracy. Czasem pojawiają się opinie, że został on wprowadzony w błąd, że komunikat, który doprowadził do masakry, był rezultatem nieporozumienia. Nawet jeśli tak było, to Kociołek w żaden sposób nie może zostać zaliczony do pezetpeerowskich „gołębi”. Był jednym z tych aparatczyków, którzy opowiadali się za zdecydowanymi, siłowymi działaniami. Także po Grudniu '70, o czym pisze Filip Gańczak.

Grudniowe noce by nie przeminęły – i to we wszystkich demoludach – gdyby nie wytrwałe działanie opozycji demokratycznej i wymiana wzajemnych doświadczeń, a nierzadko też pomoc. O spotkaniach dysydentów na polsko-czechosłowackiej granicy przypomina w swoim artykule Kamil Dworaczek.

Od dawna się mówi, że każda rewolucja pożera własne dzieci. Robert Spalek analizuje w tym numerze charakterystyczną – można by wręcz rzec: immanentną – cechę komunizmu, a mianowicie cyklicznie odbywające się czystki. Nawet najwyżej postawieni dygnitarze i najbardziej zasłużeni towarzysze nie mogli być pewni dnia ani godziny. Szkoda, że ta machina autodestrukcji nie była skuteczniejsza.

Do numeru dołączyliśmy film dokumentalny *Próba generalna*, opowiadający o zdławieniu strajku w Wyższej Oficerskiej Szkole Pożarniczej – tuż przed wprowadzeniem stanu wojennego.

Redaktor naczelny
Andrzej Brzozowski



pamięć.pl

Wydawca: Instytut Pamięci Narodowej
– Komisja Ścigania Zbrodni
przeciwko Narodowi Polskiemu

Rada Programowa: dr hab. Adam Dziurok,
dr Krzysztof Kaczmarski, dr Maciej Korkuć,
dr Bartosz Kuświk,
dr Tomasz Łabuszewski,
dr Agnieszka Łuczak, dr Karol Nawrocki,
dr Sławomir Poleszak, dr Paweł Szulc,
dr Waldemar Wilczewski,
dr Andrzej Zawistowski (przewodniczący),
dr Joanna Żelazko

Rada Redakcyjna: Andrzej Czyżewski,
dr Dawid Golik, Krzysztof Gottesman,
dr Joanna Hytrek-Hryciuk,
Agnieszka Jaczyńska,
dr Konrad Rokicki,
dr Paweł Rokicki, dr Paweł Sasanka,
Michał Siedziako, Emilia Świętochowska,
dr Daniel Wicenty
Redakcja: Andrzej Brzozowski
(redaktor naczelny, tel. 22 581 87 98,
e-mail: andrzej.brzozowski@ipn.gov.pl)

Maciej Foks, Filip Gańczak,
Jakub Gołębiowski, Andrzej Sujka,
Karolina Wichowska
Sekretariat: Maria Wiśniewska
e-mail: maria.wisniewska@ipn.gov.pl
tel. 22 581 88 19
Korekta: dr Magdalena Baj
Projekt graficzny: Krzysztof Findziński,
Marcin Koc, Sylwia Szafrąńska
Skład i łamanie: Hubert Rabiński
Redakcja techniczna: Marcin Koc

Siedziba redakcji: ul. Postępu 18b,
Warszawa

Adres do korespondencji:
ul. Wołoska 7, 02-675 Warszawa
www.ipn.gov.pl

Druk: Toruńskie Zakłady Graficzne
„Zapolex” sp. z o.o.
ul. gen. Sowińskiego 2/4, 87-100 Toruń

Redakcja nie zwraca materiałów
niezamówionych i zastrzega sobie prawo
dokonywania zmian w nadesłanych tekstach.

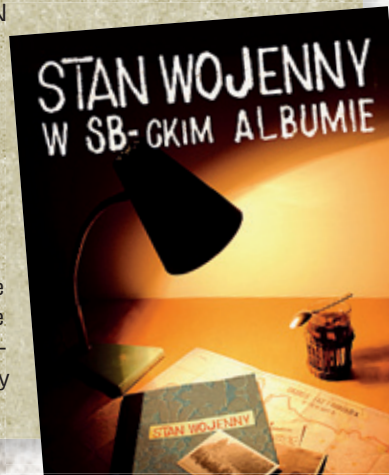
■ Do 17 stycznia **we Wrocławiu** (Stary Ratusz, Sala Mieszkańska) można zwiedzać **wystawę „Pojednanie/Versöhnung in progress... Kościół katolicki i relacje polsko-niemieckie po 1945 r.”**, której autorem jest dr Robert Żurek, dyrektor tamtejszego oddziału IPN.

Ekspozycja opowiada o roli Kościoła katolickiego w powojennym procesie pojednania między dwoma narodami, które wzajemne relacje budowały na morzu ruin i wzajemnej wrogości – skutkach II wojny światowej. Ten trudny proces, który wciąż nie może zostać uznany za zakończony, w czasach PRL i dwóch państw niemieckich był inicjowany oddolnie, wbrew władzom, a nawet wbrew większości społeczeństwa, dzięki odwadze i determinacji pojedynczych osób, często kierujących się wartościami chrześcijańskimi.

Wystawa jest polsko-niemieckim przedsięwzięciem, zrealizowanym przez Ośrodek „Pamięć i Przyszłość” oraz Maximilian-Kolbe-Stiftung przy wsparciu konferencji episkopatów Polski i Niemiec. Instytut Pamięci Narodowej jest partnerem ekspozycji.



■ Do końca grudnia w Centrum Edukacyjnym IPN im. Janusza Kurtyki „Przystanek Historia” (ul. Marszałkowska 21/25) w Warszawie można oglądać wystawę „Stan wojenny w SB-ckim albumie”, przygotowaną przez Oddziałowe Biuro Edukacji Publicznej IPN w Krakowie. Na szesnastu planszach zaprezentowano niepublikowane wcześniej zdjęcia operacyjne Służby Bezpieczeństwa, wykonane przez funkcjonariuszy w latach 1981–1983. Na czarno-białych fotografiach zobaczymy głównie manifestacje solidarnościowe, ale także m.in. gen. Wojciecha Jaruzelskiego, wizytującego koszarę ZOMO w Krakowie.



■ Znamy już laureatów ósmej edycji konkursu „Książka Historyczna Roku”. Uroczyste wręczenie nagród o łącznej wartości 60 tys. zł odbyło się 13 listopada w siedzibie Telewizji Polskiej w Warszawie.

W kategorii „Najlepsza książka naukowa poświęcona dziejom Polski i Polaków w XX wieku” jury wyróżniło pracę **Kazimierza Krajewskiego** z IPN *Na straconych posterunkach. Armia Krajowa na Kresach Wschodnich II Rzeczypospolitej 1939–1945*. Nagrodę czytelników w tej samej kategorii zdobyli **Maciej Gawlikowski** i **Mirosław Lewandowski** za publikację *No Future! Historia krakowskiej FMW*.

W kategorii „Najlepsza książka popularnonaukowa poświęcona historii Polski w XX wieku” jury doceniło pracę **Igora Jankego** *Twierdza. Solidarność Walcząca – podziemna armia*. W internetowym głosowaniu czytelników w tej samej kategorii zwyciężyła książka **Agaty Mirek** *Trudne lata. Wielkie dni. Zakony żeńskie w PRL*.

Organizatorami konkursu, któremu patronował prezydent RP, były: Instytut Pamięci Narodowej, Telewizja Polska i Polskie Radio. „Książki Historyczne Roku” zostały wybrane przez jury w składzie: prof. Adam Dobroński, prof. Antoni Dudek, prof. Piotr Franaszek, prof. Grzegorz Łukomski, prof. Andrzej Nowak i prof. Wojciech Roszkowski. Brano pod uwagę publikacje, które ukazały się w języku polskim po raz pierwszy między 1 stycznia 2014 a 30 czerwca 2015 roku.



Fot. Piotr Gajewski

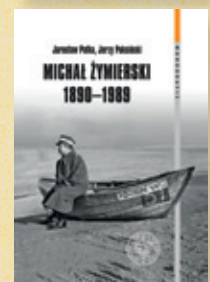
■ Poznaliśmy też zwycięzców trzeciego ogólnopolskiego konkursu „Audycja Historyczna Roku”. Uroczysta gala odbyła się 26 listopada w Centrum Wystawienniczo-Konferencyjnym Archidiecezji Białostockiej.

W kategorii „Wydarzenie” Grand Prix Prezesa Instytutu Pamięci Narodowej otrzymał **Marek Widarski** za film dokumentalny *Powstanie i medycyna. Chcieliśmy żyć*. W kategorii „Losy” nagrodę im. Prezydenta Ryszarda Kaczorowskiego zdobył **Mirosław Rogalski**, autor dokumentu *Krystyny Kuty 25 lat wolności*. Nagrodę Dyrektora Oddziału IPN w Białymstoku w kategorii „Historia regionalna” otrzymała **Agnieszka Czarkowska** za audycję *Rozstrzelany zegarek*.

Wyróżnienie za specjalne wartości poznawcze zdobyła audycja *Tam gdzie nie kwitną jabłonie* **Eugeniusza Szpakowskiego**. Dodatkowo – zgodnie z rekomendacją jury – dyrektor Oddziału IPN w Katowicach przyznał wyróżnienie specjalne filmowi *Tragedia Górnoląska 1945* **Aleksandry Fudali** i **Adama Turuli**, a dyrektor Oddziału IPN w Poznaniu – audycji *Sprawa Suwarta* **Piotra Świątkowskiego**. W jury konkursu zasiadli: Arkadiusz Gołębiwski, dr Dariusz Iwaneczko, red. Janina Jankowska (przewodnicząca), dr Paweł Skubisz i dr Andrzej Zawistowski. Zwycięskie audycje można znaleźć na portalu Pamięć.pl.

■ Również 26 listopada, podczas uroczystego otwarcia XXIV Targów Książki Historycznej, w Sali Wielkiej Zamku Królewskiego w Warszawie zostały wręczone **Nagrody KLIO**, przyznawane przez Porozumienie Wydawców Książki Historycznej. Wśród tegorocznych laureatów są autorzy publikacji wydanych przez Instytut Pamięci Narodowej, w tym pracownicy IPN.

W kategorii monografii naukowych Nagrodę II stopnia odebrał **Robert Spalek** z Oddziałowego Biura Edukacji Publicznej IPN w Warszawie za książkę *Komuniści przeciwko komunistom. Poszukiwanie wroga wewnątrznej w kierownictwie partii komunistycznej w Polsce w latach 1948–1956* (wyd. IPN, Zysk i S-ka). W tej samej kategorii Nagrodę III stopnia otrzymali **Jarosław Pałka** i pośmiertnie **Jerzy Poksiński** za biografię *Michał Żymierski 1890–1989* (wyd. IPN). Laureatem jednej z pięciu równorzędnych nagród w kategorii varsaviana został **Patryk Pleskot** ze stołecznego OBEP IPN za książkę *Miasto śmierci. Pytania o morderstwa polityczne popełnione w Warszawie (1956–1989)* (wyd. IPN).



POSTAĆ MIESIĄCA

10 grudnia 1980: Czesław Miłosz odebrał literacką Nagrodę Nobla.

Urodził się w Szetejniach na terenie dzisiejszej Litwy. Ukończył prawo na Uniwersytecie Stefana Batorego w Wilnie. W latach trzydziestych należał do grupy poetyckiej Żagary i pracował w rozgłośni wileńskiej Polskiego Radia. Po wybuchu II wojny światowej dotarł do Rumunii, ale na początku 1940 roku wrócił do Wilna – przekazanego przez ZSRR Litwie – i przyjął obywatelstwo litewskie. Kilka miesięcy później, po włączeniu Litwy do Związku Radzieckiego, przeniósł się do okupowanej przez Niemców Warszawy. Uczestniczył w podziemnym życiu literackim, był jednak przeciwny udziałowi twórców w walce zbrojnej. W trakcie Powstania Warszawskiego opuścił miasto. Po wojnie służył w dyplomacji komunistycznej Polski – m.in. na placówkach w Waszyngtonie i Paryżu. W 1951 roku poprosił o azyl polityczny we Francji. „Przeciąłem moje związki z polską demokracją ludową i stałem się emigrantem [...]. Zrobiłem to w chwili, kiedy naśladowanie wzorów sowieckich stało się w Polsce obowiązujące dla pisarzy” – tłumaczył na łamach „Kultury”. Część polskiej emigracji długo nie mogła mu zapomnieć flirtu z komunizmem i krytycznego stosunku do tradycji katolicko-narodowej. Pomocną dłoń



▶ Czesław Miłosz (1911–2004)

Fot.: Jerzy Szot/ze zbiorów Ośrodku KARTA

do poety wyciągnął jednak Jerzy Giedroyc. W 1953 roku w podparyskim Instytucie Literackim Giedroycia ukazała się głośna książka Miłosza *Zniewolony umysł* o mechanizmach oddziaływania komunizmu na intelektualistów. Od 1960 roku Miłosz mieszkał w USA. Wykładał literaturę słowiańską na Uniwersytecie Kalifornijskim w Berkeley i na Harvardzie. Tworzył poezję i tłumaczył na język polski dzieła anglojęzyczne (m.in. Szekspira). W PRL – uznany za zdradcę – nie był drukowany. Do 1980 roku zapis cenzorski zakazywał nawet wymieniania jego nazwiska. Książki Miłosza były za to drukowane w drugim obiegu i przemycane z zagranicy. Stały się natchnieniem dla rozwijającej się opozycji demokratycznej. Stosunek władz PRL i środowiska emigracyjnego do Miłosza zaczął się powoli zmieniać, kiedy otrzymał Nagrodę Nobla za całokształt twórczości. W czerwcu 1981 roku poeta przyjechał do Polski i spotkał się m.in. z liderami Solidarności. W 1993 roku, kilka lat po przemianach demokratycznych w kraju, zamieszkał w Krakowie. Otrzymał honorowe obywatelstwo tego miasta, a rok później został odznaczony przez prezydenta Lecha Wałęsę Orderem Orła Białego. W 2004 roku spoczął w Krypcie Zasłużonych na krakowskiej Skalce.

5 grudnia 1975: Kilkudziesięciu intelektualistów wystosowało list przeciwko zmianom w konstytucji PRL.

Chodziło o zapowiadane zapisy o kierowniczej roli Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, o nierozwalności więzów łączących Polskę ze Związkiem Radzieckim i o zależności między wykonywaniem obowiązków wobec państwa a korzystaniem z praw obywatelskich. Projekty władz wywołały otwarty sprzeciw – pierwszy tak poważny protest w PRL po demonstracjach i strajkach z przełomu 1970 i 1971 roku. Negatywnie do planowanych zmian odnieśli się m.in. przedstawiciele świata kultury, episkopat i środowiska katolickie. W sumie zbiorowe i indywidualne listy do władz podpisało kilka tysięcy osób. Najstojniejszy – także dzięki nagłośnieniu na Zachodzie – stał się list 59 (później 65) intelektualistów, złożony w kancelarii sejmu przez prof. Edwarda Lipińskiego. Ideę listu wysunął mec. Jan Olszewski w trakcie jednego ze spotkań opozycji. Tekst zredagował razem z Jakubem Karpińskim i Jackiem Kuroniem. Edward Gierek, I sekretarz KC PZPR, nazwał sygnatariuszy „zaciętrzewionymi antykomunistami, ślepymi politycznie”. Spotkały ich szykany: zakaz wyjazdów zagranicznych, publikowania czy występowania w mediach państwowych. 10 lutego 1976 roku **sejm PRL i tak uchwalił zmiany w konstytucji**, choć część zapisów złagodzone, a z połączenia praw i obowiązków obywateli zrezygnowano.



▶ Willy Brandt i Józef Cyrankiewicz

Fot.: Zbigniew Matuszewski/PAP

7 grudnia 1970: PRL i RFN zawarły układ o normalizacji wzajemnych stosunków.

Latem 1945 roku, podczas konferencji w Poczdamie, wielkie mocarstwa przyznały Polsce – kosztem Niemiec – tereny do linii rzek Odry i Nysy Łużyckiej. Definitywne potwierdzenie granicy polsko-niemieckiej odłożono jednak do czasu przyszłej konferencji pokojowej. Władze Republiki Federalnej Niemiec długo liczyły na rewizję ustaleń poczdamskich. Nową politykę wschodnią – nastawioną na normalizację stosunków z ZSRR i jego sojusznikami – zainicjował dopiero na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych kanclerz Willy Brandt. W sierpniu 1970 roku Brandt podpisał w Moskwie układ ze Związkiem Radzieckim, a w grudniu w Warszawie – z PRL. Obie strony potwierdziły „nienaruszalność ich istniejących granic, teraz i w przyszłości”, oraz oświadczyły, że nie mają względem siebie żadnych roszczeń terytorialnych. Dla rządzącej wówczas w PRL ekipy Władysława Gomułki był to niewątpliwie sukces. Władze uznały, że jest to najlepszy moment, by przeprowadzić odkładaną od dawna podwyżkę cen. Doprowadziła ona jeszcze w tym samym miesiącu do gwałtownych protestów na Wybrzeżu, krwawo stłumionych z udziałem wojska.



10 grudnia 1980: Przy Krajowej Komisji Porozumiewawczej NSZZ „Solidarność” powstał Komitet Obrony Więzionych za Przekonania.

31 sierpnia 1980 roku, podpisując w Gdańsku porozumienie ze strajkującymi robotnikami, rząd PRL zadeklarował „pełne przestrzeganie swobody wyrażania przekonań”. Szybko jednak stało się jasne, że władze nadal wtrącają przeciwników politycznych do więzień. Już 23 września aresztowano Leszka Moczulskiego, lidera Konfederacji Polski Niepodległej, a w kolejnych tygodniach zatrzymano innych działaczy KPN. Kierownictwo NSZZ „Solidarność” zareagowało wstrzeźliwie, nie chcąc narażać się władzom na propagandowe oskarżenia o wspieranie „ekstremistów”. W końcu jednak KKP podjęła uchwałę o powołaniu Komitetu Więzionych za Przekonania. „Nie chcemy [...] ingerować w uprawnienia prokuratury. Jesteśmy jednak przekonani, że jest rzeczą niedopuszczalną więzienie ludzi za wyznawane przez nich poglądy. Nie można zaakceptować więzienia jako metody prowadzenia [...] walki politycznej” – czytamy w dokumencie. W skład komitetu weszło kilkadziesiąt osób, w tym znani intelektualści i artyści oraz działacze związkowi. Po Nowym Roku zaczęły powstawać regionalne, a nawet zakładowe i uczelniane komitety obrony więzionych za przekonania. W ich tworzenie mocno zaangażowała się Maria Moczulska, żona lidera KPN. Drukowano i kolportowano ulotki, organizowano marsze i protesty głodowe. Działacze komitetów bywali zastraszani i represjonowani. By temu zapobiec, I Krajowy Zjazd Delegatów NSZZ „Solidarność” przyjął uchwałę o uznaniu komitetów za agendy związku. Ich działalność przerwało wprowadzenie 13 grudnia 1981 roku stanu wojennego.



Fot. AIPN

► Marszałek Edward Śmigły-Rydz

15 grudnia 1940: Marszałek Edward Śmigły-Rydz zbiegł z rumuńskiego miejsca internowania w Dragoslavele. Śmigły-Rydz, Naczelny Wódz w wojnie obronnej 1939 roku, krótko po północy 18 września przekroczył granicę polsko-rumuńską. Liczył, że dotrze do sojuszniczej Francji i tam będzie mógł organizować dalszą walkę z Niemcami. Został jednak internowany przez Rumunów. Wkrótce stracił stanowiska i wpływy, a przeciwnicy polityczni bez pardonu obarczali go – po części słusznie – winą za klęskę wrześniową. Na Śmigłego wciąż jednak liczyli

bliscy mu piłsudzczy, tacy jak Julian Piasecki, pracujący nad stworzeniem tajnej organizacji polityczno-wojskowej. Marzyło im się uzyskanie dominującej pozycji w obrębie polskiej konspiracji niepodległościowej. Dla marszałka była to zarazem szansa na zrehabilitowanie się w oczach rodaków. Z pomocą współpracowników potajemnie przedostał się na Węgry, a pod koniec października 1941 roku – do okupowanej Polski. Zamieszkał w Warszawie, nie zdołał jednak odegrać żadnej roli w podziemiu. Oficjalnie przyjęta wersja wydarzeń głosi, że przeżył atak serca, zmarł 2 grudnia 1941 roku i został pochowany jako Adam Zawisza. Teza publicysty Dariusza Baliżewskiego, że Śmigły żył kilka miesięcy dłużej i zginął w innych okolicznościach, nie znalazła potwierdzenia w dostępnych źródłach.

21 grudnia 1950: Tadeusz Cieśla, kurier 2. Korpusu Polskiego, został skazany na karę śmierci przez Wojskowy Sąd Rejonowy w Warszawie.

We wrześniu 1939 roku dwudziestoletni Cieśla walczył w szeregach 38. Pułku Piechoty Strzelców Lwowskich. W maju następnego roku podjął nieudaną próbę przedostania się do Francji – do odtwarzanego tam Wojska Polskiego. Zatrzymany na granicy z Węgry, trafił do więzienia z Tarnowie, a następnie do KL Auschwitz. Działal w obozowej konspiracji. Jesienią 1944 roku został przeniesiony do obozu Leitmeritz (dziś: Litomierzycze) w Sudetach. Zdołał zbiec i wrócić do Polski. We wrześniu 1945 roku dotarł do Włoch – do 2. Korpusu gen. Władysława Andersa. W kolejnych latach przeprowadził na Zachód osoby zagrożone aresztowaniem przez UB, żołnierzy AK i rodziny oficerów 2. Korpusu. Zatrzymywany przez czechosłowacką bezpiekę lub Wojska Ochrony Pogranicza, kilkakrotnie uciekał. W listopadzie 1949 roku został ujęty przy kolejnej próbie przekroczenia polskiej granicy. Trafił do aresztu Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego w Warszawie, został oskarżony o szpiegostwo i poddany długiemu śledztwu. Na karę śmierci skazał go sąd pod przewodnictwem dyspozycyjnego wobec komunistów mjr. Mieczysława Widaja. 9 lipca 1952 roku Tadeusz Cieśla został stracony i pogrzebany w anonimowej mogile (za działalność antykomunistyczną zapłacił życiem również jego młodszy brat – Edward Cieśla „Zabawa”). Dopiero 26 stycznia 1996 roku Sąd Warszawskiego Okręgu Wojskowego unieważnił zbrodniczy wyrok skazujący.



Fot. AIPN

► Tadeusz Cieśla (1919–1952)

22 grudnia 1990: Prezydent RP na Uchodźstwie Ryszard Kaczorowski przekazał insygnia władzy Lechowi Wałęsie.

Przemiany ustrojowe zachodzące w Polsce od 1989 roku sprawiły, że wyczerpała się misja emigracyjnych władz RP. Co prawda, w kraju wciąż stacjonowały wojska sowieckie i działał parlament wyłoniony w wyborach kontraktowych; po wolnych wyborach prezydenckich, przeprowadzonych w Polsce jesienią 1990 roku, na uchodźstwie zwyciężyli jednak zwolennicy uznania władz krajowych. 22 grudnia 1990 roku Lech Wałęsa złożył przysięgę przed Zgromadzeniem Narodowym. „Staję przed wami jako pierwszy prezydent Polski wybrany bezpośrednio przez cały naród. Z tą chwilą zaczyna się [...] III Rzeczpospolita Polska” – powiedział w przemówieniu inauguracyjnym. Uroczystość przekazania insygniów prezydenckich odbyła się kilka godzin później na Zamku Królewskim w Warszawie. Lech Wałęsa otrzymał od Ryszarda Kaczorowskiego pieczęcie prezydenta RP, Chorągiew Rzeczypospolitej oraz dokumenty państwowe, w tym oryginał konstytucji z 1935 roku. W ten sposób została podkreślona symboliczna ciągłość między II a III Rzeczpospolitą Polską.



Fot. Ireneusz Radkiewicz/PAP

PRZE KRÓJ

Dziś 16 stron, Dodatek: WIDOKRAG 8 str., Cena 15 groszy

SŁOWO POMORSKIE

Dziennik i Gazeta Turuliska.

Wydawca: Władysław Górecki, ul. Długa 10, Turuliska. Redaktor naczelny: Władysław Górecki. Redaktor: Władysław Górecki. Drukarnia: Drukarnia Turuliska.

6 grudnia 1925 roku

Za traktat lokarneński (podpisany definitywnie w Londynie 1 grudnia 1925 roku) jego główni architekci, ministrowie spraw zagranicznych Niemiec – Gustav Stresemann, Francji – Aristide Briand oraz Wielkiej Brytanii – Austen Chamberlain, otrzymali pokojową Nagrodę Nobla. Wprowadzenie traktatu ten gwarantował nienaruszalność granicy niemiecko-belgijskiej i niemiecko-francuskiej, ale jednocześnie Niemcy odmówili analogicznych gwarancji w stosunku do Czechosłowacji i Polski, co nie wróżyło niczego dobrego.

Dzisiaj możemy podziwiać przenikliwość autora artykułu *Nowa era polityczna...*, opublikowanego w endeckim „Słowie Pomorskim” 6 grudnia 1925 roku. Publicysta odniósł się krytycznie do „pokojowych zachwyków” środowisk politycznych w krajach zachodnich, ale i niektórych w Polsce. Pisał on m.in.: „Zjazdy w Locarno i w Londynie przysły jako następstwo rządów lewicowego kartelu we Francji i socjalistów [...] w Anglii. Kiedy we Francji i Anglii odnieśli zwycięstwo wyborcze lewicowi, socjalistyczni radykałowie, wtedy w Niemczech wybuchła nieopisana radość”. I dalej: „Dzisiaj Niemcy mówią o »nowej erze politycznej«, która się dla nich zaczęła w Locarno i w Londynie. Nazwano ostatnie uroczystości w Londynie »świętem pojednania«. [...] »Pojednanie« potrzebne było przede wszystkim dla Niemiec. Trudności są tam olbrzymie. Niemcy starannie ukrywają swoje niedomagania przed oczami świata. [...] Trudności te objawiają się nie tylko w rosnącej liczbie bezrobotnych, która doszła do wysokości 500.000, ale także w coraz liczniejszych bankructwach. [...] Niemcy potrzebują około 10 miliardów marek na ratowanie zagrożonych przedsiębiorstw. Muszą zatem wdziać na siebie niewinną, owczą skórę i udawać miłośników pokoju, ażeby otrzymać w Anglii i w Ameryce kredyty”.

Autor artykułu zastanawiał się też, jaka będzie po Locarno niemiecka polityka wschodnia. „Niemcy muszą mieć wiele pieniędzy, ażeby móc zasilać kredytami Niemców w Polsce, w Czechach i w Rosji... Przecież to już dzisiaj widzimy, jak pieniądze niemieckie przez Holandję, Anglię i Gdańsk wpływają do Polski (zwłaszcza na Pomorze) w postaci kredytów rolnych i przemysłowych. Zamiarem Niemiec jest bowiem najpierw pokojowe opanowanie gospodarcze utraconych ziem, ażeby w ten sposób przygotować sobie i ułatwić zbrojny zabór”. Schyłek lat trzydziestych potwierdził niestety trafność tej prognozy.

9-15 grudnia 1945 roku

„Jeśli dla każdego dzisiaj jest jasnym, że postępowanie Niemców w czasie obecnej okupacji Polski, czy innych krajów, było do tego stopnia inne, do tego stopnia bardziej nieludzkie, niż w czasach analogicznych okupacji z poprzedniej wojny, to wytłumaczenie leży w jednym jedynym powodzie, a jest nim: systematyczne kultywowanie antysemityzmu wśród Niemców, celowe wychowywanie swego społeczeństwa na hasła antysemitckim” – przekonywał na łamach „Przekroju” (nr 35) Olgierd Górka, major dyplomowany kawalerii, dyplomata, historyk i publicysta.

„Antysemityzm mianowicie apeluje [...] do tych stron ujemnych, do tych tendencji nieetycznych, które istnieją w duszy człowieka. Wychowanie społeczne lub religijne narodów demokratycznych osłabia te tendencje czy inklinacje negatywne, natomiast hitleryzm agitacją antysemitcką rozwija, wzmacnia te strony charakteru ludzkiego, co więcej, podnosi je na piedestał zalety czy cnoty narodowej” – czytamy w artykule *Najgorsze strony antysemityzmu*.

Autor pokusił się o tezę, „że jeśli Niemcy kultywowali swój antysemityzm wśród innych, to mieli w tym swój cel polityczny”, gdyż „szczepienie i szerzenie antysemityzmu niesłychanie osłabia i rozsadza siłę moralną danego narodu i jego zdolność oporu”. Zdaniem Górki, tej perfidnej metodzie ulegli np. Rumuni, a w pewnym stopniu – także Węgrzy czy Włosi.

„W chwili zaś obecnej ze spokojem i poczuciem prawdy możemy już stwierdzić, że w [...] społeczeństwie [...] polskim coraz bardziej uwidacznia się zwycięstwo tej zdrowej myśli, że walcząc z antysemityzmem, walczymy nie tyle o Żydów i ich prawa, ile przede wszystkim o własne zdrowie i siłę polityczną polskiego narodu” – dowodził publicysta. Górka twierdził wprawdzie, że w pierwszych dekadach XX wieku także wśród Polaków narastały „zaborczy nacjonalizm i szowinizm”, ale w trakcie II wojny światowej do „klęski antysemityzmu w duszy polskiej” skutecznie przyczynił się wstrząs moralny, „którego doznał naród polski na widok milionów Żydów mordowanych na ziemiach polskich”.

Autorowi tych słów nie było dane dożyć ponurych lat 1967-1968, gdy władze komunistyczne – popierając państwa arabskie w konflikcie z Izraelem – rozpięły w Polsce brutalną nagonkę antysemitcką.

OLGIERD GÓRKA

Najgorsze strony ANTYSEMITYZMU

Dla Hitlera i nazizmu hasło antysemityzmu okazało się znakomitą, wyjątkowo skuteczną i skutecznym środkiem moralnej deprawacji charakteru masy niemieckiej. Okazało się świętą bronią i to bronią używaną z pełną świadomością jej skuteczności. Celem bowiem Hitlera i nazizmu, jasno i otwarcie postawionym było przerobienie narodu niemieckiego na bezwzględnie brutalny, kwiłoterzyczny i zbrojny element do opanowania Europy i świata, a to kosztem przekreślenia

zabwili nas tej powszechnej sympatii, jaką mieliśmy w wieku XIX. Niestety, by zamazać tak nawiasowo, nie zdaje sobie sprawy do tychczas z tego swegoż opinii świata o nas własna szeroka opinia narodu polskiego. Polska XX wieku straciła w opinii światowej wiele z tego nimbów postępu i liberalizmu Polaków, który otaczał ją w wieku XIX, a to na skutek zrzęgu przja-

ntysemityzmu u obcych było dla nazizmu wykonywaniem jakiejś misji ideologicznej w świecie, to musielibyśmy dojść do stwierdzenia, że hitlerowski Niemcy, uwielbiając element żydowski za największe zło dla danego narodu, pomagała, a nawet zmuszają Polaków do oczyszczenia się z wszelkiego kontaktu z tym elementem, właśnie takim traktowaniem ich aby i izra-

wiem antysemityzmu nie są decydujące, czy też pierwowzrostowe takie czy inne, szlachne lub nieszlachetne zarzuty pod adresem Żydów, ich roli i sytuacji. Są to szczegóły, które z całą humanitarnością i powściągliwością regulować wiek XIX, bądź co bądź jako cokolwiek daleki od tych objawów barbarzyństwa młodego, które widzieliśmy na kontynencie europejskim wieku XX-go.

Z tego powodu jest obowiązkiem każdego intelektualnie wyrobionego patriotę polskiego przekonanie swego ogółu rodaków, że

Nr. 284

Nowa era polityczna...

(Lewicowy kartel francuski. — Mac Donald w radzie. — Wytchnienie na zachodzie. — Wzmocnienie „pracy” na zachodzie. — Bankructwa w Niemczech.)

Zjazdy w Locarno i w Londynie przysły jako następstwo rządów lewicowego kartelu we Francji i socjalistów w Anglii. Kiedy we Francji i Anglii odnieśli zwycięstwo wyborcze lewicowi, socjalistyczni radykałowie, wtedy w Niemczech wybuchła nieopisana radość. Dzisiaj Niemcy mówią o »nowej erze politycznej«, która się dla nich zaczęła w Locarno i w Londynie. Nazwano ostatnie uroczystości w Londynie »świętem pojednania«. »Pojednanie« potrzebne było przede wszystkim dla Niemiec. Trudności są tam olbrzymie. Niemcy starannie ukrywają swoje niedomagania przed oczami świata. Trudności te objawiają się nie tylko w rosnącej liczbie bezrobotnych, która doszła do wysokości 500.000, ale także w coraz liczniejszych bankructwach. Niemcy potrzebują około 10 miliardów marek na ratowanie zagrożonych przedsiębiorstw. Muszą zatem wdziać na siebie niewinną, owczą skórę i udawać miłośników pokoju, ażeby otrzymać w Anglii i w Ameryce kredyty.

WARSZAWA – MIĘDZY VI a VII ZJAZDEM

Powojenne trzydziestolecie Warszawy, to dalekie heroiczne trudu mieszkańców stolicy najpierw przy usuwaniu ruin i potem przy odbudowie, a

dowy pojedynczych obiektów, traktujemy je jako zjawiska zwyczajne. Po prostu przyzwyczajiliśmy się do ciągłych zmian w pejzażu naszego miasta.

Sentimentalny obraz pracobudowlanych

innych poprawione nawierzchnie. W ostatnich tygodniach otwarto dla ruchu dwupojazdowy węzeł drogowy u zbiegu ulic Wolskiej, Kasprzaka i Beduowej. Szybkiej i wygodniej jedziemy po alei Sobieskiego. Przed Świętym Łipskim otwarto został węzeł komunikacyjny w rejonie ulicy M. Iłłkiewicza i Stalingradzkiej. No czasem wiadukt stanowi fragment przyszytej Trasy Torajskiej. Nie wszyscy zdążyliśmy przyzwyczać do estakady Alejami Jerozolimskimi, w syc chętnie korzystamy z bezpiecznych podziemnych przejść dla pieszych. Wrosła już na reze w warszawski pejzaż pi Trasa Łazienkowska, wrosła panoramę Śródmieścia kształtna bryła Dworca Centralnego a ciał jeszcze przed trzema

Ku Teatr Powszechny, utworzono Teatr Mały, na Targówku działa teatr muzyczny-Rzymski, rozbudowano Bibliotekę Główną przy ul. Koszykowej.

Spotrzeć wielu inicjatyw kulturalnych podjętych w ostatnim okresie

STOLICA

7 grudnia 1975 roku

VII zjazd Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej to okładowy temat Warszawskiego Tygodnika Ilustrowanego „**Stolica**” z 7 grudnia 1975 roku. W artykule *Warszawa – między VI a VII Zjazdem* redakcja podsumowała warszawskie inwestycje mijającego pięciolecia. „Główne arterie wylotowe są już dziś szerokie i wielopasmowe. Wybudowano kilkadziesiąt nowych ulic, na kilkudziesięciu innych poprawiono nawierzchnię. [...] Nie wszyscy zdążyliśmy się przyzwyczaić do estakady nad Alejami Jerozolimskimi, wszyscy chętnie korzystamy z bezpiecznych podziemnych przejść dla pieszych”. Co do tych ostatnich, wątpliwe, czy ów entuzjizm dzielili rodzice pchający wózki z dziećmi, starszycy o kulach czy niepełnosprawni na wózkach inwalidzkich – to, co w połowie lat siedemdziesiątych jawiło się jako nowoczesne rozwiązanie, dziś jest powszechnie krytykowane jako przestrzeń skrajnie nieprzyjazna pieszym.

Ukoronowaniem inwestycji wymienianych w „**Stolicy**” był Dworzec Centralny, oddany do użytku 5 grudnia, trzy dni przed rozpoczęciem VII zjazdu PZPR, a 33 miesiące przed planowanym terminem. „Wrosła już na dobre w warszawski pejzaż piękna Trasa Łazienkowska, wrosła w panoramę Śródmieścia kształtna bryła Dworca Centralnego, a przecież jeszcze przed trzema laty stał w tym miejscu drewniany barak, szpecący centralny fragment miasta”. Zapewne z powodu cyklu wydawniczego redakcja nie zdążyła zamieścić relacji z otwarcia dworca – krótka notka, ograniczona w zasadzie do wyliczanki oficjeli asystujących przy przecinaniu wstęgi, pojawiła się tydzień później. Nie wymieniono w niej nawet nazwisk projektantów obiektu, Arseniusza Romanowicza i Piotra Szymaniaka. Znaczenie otwarcia dworca – jak czytamy, „godnego każdej europejskiej stolicy” – w numerze z 7 grudnia zaakcentowano, publikując duże zdjęcia tegoż, opatrzone podpisem „Warszawa Centralna oczekuje delegatów na VII Zjazd Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej”.

Tymczasem w tekście o inwestycjach pięciolecia podano, że w 1975 roku w tzw. czynach społecznych – także związanych z budową dworca – wzięło udział prawie milion warszawiaków. „Wszystko to działo się pod kierownictwem warszawskiej organizacji partyjnej. [...] Gospodarze stolicy właściwie wykorzystali szansę wszechstronnego i szybkiego rozwoju miasta, jaką stworzyły Biuro Polityczne KC PZPR i rząd, podejmując plan rozwoju Warszawy do 1980 roku. W ciągu tych 5 lat zakładowe organizacje partyjne, komitety dzielnicowe, Komitet Warszawski wprowadziły w czyn doniosłą uchwałę VI Zjazdu. [...] Dziś [...] przedstawiciele 165 tys. organizacji partyjnej Warszawy będą mogli z trybuny VII Zjazdu złożyć gospodarskie rozliczenie, pozytywny bilans tego, co zrobiła stolica dla kraju i siebie w mijającym 5-leciu”.

DZIENNIK BAŁTYCKI

Madryt '80
Kontynuacja prac w grupach robotniczych

17 grudnia 1980 roku

Konieczność postawienia pomnika upamiętniającego stoczniowców poległych w grudniu 1970 roku była dla strajkujących w Stoczni Gdańskiej w sierpniu 1980 roku oczywista. 16 sierpnia do żądania przychyliła się dyrekcja stoczni. Jeszcze przed zakończeniem strajku delegaci Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego zatwierdzili projekt pomnika przedstawiony przez Bogdana Pietruszkę, inżyniera z Biura Projektowo-Konstrukcyjnego Stoczni, wyznaczając zarazem datę odsłonięcia monumentu na dziesiątą rocznicę tragicznych wydarzeń. Po pewnym czasie ostatecznie ustalono, że pomnik będzie się składał z trzech krzyży (o wysokości 42 m) z konicami złączonymi we wspólnym kręgu. W dolnej części miały się znaleźć płaskorzeźby z brązu ze scenami z życia stoczniowców autorstwa Elżbiety Szczodrowskiej-Peplińskiej i Roberta Peplińskiego.

Wzniesienie w tak krótkim czasie tego niezwyklego monumentu (ważącego 134 t) było możliwe tylko dzięki ofiarności strajkujących w różnych zakładach w całym kraju, mieszkańców Trójmiasta i ludzi przybywających w tym czasie do Gdańska. A także dzięki wielkiemu zaangażowaniu wielu osób i przedsiębiorstw w samą budowę.

Pomnik uroczystie odsłonięto 16 grudnia 1980 roku, o czym następnego dnia obszernie informował „**Dziennik Bałtycki**”. „Punktualnie o godz. 17.00 nad miastem rozlegają się syreny i słychać dzwony z wszystkich kościołów w mieście. Następnie tysiączne rzesze zgromadzonych na uroczystości śpiewają [...] Rote” – czytamy. Wśród składających wieńce pod pomnikiem, na którym, zgodnie z propozycją noblisty, Czesława Miłosza, umieszczono m.in. werset z Psalmu 29: „Pan da siłę swojemu ludowi, Pan da swojemu ludowi błogosławieństwo pokoju”, byli przede wszystkim przedstawiciele rodzin zabitych stoczniowców, ale też władze PRL, m.in. przewodniczący Rady Państwa, Henryk Jabłoński. Po zapaleniu znicza głos zabrał przewodniczący Solidarności, Lech Wałęsa: „Złożono w akcie erekcyjnym tego pomnika dokument, który głosi [...] »Poległym na znak wiecznej pamięci, rządzącym na znak przestrogi, że żaden konflikt społeczny w ojczyźnie nie może być rozwiązywany siłą; współobywatelom na znak nadziei, iż zło może zostać zwyciężone»”.

Odczytano również listy papieża Jana Pawła II oraz prymasa Stefana Wyszyńskiego. Jak podała gdańska gazeta, ten drugi napisał m.in.: „Wszyscy to wiemy, że drogą do pokoju jest sprawiedliwość, fundament pokojowego życia i współpracy wszystkich warstw narodu. Prawda w miłości, pokój w sprawiedliwości budzą zaufanie, poczucie odpowiedzialności i obowiązkowości [...]. Niech znak potrójnego krzyża będzie natchnieniem w pracy i w ofierze”.

Na zakończenie uroczystości mszę św. odprawił metropolita krakowski, kard. Franciszek Macharski. Poświęcił też pomnik i sztandar NSZZ „Solidarność”.

Uroczyste odsłonięcie Pomnika Poległych Stoczniowców 1970

oprac. FG, AS, KW

Pełny skład Komitetu ZS

wybranego na VIII Kongre

Poprzedni, listopadowy felieton poświęciłem, jak każde kalendarz, cmentarzom. Jak ważne są dla każdego z nas i jak wiele mogą nauczyć. Dobrego i złego. O dobru nie warto pisać, to oczywiste. O złu trzeba, bo szkodzi. Pisałem, nie tylko zresztą ja, o wielkiej niesprawiedliwości, która dzieje (działa?) się na jednym z najważniejszych polskich cmentarzy, na Powązkach Wojskowych w Warszawie. Przez ćwierć wieku wolnej Polski chowano tu, często w asyście honorowej Wojska Polskiego, ludzi całkowicie tego niegodnych. Nie tylko mocno zaangażowanych w budowę oszukańczego ustroju, lecz także tych, którzy sami zabijali z bronią w ręku lub z za biurka wydawali zbrodnicze rozkazy. Peerelowski rozdzielnik cmentarny nadal działał w III Rzeczypospolitej. Każdy minister peerelowskiego rządu, generał ludowego Wojska Polskiego i Milicji Obywatelskiej, sędziowie Sądu Najwyższego i prokuratorzy z Prokuratury Generalnej, posłowie niemych sejmów wielu kadencji, artyści, którzy swój talent poświęcili kłamstwu. Wszyscy oni z racji przynależności do dawnej no-



Rys. A. Szafrański

Kara od niewdzięcznego Polaka

Krzysztof Gottesman

Maria Kiszczakowa nie spełniła swojej obietnicy i nie pochowała męża na Powązkach Wojskowych. Pogrzeb generała odbył się niemal w tajemnicy, przy udziale tylko garstki ludzi na cmentarzu prawosławnym na warszawskiej Woli. To, choć wymuszone, symboliczne i „pozytywne” wiarołomstwo.

menklatury doznawali niezasłużonych zaszczytów.

Jakby nic się nie stało, jakby 4 czerwca 1989 roku odbyły się kolejne, czysto fasadowe wybory i wciąż trwała PRL. Wstyd przyznać, ale trzeba, że nie postawiono żadnej tamy temu kłamstwu. Partyjni aparatczycy, a często i zbrodniarze, o chętnie korzystali z przywilejów i zapełniali kolejne cmentarne rzędy i kwatery.

W tym miejscu, też po raz kolejny, trzeba dodać dwa zastrzeżenia. Pierwsze, ogólnoludzkie. Uważam cmentarze nie tylko za miejsce wiecznego spoczynku, lecz także wyjątkowe pomniki historii i kultury. Kiedy chodzę po Powązkach Wojskowych i napotykam – trudno zresztą je ominąć – grobowce Juliana Marchlewskiego, Bolesława Bieruta, Władysława Gomułki, to widzę w nich pamiątkę po tragicznych czasach, część naszej, mojej historii. Nie ma we mnie chęci odwetu, usunięcia grobów. Gdy je usuniemy, to czy zmieni się historia?

I drugie zastrzeżenie. Nie uważam, że każdy człowiek aktywny w ofi-

cialnych strukturach PRL, pełniący w niej nawet wysokie funkcje, również członek PZPR, powinien mieć zakaz wstępu na Powązki Wojskowe. Gdzie przebiega granica? To bardzo trudne pytanie. O zbrodniarzach nie ma co mówić, u reszty powinno decydować całe życie, zdolność do refleksji, ewolucji poglądów, ich rewizji. Tuż przy wejściu na Powązki Wojskowe leżą m.in. Jacek Kuroń i Leszek Kołakowski. Dla wielu – nie zasługują na to. Jestem przeciwnego zdania. Zasługują, i to jak mało kto. Jak choćby leżący tuż obok Zbigniew Romaszewski czy płk Ryszard Kukliński.

Tak się bowiem ułożyła nasza polska historia, że losy uwikłanych w nią ludzi są często bardzo skomplikowane. I tych całkowicie czystych jest naprawdę niewiele. Przypomina mi się tu anegdota z Józefem Piłsudskim, który – gdy zobaczył, ilu oficerów przyjechało na zlot legionowych kombatanów w latach trzydziestych – miał powiedzieć: „Gdybym miał was tylu w Oleandrach, tobyśmy zajęli Moskwę”. Czy w PRL, tak jak w Kielcach w 1914 roku, nie słychać było trzasku zamykanych okiennic?

Te wszystkie zastrzeżenia, szarości, niuanse nie dotyczą gen. Kiszczaka. To wyjątkowo paskudna postać w historii PRL. Modelowa, chciałoby się powiedzieć. Choć jego życiorys wciąż zawiera wiele tajemnic, to jego linia jest jasna. Przykład awansu społecznego w najgorszym wydaniu. Pochodzący z robotniczej rodziny jako bardzo młody chłopak poczuł, skąd wieje wiatr, i nawiązał kontakt z sowiecką bezpieką, co wpłynęło na całe, nie tylko

jego, życie. Przez blisko pół wieku piął się po drabinie bezpieczniackiej kariery. Był w 1946 roku w Londynie, jako niewykształcony funkcjonariusz Informacji Wojskowej uczestniczył w operacji uprowadzenia do Warszawy złota z przedwojennego Funduszu Obrony Narodowej. Potem kolejne etapy kariery w Informacji, wywiadzie i kontrwywiadzie PRL. Wcześniej, tuż po wojnie, jego droga krzyżuje się z drogą Wojciecha Jaruzelskiego. W latach osiemdziesiątych obaj będą niepodzielnie rządzić Polską. Wszystkie zbrodnicze akcje, prowokacje, pobicia i morderstwa dokonane przez „nieznanych sprawców”, a także takie „drobiazgi”, jak prześladowania funkcjonariuszy za udział w praktykach religijnych, obciążają obu, ale to Czesław Kiszczak był za nie bezpośrednio odpowiedzialny.

Czy z własnej woli oddał władzę, doprowadził do demontażu komunizmu w Polsce? Odpowiem też pytaniem. Czy człowiek, który uczciwie siada do rozmów, chce demokracji i wolności, podsłuchuje, nagrywa i ukrytą kamerą robi zdjęcia ludziom, z którymi negocjuje? A później, już w III RP, daje do zrozumienia, że ma wiele ciekawych dokumentów, których ujawnienie spowoduje, że z „wielu głów pospadają aureole”. A tak postępował Kiszczak.

„Moja żona dziwi się, że tak spokojnie przechodzę nad różnymi większymi lub mniejszymi podłościami, i to szczególnie ze strony tych, którzy mają mi wiele lub wszystko do zawdzięczenia” – mówił Kiszczak u progu III RP. Ta żona na pogrzebie poszła tym tropem. „Bóg ci zapłaci za wszystkie krzywdy, które niewdzięczny, niegodny Polak ci uczynił” – powiedziała nad trumną.

Ten niewdzięczny Polak mógł i powinien zrobić dużo więcej – zamknięcie drogi na Powązki Wojskowe to najniższy wymiar kary, jaki mógł spotkać Kiszczaka. I dobrze, że spotkał. Szkoła tylko, że inni kary uniknęli. ❄

Krzysztof Gottesman – dziennikarz i publicysta, pracownik Samodzielnego Wydziału Komunikacji Społecznej IPN



Operacja „Uran”

Aneta Nisiobęcka

Wizyta gen. Charles'a de Gaulle'a w PRL cieszyła się ogromnym zainteresowaniem. Po Warszawie, Krakowie, Oświęcimiu i Górnym Śląsku przyszedł czas na Wybrzeże.

Wsobotę 9 września 1967 roku ok. 18.30 samolot z prezydentem Francji wylądował na lotnisku w Pruszczu Gdańskim, skąd francuski gość udał się do sopockiego Grand Hotelu (na wypadek złej pogody uniemożliwiającej przelot samolotem przygotowano specjalny pociąg „Ponsz” oraz zabezpieczono jego trasę).

Niedzielny program rozpoczęto o 9.05 mszą w katedrze oliwskiej (fot. 1, 2). Prezydenta powitał w języku francuskim bp Edmund Nowicki, który następnie wręczył generałowi oraz jego żonie pamiątkowy medal i bursztynowy różaniec, życząc, aby te pamiątki przypominały im pobyt w katedrze. Mszę, na którą przyszło ok. 6 tys. wiernych (nie wszyscy zmieścili się w świątyni, na zewnątrz stało ok. 2 tys. osób), odprawił ks. prałat Leon Kossak-Głowaczewski. Po jej zakończeniu dostojni goście zwiedzili katedrę, a następnie prezydent Francji wpiął się do księgi pamiątkowej. Dodajmy, że uwzględnienie mszy w katedrze oliwskiej w programie wizyty było wynikiem kompromisu. W trakcie omawiania scenariusza pobytu gen. de Gaulle'a w Polsce ze strony francuskiej padła propozycja odwiedzin prezydenta w klasztorze jasnogórskim. Komuniści, pamiętając pobyt amerykańskiego polityka Roberta Kennedy'ego na Jasnej Górze, który przyciągnął tysiące ludzi, obawiali się, że generał, cieszący się tak ogromną popularnością, zgromadzi jeszcze większe tłumy, co mogło zostać odebrane jako „zwycięstwo Kościoła nad rządem”.



► Fotomontaż znajdujący się w materiale fotograficznym związanym z wizytą prezydenta Francji w Polsce; prawdopodobnie odniesienie do ewentualnego spotkania z kard. Stefanem Wyszyńskim



Fot. AIPN

W związku z tym propozycja ta dla strony polskiej była nie do przyjęcia i w zamian zaproponowano mszę w katedrze oliwskiej, na co przystała strona francuska. Na marginesie trzeba nadmienić, że z wcześniej ustalonego scenariusza wizyty, która początkowo miała się odbyć w czerwcu, wypadło spotkanie prezydenta Francji ze studentami Politechniki Warszawskiej.

Inną kwestią budzącą duże emocje i dyskusje w społeczeństwie polskim i wśród korespondentów zachodnioeuropejskich było ewentualne spotkanie gen. de Gaulle'a z prymasem Stefanem Wyszyńskim i kard. Karolem Wojtyłą. W czasie pobytu misji francuskiej w maju 1967 roku, odpowiedzialnej za przygotowanie wizyty, szef protokołu diploma-

tycznego, Bernard Durand, podkreślał, że „generał stanowczo chce się widzieć z kardynałem”. Stanowisko Warszawy w tej kwestii było niezmiennie, nawet mimo stanowczych wypowiedzi generała zamieszczonych w „Paris Match” z 20 maja 1967 roku, kiedy to powiedział: „W takim razie sam udam się z wizytą do kardynała do pałacu arcybiskupiego”. Zabiegi prezydenta o rozmowę z prymasem stały się, jak wynika z doniesień i informacji zebranych przez Służbę Bezpieczeństwa, częstym przedmiotem rozmów Polaków, którzy bardzo liczyli na to spotkanie. Wobec negatywnego stosunku władz PRL do rozmów de Gaulle'a z Wyszyńskim w prasie polskiej pojawiły się dygresje na temat ewentualnego spotkania generała z Wojtyłą. Korespondenci zachodnioeuropejscy słusznie ocenili, że i ono jest mało realne, choćby dlatego że byłoby policzkiem dla prymasa, a władze komunistyczne odniosłyby sukces, przeciwstawiając sobie dwóch kardynałów. Dlatego nie powinna dziwić nieobecność

Wojtyły nawet w czasie zwiedzania katedry wawelskiej przez gen. de Gaulle'a, co w ocenie gościa i osób mu towarzyszących było nietaktem. Mimo że nie doszło do rozmów między prezydentem Francji a prymasem Polski, wymienili oni między sobą korespondencję. Kardynał Wyszyński przekazał de Gaulle'owi artystyczną płaskorzeźbę w brązie, przedstawiającą Matkę Boską Częstochowską z napisem „Sacrum Poloniae Millennium 966–1966 – Prezydentowi Francji, Episkopat Polski Milenijnej – Warszawa 1967”. Generał de Gaulle polecił ofiarowaną płaskorzeźbę zawiesić w maleńkiej kaplicy Pałacu Elizejskiego, gdzie przed jej wizerunkiem uczestniczył w każdej niedzielę w porannym nabożeństwie.

Po uroczystościach w Oliwie gen. de Gaulle w towarzystwie m.in. premiera Józefa Cyrankiewicza i marsz. Mariana Spychalskiego zwiedził gdańskie Stare Miasto (fot. 3). Na Westerplatte (fot. 5) prezydent Francji (ubrany w mundur generalski w geście polsko-francuskie- ►



Fot. AIPN

go braterstwa broni) popłynął statkiem (fot. 4), a po złożeniu wieńców odплыł do portu w Gdyni na pokładzie trałowca nr 621, gdzie – powitany salutem z 21 armat – przyjął defiladę polskiej floty na czele z flagowym niszczycielem „Błyskawica”. Podkreślano, że tak reprezentacyjnej defilady nie przyjmował nawet przywódca ZSRR. W Gdańsku de Gaulle wypowiedział znamienne słowa: „Francja nie zależy od nikogo, Polska nie powinna zależeć od nikogo”. W kontekście tamtych realiów de Gaulle uważał, że Polska w swojej polityce powinna patrzeć „dalej i szerzej” oraz pokonywać bariery, które z powodu napięć w szczytowym okresie zimnej wojny były nie do przejścia. Uważał, że współpraca między poszczególnymi państwami powinna być nawiązywana nie za pośrednictwem dwóch bloków politycznych, lecz bezpośrednio. Tak rozumiana przez niego niezależność polityki polskiej nie oznaczała zerwania przez Polskę sojuszu z ZSRR.

Wieczorem delegacja francuska wyjechała do Warszawy. Mimo padającego deszczu na trasie przejazdu do pałacu w Wilanowie zgromadziły się tłumy Polaków. W pałacu Charles de Gaulle



wydał obiad na cześć przewodniczącego Rady Państwa Edwarda Ochaba. Następnego dnia rano warszawiacy owacyjnie witali generała podczas zwiedzania stolicy: rynku Starego Miasta (fot. 6), placu z pomnikami Bohaterów Getta i Bohaterów Warszawy, pl. Feliksa Dzierżyńskiego (dziś Bankowego), pl. Teatralnego i pl. Konstytucji. Następnie prezydent udał się na ul. Piękną, na miejsce budowy

nowej siedziby Ambasady Republiki Francuskiej, i wmurował tam kamień węgielny.

Kulminacyjnym momentem podróży gen. de Gaulle'a do Polski było jego wystąpienie 11 września 1967 roku w sejmie, w którym powiedział, że granice polskie są „głęboko sprawiedliwe” i „należycie rozstrzygnięte”, a Francja uznaje je od 1944 roku. Dalej nakreślił wizję Europy oraz zaprosił Polskę do sojuszu politycznego z Francją i współpracy we wszystkich dziedzinach, w ramach koncepcji Europy od Atlantyku po Ural. Jednak inicjatywa de Gaulle'a została odrzucona przez Władysława Gomułkę, I sekretarza Komitetu Centralnego PZPR, który stwierdził jednoznacznie, że kamieniem węgielnym polskiej polityki zagranicznej jest trwały sojusz ze Związkiem Radzieckim i NRD, a „trwały pokój i bezpieczeństwo mogą zostać zbudowane na integralności terytorialnej i suwerenności wszystkich państw europejskich, włączając w to oba państwa niemieckie”. Było to wyraźny sygnał dla de Gaulle'a, że nie będzie zmiany stanowiska polskiej polityki wobec jego wizji przyszłości Europy i bezpieczeństwa europejskiego. Obaj przywódcy spotkali się jeszcze w biurze sejmowym, gdzie rozmawiali przez dwie godziny. Gomułka wówczas ponownie odrzucił koncepcję





Fot. AIPN

przyszłości Europy przedstawioną przez francuskiego prezydenta.

Tego samego dnia, już po powrocie do Wilanowa, gen. de Gaulle za pośrednictwem Telewizji Polskiej złożył Polakom serdeczne podziękowania, zwracając się do nich w języku polskim: „Wszystkim Polakom mówię z głębi serca: dziękuję wam. Żegnajcie! Niech żyje Polska, nasza droga, szlachetna, waleczna Polska”. Dowodem uznania, jakim cieszył się w Polsce prezydent Francji, może być inicjatywa „Expressu Wieczornego” i odzew na nią. Otóż w kwietniu przed wizytą redakcja zwróciła się do czytelników z apelem, aby osoby, które w latach dwudziestych poznały w Polsce Charles’a de Gaulle’a, nadesłały swoje wspomnienia. Akcja zakończyła się sukcesem – nadesłano około dwustu wspomnień od osób pamiętających kpt. Charles’a de Gaulle’a z lat 1919–1921, kiedy był członkiem Francuskiej Misji Wojskowej w Polsce i wykladał teorię taktyki wojennej w Szkole Doskonalenia Kadr Oficerskich w Rembertowie.

Żegnany przez tłumy, 12 września 1967 roku o 13.00 gen. Charles de Gaulle samolotem Caravelle odleciał do Paryża. Wizyta okazała się polityczną porażką prezydenta Francji. Ujawniła ograniczenia obu państw wynikające z ich przynależności do dwóch przeciwstawnych bloków polityczno-wojskowych. Jak stwierdził w Paryżu 15 września rzecznik prasowy de Gaulle’a, Gilbert Pérol,

w rozmowie z Fabianem Dmowskim, II sekretarzem ambasady PRL, Polska z powodu bolesnej historii przeceniała zagrożenie ze strony Niemiec zachodnich. Brak porozumienia w kwestii wizji Europy nie oznaczał zakończenia rozmów polsko-francuskich na ten temat, czego dowodem była planowana na 1968 rok oficjalna wizyta Władysława Gomułki w Paryżu, lecz na przeszkodzie w jej realizacji stanęło wkroczenie wojsk Układu Warszawskiego do Czechosłowacji w sierpniu tegoż roku.

De Gaulle odniósł jednak w Polsce sukces psychologiczny. Henri Puissant, wiceszef ochrony prezydenta Francji, stwierdził, że już dawno nie widział generała tak odprężonego, a to, jak twierdził, wynikało z „naturalnej serdeczności i bliskości, z jaką wita społeczeństwo polskie prezydenta Francji, czego nie odczuwało się nawet w ZSRR, mimo również owacyjnego i serdecznego przyjęcia”. Co więcej, jak zauważyli korespondenci zachodni, Polacy przyjęli prezydenta Francji bardziej entuzjastycznie niż mieszkańcy kanadyjskiej francuskojęzycznej prowincji Quebec. Tysiące ludzi wiwatujących spontanicznie na trasach przejazdu delegacji francuskiej świadczyły jednoznacznie, że gen. de Gaulle cieszył się nad Wisłą ogromną popularnością. Dla Polaków wizyta ta miała też inny wymiar: po okresie napiętych relacji na linii Paryż–Warszawa w końcu lat czterdziestych i w latach pięćdziesiątych była ona dowodem odprężenia w stosunkach polsko-francuskich, głównie w dziedzinie kulturalno-gospodarczej, i świeżym powiewem wiatru z Zachodu. Niestety, nie wpłynęło to istotnie na zmiany w kontaktach politycznych. ❄

Aneta Nisiobęcka – pracownik Wydziału Udziałów BUIAD IPN



Fot. AIPN

Główną winą ludzi odpowiedzialnych za wprowadzenie stanu wojennego – poza rozbięciem Solidarności – są ofiary śmiertelne, które ta decyzja pociągnęła za sobą. Użycie państwowego aparatu przemocy przeciwko pokojowemu ruchowi doprowadziło do śmierci wielu, niekiedy przypadkowych, osób.

Górnicy z kopalni „Wujek”, Grzegorz Przymyk, Bogdan Włosik, Antoni Browarczyk, Emil Barchański, ofiary Lubina. To bez wątpienia najbardziej znane przypadki zgonów, do których doszło podczas obowiązywania stanu wojennego. Osoby te zginęły w różnych okolicznościach. W „Wujku” pluton specjalny ZOMO strzelał do górników protestujących przeciwko decyzji gen. Wojciecha Jaruzelskiego o wprowadzeniu stanu wojennego. Browarczyk czy ofiary Lubina to uczestnicy – przeważnie pokojowych – demonstracji, które władza bezwzględnie tłumiała siłą. Przymyka zakatowali na posterunku MO milicjanci, a aparat państwowy, z kierownictwem MSW na czele, mataczył w śledztwie. Trop w sprawie siedemnastoletniego Emila Barchańskiego prowadzą do tzw. nieznanego sprawcy, najpewniej mordercy z SB. Jednak, by zginąć w stanie wojennym, wystarczył niefortunny zbieg okoliczności. Tak jak w przypadku Mieczysława Rokitowskiego. Nie należał on nawet do Solidarności, ale 31 marca 1982 roku został zatrzymany z jedną (!) ulotką nieopodal miejsca, w którym odbywała się manifestacja solidarnościowa. Trafił do aresztu śledczego w Załężu k. Rzeszowa. Tam go śmiertelnie pobili współwięźniowie.

Ile było takich przypadków? Komitet Helsiński zebrał 93, które ocenił jako wymagające zbadania pod kątem udziału aparatu represji. Powołana w sierpniu 1989 roku, a więc w okresie powstawania prezentowanego obok dokumentu, Sejmowa Komisja Nadzwyczajna do Zbadania Działalności MSW pod przewodnictwem posła Jana Rokity dociekała w 122 przypadkach. Jej członkowie ocenili, że w aż 88 można domniemywać udział funkcjonariuszy MSW. Komisja

Rokity, mimo formalnych utrudnień i niewielkich uprawnień, zrobiła wiele, by wyjaśnić tajemnicze zgony działaczy opozycji oraz pociągnąć do odpowiedzialności osoby mające na sumieniu ofiary śmiertelne brutalnie tłumionych manifestacji. Dotyczyło to m.in. dowódców odpowiedzialnych za użycie broni 31 sierpnia 1982 roku w Lubinie, gdzie zginęły trzy osoby.

Weźmiejszej niż działalność sejmowej komisji należy datować akcję niszczenia dowodów w tych sprawach. W latach osiemdziesiątych sprawców nie pociągnięto do odpowiedzialności karnej nawet w najbardziej oczywistych przypadkach. Tak było chociażby w sprawie oficera SB, Andrzeja Augustyna. Wpadł on w panikę, gdy został rozpoznany podczas manifestacji w Nowej Hucie. Użył broni, raniąc śmiertelnie Bogdana Włosika, ucznia technikum wieczorowego i elektryka w pobliskiej hucie. W postępowaniu Augustyn nie był nawet oskarżonym, a sprawę umorzono. Dopiero po przemianach ustrojowych doczekał się procesu, w którym skazano go na kilkuletnie więzienie.

Znacznie trudniejsze jest odnalezienie tzw. nieznanego sprawcy. Wiele ofiar stanu wojennego zginęło bowiem w niewyjaśnionych do dziś okolicznościach. Nie wskazano winnych m.in. w sprawach wspomnianego już Barchańskiego, ale także Jana Samsonowicza, Hieronima Dobrowolskiego, ks. Sylwestra Zycha i innych. W co najmniej kilkunastu przypadkach poszlaki prowadzą do MSW. Trzeba przyznać, że funkcjonariusze SB byli skuteczni w zacieraniu śladów i prowadzone obecnie w IPN śledztwa dają nikłą nadzieję na poznanie winnych.

Prezentowany dokument nie jest przykładem bezpośredniego zacierania śladów, ale dobrze pokazuje zrzucanie

odpowiedzialności przez kierownictwo MSW. Powstał między czerwcem a początkiem sierpnia 1989 roku, czyli po przegranych przez komunistów reglamentowanych wyborach, a przed wpuszczeniem do MSW ludzi opozycji. Pod mocno lakonicznym tytułem „Sprawy organizacyjno-etatowe MSW” kryły się informacje dotyczące działalności SB w latach osiemdziesiątych. Oprócz analizy etatów, spraw finansowych, postulatów odpolitycznienia MSW oraz pomysłów na jego reorganizację znajdziemy tam m.in. „informacje personalne w sprawach budzących społeczne zainteresowanie”. Autorzy raportu określali tak m.in. tajemnicze zgony duchownych związanych z opozycją czy listy osób skazanych za szpiegostwo.

Szczególnie ciekawa jest część raportu zatytułowana „Wybrane problemy stanu wojennego”, z której pochodzi prezentowany dokument. Możemy dzięki niemu poznać m.in. dane statystyczne dotyczące internowań czy represji stosowanych względem działaczy Solidarności. Z tej części wynika też, że w komunistycznym MSW doliczono się 3912 tymczasowo aresztowanych (między 13 grudnia 1981 roku a 31 grudnia 1982 roku), a za udział w manifestacjach solidarnościowych kolegiami ukarano 6147 osób. Możemy także przeczytać o osobach objętych później amnestią. Szczegółowo rozpisano również informacje o internowaniach. Według danych MSW, w ramach represji po wprowadzeniu stanu wojennego w samym tylko województwie szczecińskim zwolniono z pracy ponad 1200 osób. O ile te dane nie są kontrowersyjne, o tyle sposób liczenia ofiar śmiertelnych stanu wojennego budzi duże wątpliwości. Analitycy MSW uwzględniali jedynie te ofiary, w których przypadku sprawstwo funkcjonariuszy aparatu represji było bezdyskusyjne. Brak tu nie tylko ofiar tzw. nieznanego sprawcy, lecz także osób zmarłych w wyniku działań służb podczas manifestacji odbywających się po 22 lipca 1983 roku. ❦

Grzegorz Wolk – historyk, politolog, pracownik Biura Edukacji Publicznej IPN

Data zniesienia stanu wojennego; niektóre jego restrykcje zawieszono wcześniej, 31 grudnia 1982 roku, ale główny cel jego wprowadzenia (likwidacja Solidarności i legalnej opozycji) obowiązywał niemal do końca PRL

Numer dokumentu opracowanego najprawdopodobniej w sierpniu 1989 roku na polecenie nowego (choć wciąż Kiszczakowskiego) kierownictwa MSW, a znajdującego się w teczce „Sprawy organizacyjno-etatowe MSW”

Data wprowadzenia stanu wojennego na mocy bezprawnej decyzji Rady Państwa

16 grudnia 1981 roku pluton specjalny ZOMO otworzył ogień do strajkujących górników; zginęło 9 osób, a 24 zostały ranne; jednym z oskarżonych w procesie toczącym się po latach był gen. Czesław Kiszczak, dla którego przygotowano prezentowany dokument

Michał Adamowicz (28 lat), Mieczysław Późniak (26 lat) i Andrzej Trajkowski (32 lata), postrzeleni śmiertelnie przez pluton ZOMO podczas demonstracji przeciwko wprowadzeniu stanu wojennego; po wielu latach skazano na kilkuletnie wyroki więzienia dowódców akcji, natomiast postępowanie wobec funkcjonariuszy ZOMO umorzono „wobec niewykrycia sprawców”

Ryszard Smagur (29 lat), introligator trafiony w szyję petardą podczas rozpędzania demonstracji w Nowej Hucie; śledztwo umorzono

IPN BU 1585/358
MSW II 358
143
122

Załącznik nr 64

Ofiary cywilne w stanie wojennym

1. W okresie obowiązywania stanu wojennego, od 13.12.1981 roku do 22.07.1983 roku, łącznie śmierć poniosło 17 osób cywilnych, w tym:

- 16.12.1981 r. - 9 osób, z tego 6 na miejscu i 3 w wyniku ran, w KWK "Wujek";
- 16-17.12.1981 r. - 1 osoba w Gdańsku w wyniku rykoszetu pocisku z broni nie będącej na wyposażeniu WP lub MO;
- 31.08.1982 r. - 3 osoby w Lubinie, z tego 2 na miejscu i 1 w wyniku ran;
- 31.08.1982 r. - 1 osoba we Wrocławiu w wyniku strzału nieustalonej osoby z tłumu;
- 13.10.1982 r. - 1 osoba w Krakowie, strzał oddał funkcjonariusz SB w obronie własnej;
- 01.05.1983 r. - 1 osoba w Krakowie w wyniku rykoszetu.

2. W okresie stanu wojennego obrażeń doznały 242 osoby cywilne.

3. Organom porządku publicznego stawia się zarzuty o spowodowanie śmierci ponad 60 osób w okresie stanu wojennego i po jego zakończeniu. Po sprawdzeniu tych zarzutów okazało się, iż w zdecydowanej większości wypadków śmierć nastąpiła na skutek schorzeń, bójek lub zamachów samobójczych, przy czym wykluczono związek tych przyczyn z jakąkolwiek działalnością organów porządku publicznego. W każdej z tych spraw organy prokuratury przeprowadziły wnikliwe śledztwo.

Liczba ofiar stanu wojennego jest trudna do ustalenia; z pewnością była jednak wyższa niż 17 osób

Antoni Browarczyk (20 lat), uczeń technikum i kibic Lechii Gdańsk postrzelony podczas demonstracji; śledztwo umorzono „wobec niewykrycia sprawców nieostrożnego użycia broni”

Kazimierz Michalczyk (27 lat), tokarz, śmiertelnie postrzelony podczas rozpędzania demonstracji; śledztwo umorzono

Bogdan Włosik (20 lat), elektryk z Nowej Huty, postrzelony śmiertelnie przez funkcjonariusza SB Andrzeja Augustyna podczas demonstracji; w 1991 roku Augustyna skazano na 8 lat pozbawienia wolności, następnie karę podniesiono do 10 lat; ostatecznie opuścił więzienie po 5,5 roku

Liczba zaniżona; najpewniej podano tylko osoby wymagające leczenia szpitalnego

Dokument ukazuje tuszowanie zbrodni komunistycznych przez ustępujących funkcjonariuszy; także zachwalana działalność prokuratury i sądów pozostawiała wiele do życzenia; przykładem może być los zabójcy Włosika, którego w PRL sąd uniewinnił, a w 1991 roku skazał; przypadków mataczenia w śledztwach było więcej

Szkoła przetrwania

Obóz internowania w Potulicach należał do tych z najsurowszym rygiorem. Osadzonym tam mężczyznom udało się przetrwać dzięki niespotykanej dyscyplinie wewnętrznej – mówią **prof. Wojciech Polak** i **dr Sylwia Galij-Skarbińska**, autorzy książki „*Nigdy przed mocą nie ugniemy szyi*”.
Obóz internowania w Potulicach 1981–1982, w rozmowie z Karoliną Wichowską

Obóz w Potulicach to typowy przykład ośrodka internowania czy przypadek szczególny?

Wojciech Polak: Przykład typowy w tym sensie, że bardzo często w stanie wojennym urządzano obozy internowania w więzieniach: wydzielano jeden blok dla internowanych, a zwykłych więźniów przenoszono do pozostałych. Były oczywiście szczególne obozy, jak ten w Głębokiem dla dygnitarzy, w Jaworzu dla intelektualistów czy w Gołdapi dla kobiet. W Potulicach był typowy obóz umieszczony w więzieniu.

Sylwia Galij-Skarbińska: Trzeba jednak zaznaczyć, że rygor w Potulicach był wyjątkowo surowy. Później, w marcu 1982 roku, kiedy internowanych z tego obozu przewieziono do Strzebielinka, mężczyźni od początku tam osadzeni oceniali, że widać różnicę mię-

prof. Wojciech Polak (ur. 1962) – kierownik Katedry Konfliktów Politycznych Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu, wykładowca Wyższej Szkoły Kultury Społecznej i Medialnej w Toruniu; specjalizuje się m.in. w historii stosunków polsko-rosyjskich, dziejach ruchów niezależnych w PRL i historii stanu wojennego w Polsce; autor wielu książek, artykułów i wydawnictw źródłowych; konsultant wystawy stałej Europejskiego Centrum Solidarności



Fot. ze zbiorów Stanisława Wiśniewskiego

▶ Żartobliwy „glejt” sporządzony przez internowanych, wystawiony dla Stanisława Wiśniewskiego

dy nimi a potuliczaniem. Ci drudzy wyróżniali się umiejętnością narzucenia sobie wewnętrznej dyscypliny. Musieli więc być przetrzymywani w rygorystycznych warunkach, z którymi sobie poradzili.

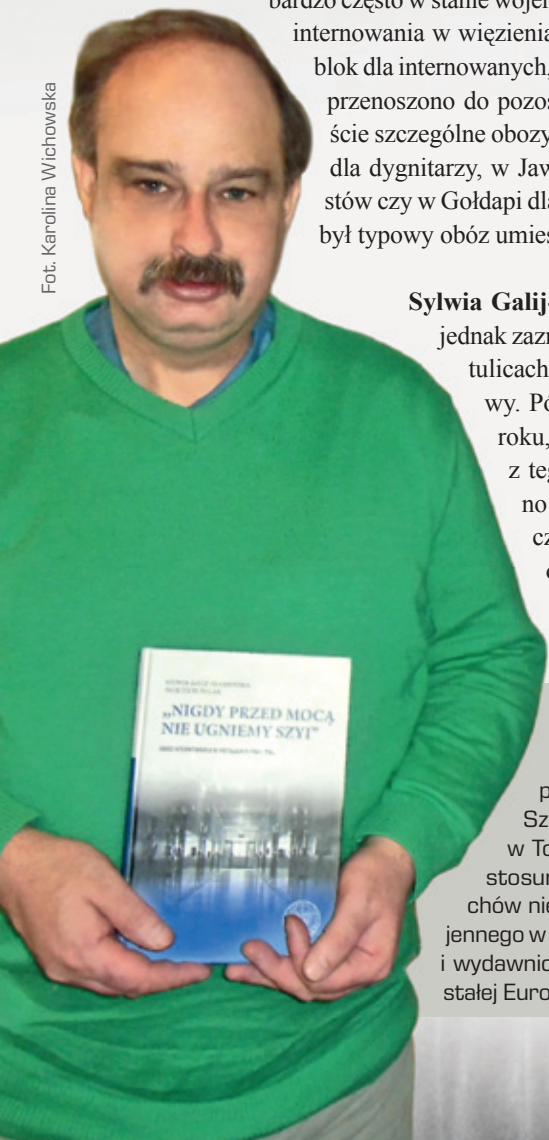
W.P.: W Strzebielinku rygor był znacznie łagodniejszy, obóz miał charakter półotwarty, bo to był zakład dla więźniów budowniczych elektrowni atomowej w Żarnowcu. Przylegał do niego obszerny teren, po którym internowani mogli się swobodnie poruszać. Gdańszczanie tam internowani byli zdeintegrowani, kłócili się o najdrobniejsze rzeczy. Tymczasem przyjechali do nich torunianie i bydgoszczanie. Mieli przywódcę – Antoniego Stawikowskiego, którego wszyscy słuchali. Ci z Gdańska patrzyli na to z osłupieniem.

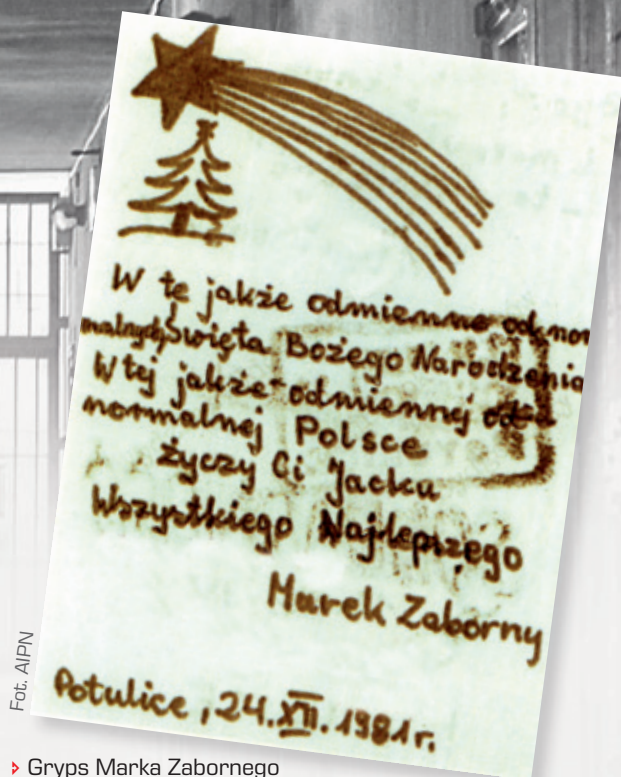
S.G.-S.: Gdyby internowani w Potulicach nie mieli w sobie tej wewnętrznej dyscypliny, niejedni musieliby się załamać.

Niektórzy zresztą wpadali w stany przygnębienia.

S.G.-S.: Oni to nazywali chorobą polarną, czyli rozstrojem nerwowym wynikającym z przebywania przez dłuższy czas w ograniczonej przestrzeni wciąż w tym samym towarzystwie.

W.P.: Ogólnie jednak potuliczanie się trzymali. Stawikowski, jako najwyższy rangą przedstawiciel Solidarności, członek Komisji Krajowej, stał się liderem grupy internowanych, co wytworzyło dyscyplinę. Rzecz ciekawa: jest człowiekiem niewierzącym, ale to on wydawał rano i wieczorem komendę: „Do pacierza!”, obok komendy „Do hymnu!”. Oprócz *Mazurka Dą-*





Fot. AIPN

► Gryps Marka Zabornego z życzeniami dla Jacka Stankiewicza

browskiego śpiewano pieśń *Kiedy ranne wstają zorze*, a wieczorem *Wszystkie nasze dzienne sprawy*. Administracja i strażnicy więzienni początkowo niespecjalnie respektowali jego przywództwo, ale z czasem zrozumieli, że nie ma wyjścia. Ich filozofia postępowania była zresztą dość ciekawa. Postawmy się na chwilę w sytuacji naczelnika więzienia: miał internowanych utrzymać w ryzach. Gdyby zdecydował się na ostry konflikt, to wieści o tym konflikcie doszłyby do zwierzchników, a to by wcale nie było dla niego korzystne. Dlatego komendanci więzień dochodzili z czasem do wniosku, że opłaca im się dogadywać z internowanymi, w tym przypadku uznać Stawikowskiego za lidera. To było z korzyścią dla obu stron, bo dzięki temu z czasem rygory więzienne łagodniały.

A było o co walczyć, bo właściwie dla wszystkich internowanych warunki więzienne okazały się szokiem. Przez pierwszych osiem dni nie pozwalano im się nawet wykąpać!

W.P.: To wynikało najprawdopodobniej z bałaganu. Internowanie odbyło się naprędce, zwykłych więźniów przenoszono do innych cel w ostatniej chwili. Internowani, kiedy przyszli do cel, zastali ślady poprzedników, np. brudne naczynia.

S.G.-S.: Kiedy już umożliwiono im kąpiel, strażnicy zaganiali do łaźni po trzydziestu, czterdziestu mężczyzn na raz. Przy jednym sitku myło się po trzech, czterech jednocześnie. Strażnicy ich poganiali, a nawet robili sobie zarty, nastawiając bez uprzedzenia lodowatą wodę. Jeden z internowa-

nych był niepełnosprawny ruchowo. Wiadomo, że ktoś taki nie ma szans uciec spod ustawionego nagle lodowatego strumienia.

Mimo to internowani nie odplacali im pięknym za nadobne, wręcz przeciwnie. Według relacji, które Państwo przytaczają w książce, potuliczenie wobec przełożonych służby więziennej i esbeków zachowywali się w sposób nieprzejednany, ostry, a wobec szeregowych strażników prezentowali przesadną wręcz uprzejmość i delikatność.

S.G.-S.: Tak, to był ich sposób na życie. Szeregowi strażnicy byli najbliżej i ważne było, żeby potrafili przymknąć oko na takie sprawy, jak np. to, że internowani robią sobie z zyletek grzałki do herbaty albo specjalne przedłużacze, dzięki którym mogli zapalić w celach światło po 21.00, kiedy było centralnie gaszone. Warto pamiętać, że początkowo strażnicy uważali internowanych za bandytów, wręcz morderców, bo tak im mówiono na szkoleniach. A co zobaczyli w rzeczywistości? Grupę spokojnych mężczyzn, w dodatku kulturalnych. Już samo to zderzenie z rzeczywistością zmieniło spojrzenie strażników na to, kogo mają pilnować, i wpłynęło na ich postawę. Trzeba jednak pamiętać, że w obozie często się zdarzały wizyty Służby Bezpieczeństwa. Wówczas strażnicy traktowali internowanych rygorystycznie. I jedni, i drudzy byli bowiem pod obserwacją SB. Tak więc sprawa relacji internowanych ze strażnikami jest bardzo złożona. Jeśli strażnicy chcieli utrudnić internowanym życie, przeprowadzali w celach przeszukania, czyli tzw. kipsisze – najczęściej w czasie kąpieli. Wiadomo: dla osoby odseparowanej od świata zewnętrznego każdy drobiazg zabrany z domu jest cenny. A w czasie kipsiszu zabierano wszystko, czego nie zdołano zabrać na wstępie. Ludzką twarz strażników najwyraźniej było widać w czasie świąt Bożego Narodzenia.

W.P.: Wtedy już, po kilkunastu dniach od internowania, udało się internowanym wywalczyć możliwość udziału w nabożeństwach. W Wigilię przyszedł ksiądz z miejsc-



dr Sylwia Galij-Skarbińska (ur. 1978)

– politolog, adiunkt w Katedrze Konfliktów Politycznych na Wydziale Politologii i Studiów Międzynarodowych Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu; zajmuje się najnowszą historią Polski; autorka m.in. monografii dotyczącej esbeckiej inwigilacji UMK w latach siedemdziesiątych; szczególnie interesuje się historią bezpieczeństwa wewnętrznego w okresie PRL i po roku 1990



Fot. Karolina Wichowska

wej parafii, odprawił na korytarzu więziennym pasterkę, w czasie której śpiewali internowani działacze Solidarności Rolniczej, potem śpiewano koledy. Następnie Stawikowski wszedł na stół, wygłosił przemówienie i złożył wszystkim życzenia. Udało się nawet przemyścić opłatek, którym internowani podzielili się między sobą, a nawet podeszli z nim do strażników.

... za których modlitwę zainicjował ksiądz odprawiający pasterkę. Życie religijne w ogóle odgrywało ważną rolę w codzienności internowanych, w książce poświęcili mu Państwo osobny rozdział.

S.G.-S.: Modlitwa pozwalała im przetrwać. Pamiętajmy, że ci mężczyźni zostali zatrzymani w brutalny sposób, często wyrwani z łóżek. Spodziewali się, że w odosobnieniu spędzą kilka lat, a nie – jak się potem okazało – kilka miesięcy. Nie wiedzieli, dokąd ich wiozą, liczyli się z tym, że trafią do Związku Sowieckiego, a nawet – że zostaną zabici. Tuż przed świętami wyrwano ich z domów, oddzielono od rodzin. Dzięki wspólnej modlitwie łatwiej im było się zjednoczyć i wzajemnie wspierać, bez tego mogliby się załamać. Determinacja, z którą walczyli o możliwość uczestniczenia w nabożeństwach, zasługiwała na odrębny rozdział.

W.P.: Msza była stałym punktem w rokowaniach internowanych ze strażą więzienną. Wywalczone, że będzie odprawiana co tydzień. Do Potulic przyjeżdżał ks. Józef Kutermak, kapelan więzienny z Bydgoszczy, człowiek wielkiego formatu. Oprócz tego, że odprawiał msze, przemyślał też grypsy. Jedyne zdjęcia internowanych w Potulicach zostały wykonane aparatem, który przywiózł ks. Kutermak. Do obozu docierali też biskupi, przede wszystkim Marian Przykucki, biskup ordynariusz chełmiński. Chodził od celi do celi, zgodnie z więziennym zwyczajem pił z internowanymi herbatę ze słoika. Chcieli mu dawać grypsy, ale on obiecał naczelnikowi więzienia, że nie będzie ich przemyślał. Powiedział jednak tak: „Słuchajcie, obiecałem, że nie wezmę grypsów ani podarków dla rodzin. Ale ze mną są dwaj kapelani, którzy niczego nie obiecywali”. Księża rozchylili sutanny i się okazało, że pod spodem mieli naszyte ogromne kieszenie, w których mogło się zmieścić mnóstwo rzeczy. Dzięki takiej postawie duchownych internowani mieli poczucie, że Kościół jest z nimi i ich wspiera.

Oprócz modlitwy internowanym pomagały przetrwać lektury, bo wywalczyli dostęp do biblioteki więziennej, a następnie dyskutowali o tych lekturach. Ponadto próbowali walczyć

z reżimem, stosując metody prawne. Na przykład Jacek Stankiewicz i wielu innych domagali się doręczenia nakazu internowania na piśmie.

S.G.-S.: Mogli sobie pozwolić na takie działania, bo wśród internowanych byli przecież prawnicy, którzy pozostałym służyli swoją wiedzą. Zachowały się nawet szablony pism z wnioskami i skargami, które rozsyłano po celach i wystarczyło do nich wpisać imię i nazwisko. Skarzyli się nie tylko na niedoręczenie nakazu internowania, lecz także np. na to, że listy nie docierały do rodzin.

Doszli wręcz do wniosku, że to, jak są traktowani, nie spełnia nawet standardów przewidzianych w konwencji genewskiej mówiącej o jeńcach wojennych.

S.G.-S.: Taka analiza jest zapisana w dzienniku Jacka Stankiewicza. Powstała podczas dyskusji w ramach wykładów prowadzonych przez niego i Stanisława Wajsgerbera. Wykłady były jednym ze sposobów na walkę z bezczynnością. Oprócz tego internowani słuchali radia państwowego (mieli w celach kołchożniki) lub Wolnej Europy (Krystyna Antowska-Śmigiel, żona Stanisława Śmigla, przemyściła radio, dzięki czemu mieli własny nasłuch), od pewnego momentu dostawali

do celi reżimową prasę. Z porównania sytuacji internowanych i jeńców wojennych przewidzianej w konwencji rzeczywistość wynikała, że ci ostatni mieli znacznie lepiej, m.in. jeśli chodzi o dostęp do posług religijnych czy opieki medycznej.

We wspomnieniach rzeczywistość lekarze więzienni nie są najlepiej oceniani – nie przejmowali się zbyt dolegliwościami internowanych, nie okazywali chęci pomocy. Wyjątkiem była dentystka, Janina Sokala.

W.P.: Oprócz tego, że rzetelnie leczyła internowanych, dodatkowo wносиła im grypsy. Wzywała kogoś do gabinetu pod pretekstem badania i zabierała gryps. Kiedy przynosiła odpowiedź, wzywała pacjenta ponownie, co nie budziło podejrzeń, bo przecież leczenie zębów często wymaga powtarzania wizyt. Jej syn, Andrzej Sokala, wówczas asystent na Wydziale Prawa, a dziś profesor i prorektor UMK, woził te grypsy do Torunia, a stamtąd odpowiedzi do Potulic.

W książce w bardzo dużej części oddają Państwo głos samym internowanym, cytując fragmenty ich pamiętników, listów czy pojedynczych notatek. Czy oprócz tego rozmawiali Państwo z bohaterami publikacji?



► Ksiądz Józef Kutermak przed mszą świętą w obozie w Potulicach

Fot. ze zbiorów Krzysztofa Osińskiego

► Dawny Pawilon VII Zakładu Karnego w Potulicach

Fot. ze zbiorów Wojciecha Polaka



S.G.-S.: Tak, i na ogół bez problemu zgodzali się na spotkania. Jednak niektórzy nie chcieli się umówić na rozmowę, tłumacząc, że każde wspomnienie związane z obozem jest wciąż zbyt bolesne. Rozumiem to. U tych, którzy zdecydowali się ze mną spotkać, często się pojawiały łzy i wzruszenie. Bo chociaż jakoś potrafili się urządzić w tym więzieniu, to przecież nie były to naturalne warunki.

A która historia – z tych opowiadanych na żywo – szczególnie zapadła Państwu w pamięć?

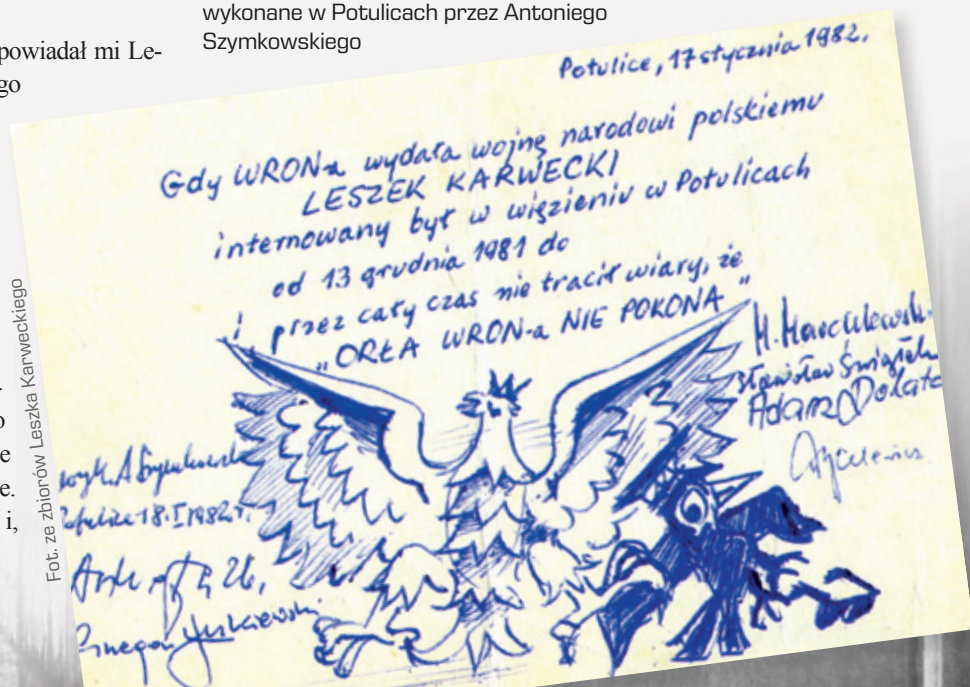
W.P.: Nie tyle konkretna historia, ile całokształt postawy Antoniego Stawikowskiego. U niego widać było to poczucie odpowiedzialności za całą grupę. Zdawał sobie sprawę z tego, że od jego decyzji będą zależeć rozmowy ze strażą czy rozwój akcji protestacyjnych, które podejmowali internowani. Widać było, że ten bagaż odpowiedzialności go przytłaczał, a on musiał sobie z nim dać radę. Niekiedy przychodziło mu tłumić zbyt radykalne zachowania. Pewnego razu, po tygodniowej głodówce, jeden z internowanych przekonywał go, żeby w dalszym ciągu odmawiać jedzenia. Stawikowski odpowiedział na to dość ostro, bo kontynuowanie głodówki mogłoby poskutkować trwałym uszczerbkiem na zdrowiu.

S.G.-S.: Szczególnie zapamiętałam to, co opowiadał mi Leszek Karwecki. Władze więzienne zwodziły go w sprawie spotkania z rodziną. Pamiętam, że kwestia wizyt na początku nie była w ogóle uregulowana. Rodziny nie wiedziały nawet, gdzie przebywają ich bliscy, czasem nawet wprowadzano je w błąd. Kiedy w końcu umożliwiono spotkania, bywało, że władze więzienia odmawiały pozwolenia na widzenie w ostatniej chwili, kiedy ktoś z rodziny już czekał przed bramą. Żonę i dziecko Leszka Karweckiego dwukrotnie, bez żadnej przyczyny, zawrócono sprzed sali widzeń. On wiedział, że przybyli, ale władze więzienia nie pozwoliły mu na spotkanie. To nawet teraz wywołuje u niego wzruszenie i, szczerze mówiąc, u mnie też wywołało.

Granie na czyichś uczuciach rodzinnych i obawie o najbliższych to często stosowana metoda zmierzająca do złamania człowieka. Opisują Państwo historię jednego z internowanych, który pod koniec pobytu został w zasadzie zmuszony do podpisania lojalki – żona była w ciąży, a ojciec zmarł na raka. Podpisał, żeby móc pojechać na pogrzeb.

S.G.-S.: I w takiej sytuacji trudno się dziwić tej decyzji. W.P.: Trzeba też pamiętać o tym, że lojalka, wbrew temu, co czasem się słyszy w mediach, nie jest tym samym, co zobowiązanie do współpracy z SB. Treść lojalki najczęściej głosiła, że sygnatariusz zobowiązuje się do przestrzegania prawa PRL. Internowani w czasie rozmów z esbekami często nie godzili się na podpisanie podszywanych im treści, ale proponowali, że sami napiszą deklarację, na co esbecy przystawali, wychodząc z założenia, że podpisanie czegokolwiek zawsze przyniesie jakiś efekt psychologiczny. Większość ostatecznie coś podpisała, a tłumaczyli to sobie w ten sposób: „Nie będę łamał prawa obowiązującego w PRL, ►

► Pamiątkowe „zaświadczenie” dla Leszka Karweckiego wykonane w Potulicach przez Antoniego Szymkowskiego



Fot. ze zbiorów Leszka Karweckiego

a więc również konstytucji. A tam jest napisane, że mamy wolność słowa, wyznania, poglądów, zrzeszania się itd. Ja to prawo respektowałem i będę respektował. Jeśli ktoś je łamie, to esbecy”.

O ile z samymi strażnikami można było próbować się dogadać i wywalczyć u nich zyczliwość czy przynajmniej obojętność, o tyle w przypadku funkcjonariuszy SB nie było na to szans. Ci byli wredni, złośliwi i – jak sami to określali – dążyli do zmiany postawy internowanych, czyli próbowali ich złamać. Niektórym się wydawało, że jeśli na kims wymuszają podpisanie deklaracji lojalności, to ta osoba już jest kupiona. A to oczywiście w ten sposób nie działało – wielu ludzi podpisywało deklarację lojalności, w której była mowa o przestrzeganiu prawa PRL, nie rezygnując jednocześnie z działalności opozycyjnej. Antoni Stawikowski wspominał, że wszystkim radził, żeby w razie wezwania na rozmowę z esbekiem – milczeli. Wszyscy przyznawali mu rację. Po czym byli zywani, wracali, a Stawikowski pytał, jak było. Przyznawali, że jednak podjęli rozmowę. Dlaczego? „Bo głupio milczeć, jak ktoś do ciebie mówi” – odpowiadali. Stawikowski stwierdził, że koledzy najwyraźniej byli za dobrze wychowani i dlatego nie dawali sobie rady w takich sytuacjach. On sam milczał, wytrzymywał. Jeszcze inny sposób na esbeków znalazł Antoni Szymkowski, zmarły w 2013 roku historyk sztuki, bohater 1956 roku, dla Torunia postać legenda. Kiedy funkcjonariusz zadawał

mu jakieś pytanie, on odpowiadał w tym stylu: „Bracie, czy wiesz, że za to, co czynisz, czeka cię wieczne potępienie?”. Kiedy esbek kilka razy z rzędu usłyszał tego typu odpowiedź, miał dosyć, uznał, że ma do czynienia z kimś nawiedzonym. Zresztą, kto wie, może też ruszało go sumienie? O formacie Antoniego Szymkowskiego niech świadczy jedna anegdota. W lutym 2008 roku pojechałem do Belwederu odebrać profesurę. Był ze mną Wiesław Skrzypczyński, który w Strzebielinku siedział w jednej celi z Lechem Kaczyńskim. Zaczepił prezydenta: „Słuchaj, Lechu, Antek Szymkowski leży po wylewie, a nie dostał jeszcze żadnego odznaczenia”. Prezydent tak się tym przejął, że w ciągu dwóch tygodni dwoje pracowników kancelarii prezydenta: minister Jacek Sasin i dyrektor Barbara Mamińska (zginęła w Smoleńsku w 2010 roku) pojechało do ośrodka opiekuńczego, w którym przebywał Szymkowski, i udekorowało go Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski. Była to bardzo podniosła uroczystość z udziałem najwyższych władz Torunia i województwa kujawsko-pomorskiego.

Czy w Potulicach zdarzały się przypadki zwerbowania?

W.P.: Były, pojedyncze.

S.G.-S.: W Potulicach internowano też osoby, które już wcześniej, przed stanem wojennym, współpracowały z SB. Jeden z najaktywniejszych donosił już od paru lat. Z obozu wyszedł jeszcze w grudniu, ale w ciągu tych kilkunastu dni zdążył dostarczyć duży donos o nastrojach panujących w celi.

Pan profesor wspominał o głodówce, którą internowani podjęli w ramach protestu. Można gorzko zażartować, że trudno im się dziwić, skoro dostawali tak paśkudne dania, jak np. kasza z surową krwią zwierzęcą.

S.G.-S.: W dodatku krew dolewano do kaszy w ich obecności – jeden strażnik wlewał, a drugi mieszał. Inną tego typu potrawą był gulasz, który – jak to określił Stefan Pastuszewski, jeden z internowanych – wyglądał, jakby granat rozewał kawałek świniaka. Jan Wyrowiński notował, że znowu podano gulasz ze świńskim okiem. Bo faktycznie w miskach pływały oczy zwierząt, czasami znajdowano ucho ze szczecią. Jacek Stankiewicz pisał o kawie z bromem, typowym napoju więziennym. Z czasem jednak zaczęły dochodzić paczki od rodzin, chociaż w wielu tych domach wcale się nie przelewało. Na szczęście była też pomoc Międzynarodowego Czerwonego Krzyża i Kościoła.

W.P.: Z czasem potuliczanie mogli przygotowywać posiłki z darów. Dochodziło wręcz do takich paradoksów, że kiedy rodziny przychodziły na widzenia,

to oni częstowali bliskich tym, co dostawali do cel. Oddawali szynkę w puszkach, salami przyniesione przez bp. Przykuckiego, które rozwieszali na więziennych kratkach, albo proszek do prania, który dostawali w zagranicznych paczkach, a w warunkach więziennych nie mieli jak go wykorzystać. Sam pamiętam, że kiedy organizowano zbiórki pomocy dla potuliczian, zgłaszało się tylu chętnych, iż w końcu ich rodziny mówiły, że już wystarczy – tyle przynoszono jedzenia. Z więzienia wyływały nie tylko grypsy, lecz także robione przez internowanych znaczki pocztowe, które krążyły po Toruniu. Rodziny opowiadały mi też o przemycaniu alkoholu do obozu. To była wyższa szkoła jazdy. W sprzedaży były wtedy gęste szampony o intensywnej barwie, w dużej, plastikowej butelce z dość szeroką szyjką. Spirytus wlewano do woreczka foliowego, zgrzewano i wkładano do butelki, z której wylano część szamponu.

S.G.-S.: Internowani mogli też kupować różne rzeczy, np. pastę do zębów, w kantynie więziennej. W listach do rodzin żartowali, że na wolności musieliby stać po takie rzeczy w kolejce i w dodatku kupować je na kartki. ❄



Fot. AIPN

Przypadki mędrca z Karpat Wschodnich

Jan A. Choroszy

Stanisław Vincenz (1888–1971) jest reprezentantem całej generacji polskich pisarzy emigracyjnych, w PRL objętych zapisem cenzorskim, wyeliminowanych z żywego obiegu kultury krajowej, zmarginalizowanych w dydaktyce uniwersyteckiej i szkolnej. Jeden z najciekawszych polskich autorów XX wieku zasługuje na większą uwagę i lepszą pamięć.

Stanisław Vincenz mawiał zawsze, że Opatrzność się chowa za przypadki. W październikową noc 1939 roku myślał raczej o pechu, bo słowa „Stoj, kto idiot?” nie zwiastowały niczego dobrego. Padły niemal na progu drewnianego domu na Huculszczyźnie, w Bystrecu (Bystrzcu) u stóp Czarnohory w Karpatach Wschodnich, dokąd po paru tygodniach pobytu na Węgrzech zmierzał z synem z pierwszego małżeństwa, dwudziestokilkuletnim wówczas Staśkiem. Wracał po rodzinę, żeby ją przeprowadzić przez góry do Budape-

sztu. Komendę po rosyjsku wydał postawiony na czujce sowiecki żołnierz, nie tyle pilnujący opanowanego we wrześniu terytorium, ile czekający właśnie na nich. Uzbrojony młokos nie zasnął na moment, nie odszedł za potrzebą w zarośla, nie przytknął oczu. Puścił wolno, lecz złożył mędnym, którym uruchomił wypróbowany mechanizm. Rankiem następnego dnia, 21 października, Stanisław i Staśko Vincenzowie zostali aresztowani pod zarzutem nielegalnego przekraczania granicy.

Życie rozwichrzone

Wyprawa na Węgry była rekonesansem, podjętym z myślą o wydobyciu się spod okupacji sowieckiej. 17 września 1939 roku, w dniu inwazji Armii Czerwonej i, jak czytamy we wspomnieniowych *Dialogach z Sowietami*, „po uważnym wysłu- ▶

▶ Stanisław Vincenz z Michaeliem, synem Ruth i Petera Marbachów, szwajcarskich przyjaciół, Heiligenschwendli, 1961 rok





▶ Stanisław Vincenz z huculskimi sąsiadami, 1938 rok

chaniu mowy komisarza ludowego pana Mołotowa” transmitowanej przez radio, obaj Vincenzowie w towarzystwie pisarza Jerzego Stempowskiego przebyli Przełęcz Tatarską i rozpoczęli poszukiwania dróg oraz etapów ewakuacji rodziny. Punktem docelowym podróży był Budapeszt, skąd – jak się wydawało – po uzyskaniu niezbędnych wiz i po ściągnięciu „w jakiś sposób” bliskich można będzie wydostać się do Szwajcarii, gdzie mieszkała całkiem liczna grupa oddanych przyjaciół. Dni spędzone nad Dunajem były jak „sen pokoju”, ułuda, skłaniająca do powątpiewania w realność toczącej się wojny. Tymczasem po drugiej stronie Karpat Wschodnich nowa władza zaprowadzała już własne porządki.

Stanisław Vincenz był wtedy człowiekiem w słusznym wieku, doświadczonym i „po przejściach” – dotychczas wiódł bowiem bujne życie pokręcone jak górski nurt Czeremoszu. Syn nafiara i ziemianki, absolwent gimnazjum klasycznego w Kołomyi, doktor filozofii wypromowany na Uniwersytecie Wiedeńskim, aspirant do kariery naukowej, szeregowy żołnierz monarchii austro-węgierskiej na froncie w Dolomitach, oficer Wojska Polskiego w wojnie polsko-bolszewickiej, redaktor piśmudzykowskiej „Drogi”, działacz regionalny i kustosz „swojskości” Huculszczyzny, tłumacz poezji Walta Whitmana i traktatu filozoficznego *Wszechideal* Rudolfa Marii Holzapfla, był wreszcie



▶ Stanisław Vincenz jako oficer Wojska Polskiego, 1920 rok

autorem wydanego w 1936 roku epickiego dzieła *Na wysokiej poloninie*, zawierającego „obrazy, dumy i gawędy” wschodniokarpackich górali. A gdzieś po drodze – mimochodem – dał się poznać jako przedsiębiorca, twórca kartelu naftowego, w 1931 roku bohater ustawionego procesu o wielką defraudację, ścigany międzynarodowym listem gończym i aresztowany z hukiem (na krótko) w szwajcarskim Bernie, a w końcu prawomocnie uniewinniony. Oskarżenie było najprawdopodobniej formą rewanzu za manifestacyjną niezgodę na kierunek (i kierowników) polityki

narodowościowej na ziemiach wschodnich II Rzeczypospolitej – ponieważ Vincenz miał opinię przyjaciela Ukraińców i Żydów, poważny zarzut kryminalny pośrednio dyskredytował jego poglądy w tej ważnej kwestii społecznej. Jeśli do tych doświadczeń dodać dwa związki małżeńskie, najpierw z prawosławną Leną Loeventon, Rosjanką z Jałty, a po rozwodzie – z katoliczką Ireną Eisenmann (miał z nią dwoje dzieci: Andrzeja i Barbarę), córką całkowicie zasymilowanych Żydów z centralnej Polski, to opinia pisarza Jarosława Iwaszkiewicza, że życie Stanisława Vincenza wygląda jak temat z Faulknera, nie wydaje się przesadzona. W sierpniu 1939 roku, ostatnim miesiącu pokoju, to bujne i rozwichrzone życie wydawało się nareszcie ustabilizowane, zostało bowiem podporządkowane idei stworzenia dzieła pisarskiego, w którym Huculszczyzna – od pokoleń zachwycająca pięknem górską ojczyzna Huculów, Żydów, Ormian, Polaków, Niemców, Cyganów i wszystkich obywateli pogranicza – przemawiać będzie do ludzi zewsząd o tym, co dla każdego człowieka jest najważniejsze: o życiu w pokoju i wolności.

Więźień i uciekinier

Więźenie NKWD w Stanisławowie, gdzie obaj Vincenzowie trafili 21 października 1939 roku, nie dawało przesadnej nadziei na spełnienie szczytnych humanistycznych zamiarów. W spisanych po latach *Dialogach z Sowietami* nie znajdujemy wielu słów o strachu i realnym zagrożeniu życia, o całkiem prawdopodobnej perspektywie wywózki do Azji, lecz nie ulega wątpliwości, że Stanisław Vincenz zdawał sobie sprawę z utraty kontroli nad wydarzeniami, a chyba też i z nieuchronności najgorszego scenariusza. Znalazł się w rękach syrojidów – bajkowych potworów, którymi Huculi niepedagogicznie straszili dzieci, a które teraz zmaterializowały się w postaci aparatu represji i indoktrynacji, narzucającego zasady postępowania sprzeczne z podstawowymi wartościami, grożącego „znijaczeniem” (odebraniem podmiotowości i indywidualności), a wreszcie zwykłą nudą. Jedyłą przeciwwagą dla smętnych procedur, przesłuchań i rozmów były

Fot. ze zbiorów Barbary Wanders-Vincenz, córki pisarza

Fot. ze zbiorów Stanisława Vincenza juniora, wnuka pisarza

gwiazdy na czystym niebie, obserwowane z celi, przekonujące bez słów, że na wzięciu wszechświat się nie kończy.

Nie znamy kulisów zabiegów podjętych przez rodzinę pisarza, a zwłaszcza przez pierwszą żonę Lenę, która zmobilizowała do interwencji kilku ukraińskich pisarzy ceniących dzieło „Homera Huculszczyzny”. Prozaicy Iwan Łe i Petro Pancz, wspierani przez poetę Bera Horowitza, posłużyli się argumentem trafny i prawdziwy: w centrum huculskiego eposu – *Na wysokiej połoninie* – znajdował się lud, a kulturze ludowej (chłopskiej czy pasterkiej) Vincenz przypisywał pierwszorzędną rangę. Starania okazały się skuteczne: 4 albo 5 grudnia 1939 roku obaj Vincenzo nie tylko zostali uwolnieni, lecz także z honorami odwiezieni czarną limuzyną do domu Leny w Słobodzie Rungurskiej, z atencją należną wybitnemu twórcy literatury ludowej i antyburżuazyjnej, godnemu szacunku inteligentowi, który onegdaj we własnym ogrodzie wystawił pomnik ukraińskiemu pocie Iwanowi France, a więc dobrze rokował jako potencjalny sojusznik w walce z wrogiem klasowym. W tym samym momencie zaczął się okres skrytych, lecz konsekwentnych przygotowań do odroczonej ucieczki na Węgry.

Urodzony w Słobodzie Rungurskiej w powiecie peczeniżyńskim (20 km od Kołomyi), wychowywany po części w wiosce Krzyworównia nad Czeremoszem u dziadka Stanisława Przybyłowskiego, Stanisław Vincenz od dziecka żył w bliskiej relacji z Hucułami i Żydami, w przestrzeni, w której mieszały się krew, języki, tradycje i religie. Odbierał lekcję dobrego sąsiedztwa, pokoju i szacunku dla każdego *sacrum*, odczuwał wspólnotę losów wpisanych w ten sam krajobraz. Nazywał Huculszczyznę ściślejszą ojczyzną, czuł się jej synem, strażnikiem, spadkobiercą i dłużnikiem. Żył w sobie do niej wierną miłość, dlatego zawsze wracał. A teraz, wiosną 1940 roku, ujrzał

konieczność wędrówki, która wcale nie dawała pewności powrotu.

Zaplanowana rodzinna ucieczka spod władzy Sowietów przebiegała w dwóch fazach. Najpierw wymknęli się obaj synowie Stanisława Vincenza. W obawie, że niedługo zostaną siłą wcieleni do Armii Czerwonej, 19 marca 1940 roku dwudziesto- pięcioletni Staśko i osiemnastoletni Jędrzek na nartach wspięli się na główny grzbiet Czarnohory i zjechali na południową stronę. Łatwo nie było, ponieważ musieli się kryć przed wzrokiem żołnierzy z patro-



Fot. ze zbiorów Barbary Wanders-Vincenz, córki pisarza

▶ Stanisław Vincenz w Nógrádverőce, 1942 rok

li granicznych, a w trudnych zimowych warunkach przemierzali drogę nieznaną i zdradliwą. Co najmniej raz cudem uniknęli śmierci, kiedy po krach przepawali się przez Cisę. Dotarli w końcu do Budapesztu, gdzie polskie przedstawicielstwo zajmowało się wysyłaniem uchodźców do Francji przez Włochy. Jędrzek skorzystał z tej możliwości i przedostawszy się na Zachód, zaciągnął się do polskiego wojska (po przeszkoleniu służył w 1. Dywizji Pancerniej gen. Stanisława Maczka jako łącznościowiec i radiotelegrafista w czołgu, brał udział w ofensywie w Normandii, walczył we Francji, Holandii i Niemczech). Włosi zamknęli jednak granicę dla mężczyzn w wieku poborowym, dlatego starszy o kilka lat Staśko pozostał w Budapeszcie i czekał na resztę rodziny: pracował, zbierał informacje, pisał listy do domu i do Szwajcarii (oprócz Helwetów odbierał je Jerzy Stempowski). Mijały tygodnie, a on nie wiedział nawet, czy rodzice żyją, czy matka i ojciec z drugą żoną nie zostali zmuszeni do zmiany planów.

26 maja 1940 roku, kiedy stopniały śniegi, nocą, pod opieką huculskich sąsiadów znających tajemne ścieżki dawnych przemytników, Stanisław Vincenz z pięcioma kobietami (obiema żonami, piętnastoletnią córką Barbarą i dwiema nastolatka- ▶



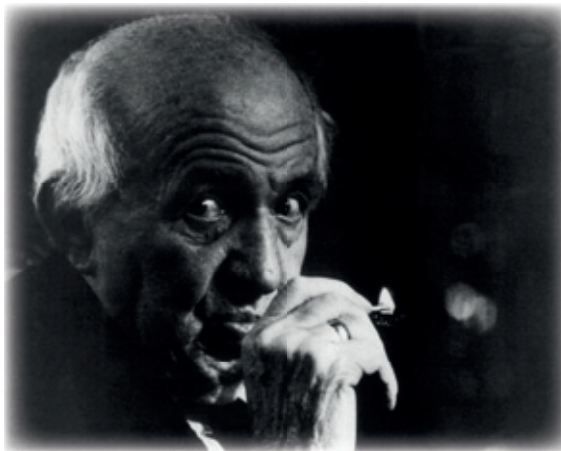
▶ Stanisław Vincenz (w środku) ze szwajcarskimi przyjaciółmi, Hansem Zbindenem (z lewej) i Willym Schuppisserem, oraz synem Andrzejem (z tyłu) w La Combe, 1958 rok

mi związanymi z rodziną) unosił z domu w Bystrecu (gdzie mieszkał z Ireną) życie, wolność, na pewno nadzieję. Do plecaka zmieściło się parę fotografii, kilka książek, najważniejsze rękopisy rozpoczętego drugiego tomu *Na wysokiej poloninie*. Nikt nie miał wątpliwości, że nie wyrusza w wyprawę turystyczną. To była ucieczka, początek tułaczki. Opuszczony dom został wkrótce rozebrany i przeniesiony. Sowiecka władza urządziła w nim klub dla pionierów czy komsomolców, aż wreszcie ktoś podłożył ogień, który doszczętnie strawił ostatni ślad Vincenzów w Bystrecu. W 2010 roku, po siedemdziesięciu latach, na tarasie zbrocza w miejscu, gdzie dom był pierwotnie posadowiony, stanął okazały huculski krzyż. Tablica w trzech językach (ukraińskim, polskim i hebrajskim) informuje, że tu Vincenz zaczął tworzyć opowieść o dawnej huculskiej Wierchowinie, o „świecie, który był dobry, mądry i szczęśliwy”.

Test z człowieczeństwa

W Europie zrytej wojną Węgry już nie wydawały się oazą spokoju. Toczyło się nienormalne życie, podminowane niepokojem i rozpaczą: żonę i córkę brata Sowieci wywieźli na Syberię, do uciekinierów docierały liczne wieści o polskich ofiarach ukraińskich nacjonalistów, w 1942 roku zmarł ojciec Stanisława Vincenza, matka Ireny ukrywała się przed Niemcami w Słobodzie Rungurskiej, zagłada Żydów nabierała tragicznej mocy. Kiedy w 1944 do Budapesztu wkroczyli Niemcy, zrobiło się bardzo niebezpiecznie, a szczególne zagrożenie zawisło nad Żydami z Polski i innych krajów Europy Środkowej. Vincenz zaangażował się w ich ukrywanie, starał się o wyrobienie lewych dokumentów i udzielał bezpośredniej pomocy, przyjmował pod własny dach i osłaniał, m.in. aranżując sytuacje (wręcz maskarady) osłabiające podejrzliwość sąsiadów. Przeprowadził akcję ratowania żydowskich dzieci, które przebywały w naddunajskim Vácu w szkole z internatem utrzymywanej przez polski rząd i były najoczywiej narażone na za-

glądę. Vincenz zaplanował i nadzorował formalną likwidację tej placówki oświatowej i ulokowanie dzieci w zaufanych rodzinach węgierskich, do czego niezbędna była – uzyskana podstępem – zgoda lokalnej administracji. Wśród ocalonych byli synowie przyjaciół z Karpat Wschodnich, bracia Gertnerowie, ale też całkiem obcy ludzie, których przypadek postawił Vincenzowi na drodze. Musiał myśleć o podejmowanym ryzyku, lecz – uważny rozmówca rabinów i cadyków, obznajomiony ze świętymi księgami chasydów – wierzył jak kabaliści, że człowiek ma obowiązek podjęcia odpowiedzialności za świat. Raz polega to na ekstatycznej



Fot. Claude Huber/ze zbiorów Barbary Wanders-
-Vincenz, córki pisarza

▶ Stanisław Vincenz, Lozanna, 1966 rok

modlitwie, kiedy indziej – na roztropnym działaniu, na czynach godnych. Medal „Sprawiedliwy wśród Narodów Świata”, przyznany pośmiertnie przez Instytut Yad Vashem w 1981 roku, przyjąłby zapewne bez dumy, z gorzką świadomością nagradzania jako wyjątkowej postawy, która powinna być powszechna. Do końca życia opłakiwał zgładzonych, a w słowach Achillesa z *Iliady* – „Abym natychmiast umarł, bo nie było mi dane ochronić towarzyszy zabijanych” – odnajdywał własne żal i cierpienie.

Vincenz miał to, czego brakowało syrojidom wszelkich maści: zakorzenienie w dwóch glebach. Pierwszy grunt stanowiła okolica domowa, ściślejsza ojczyzna (niem. *Heimat*), wpisana w koncepcję polskości otwartej na odmienność i niewykluczającej z powodu języka, religii i kultury.

Widział w takiej Polsce, z ducha jagiellońskiej, ideę ciągle żywą, jakby nie zauważając albo tylko nie doceniając rosnących aspiracji narodowych Ukraińców. Nie przeoczył fatalnej polityki etnicznej na wschodnich rubieżach II Rzeczypospolitej, lecz programów emancypacyjnych sąsiedzkiego narodu ukraińskiego nie potrafił rozpoznać – pewno dlatego, że każdy nacjonalizm uważał za chorobę i nieszczeście. Drugą glebą była wielka europejska tradycja literacka i intelektualna, a zwłaszcza zapisane w niej mity i doświadczenia duchowe. Vincenz czytał Homera, jak nikt rozumiał Platona, a na Węgrzech, jako emigrant, zżył się z twórczością Dantego wygnanego z Florencji. Zmienił koncepcję epickiego cyklu *Na wysokiej poloninie* – w obliczu wojny, Zagłady, totalitaryzmów i nacjonalizmów dzieło nie mogło już opowiadać tylko o życiu huculskich górali w Karpatach Wschodnich i ich archaicznej kulturze pasterskiej, musiało odnosić się do bezpowrotnie przekształconej rzeczywistości, trafiać do czytelnika odmienionego przez wydarzenia historyczne, zdruzgotanych wojną ludzi uczyć na nowo reguł człowieczeństwa. Praca literacka stawała się dla Vincenza główną powinnością, misją podjętą z największą powagą i oddaniem, była nową dla niego formą przyjęcia odpowiedzialności za świat. Mało kto to rozumiał.

Czarnohora w Grenoble

Po zakończeniu działań wojennych (a front przetaczał się przez Węgry nad ich głowami) Irena i Stanisław Vincenzowie trafili do Uriage-les-Bains w pobliżu Grenoble, gdzie Barbara rozpoczęła studia; Lena połączyła się ze Staśkiem w Londynie. W wynajętym trochę później skromnym mieszkaniu w centrum Grenoble, ledwo wiążąc koniec z końcem, emigranci próbowali od nowa nadać życiu sens. Jednym z pierwszych kroków, które podjął Stanisław Vincenz, było wysłanie listu do Jerzego Giedroycia i złożenie oferty udziału w „niewidzialnej, szerokiej”

redakcji, stworzenia swoistego zaplecza umysłowego i zgromadzenia licznej grupy współpracowników „Kultury”. Redaktor skwapliwie korzystał z Vincenzowego doświadczenia, pióra, znajomości w kręgach szwajcarskich intelektualistów, a wreszcie z mądrości. Najślynniejszym jej użyciem, opisanym wielokrotnie, były „rekolacje” odbyte w La Combe-de-Lancey na początku lat pięćdziesiątych przez Czesława Miłosza, który w dość dramatycznych i nieprzyjemnych okolicznościach zerwał z reżimem komunistycznym w Warszawie – Vincenz, krótko mówiąc, postawił poetę na nogi i przywrócił mu duszę. Giedroyc nie rozumiał jednak najważniejszego projektu pisarskiego, rozrastającego się do czterech opasłych tomów cyklu powieściowego, w którym przez lata rzeźbiły się słowa o kosmicznej miłości przenikającej świat, o konieczności tęsknoty do Ideału i nieskończoności, o duchowości ocalającej od zniaczenia i moralnej katastrofy. Redaktor „Kultury” potrzebował autorów rewolwerowców, szybko reagujących na bieżące wydarzenia polityczne, szukał publicystów, a Vincenza – poza *Na wysokiej połoninie* – najbardziej zajmowało pisanie esejów o Dancie, Homerze i Pausaniaszu albo wspomnień o Lwowie. To jednak Vincenz i jemu podobni, jak Jerzy Stempowski, Józef Wittlin, Maria i Józef Czapscy, Wit Tarnawski, częściowo Miłosz, ratowali europejską tożsamość, odbudowywali zaufanie do języka, przywracali prawdziwe znaczenia pojęciom i słowom.

Współpracownicy Giedroycia skarżyli się, że zespół „Kultury” w Maisons-Laffitte żyje jak w zakonie, poddany dość surowej regule. Vincenz najczęściej nie upodabniał się do pustelnika. Utrzymywał liczne kontakty, miał sporo gości, zwłaszcza od kiedy syn Andrzej (Jędręk) kupił niewielki wiejski dom w La Combe-de-Lancey w Delfinacie, gdzie łatwiej można było znieść letnie upały, niemniej przez wiele dni w roku nie miał – poza żoną Ireną – do kogo ust otworzyć. Niemal jedyną formą kontaktu ze światem były listy i telegramy, a rytm życia wyznaczały wizyty listonosza i godzina zamykania poczty. Skromne, ubogie gospodarstwo domowe spoczywało na barkach Ireny, bezgranicz-

nie oddanej mężowi i jego twórczości. On w chwilach euforii widział się w roli laureata literackiej Nagrody Nobla za powieść *Na wysokiej połoninie*, wydaną w 1955 roku w jednotomowym wyborze w przekładzie na język angielski, w znacznie częstszych momentach depresji odkładał pracę i, zniechęcony, zamykał się w sobie. Ona nigdy nie traciła kontaktu z rzeczywistością. Jej upór doprowadził w końcu do opublikowania w całości najważniejszego dzieła Vincenza, choć dwóch ostatnich tomów autor nie zdążył już zobaczyć.

Jerzy Stempowski, który kiedyś wpadł do nich z Berna, był zaskoczony, jak wiele z aury przedwojennego czarnohorskiego domu odnajdywał w ciasnym mieszkaniu w Grenoble. To były, o czym świetnie wiedział, tylko zewnętrzne objawy trwania w głowie, pamięci i wyobraźni świata, do którego już nikt z nich nie miał powrócić. Jedyna książka, którą Giedroyc wydał Vincenzowi, tom esejów z przedmową Czesława Miłosza, została zatytułowana *Po stronie pamięci*. Nie ma tam płaczu wygnańca, żalu za utraconym domem, należnych wszystkim syrojidom słów potępienia. Vincenz, jak zwykle, odwołał się do *Czyśćca* Dantego, do obrazu dwóch rzek, Lety i Eunoe. Z lektury *Boskiej komedii* wywodził metafo-

rę-przekonanie, że człowiek, jeśli chce żyć godnie, musi pić z obu. Tylko woda z dwóch rzek czyszcących, pamięć o tym, co dobre, i zapomnienie tego, co złe, godzi z własnym losem, prowadzi do zrozumienia losów cudzych, wszystkich ludzi wciąga w krąg kosmicznej miłości przenikającej wszechświat. Tylko to, to przede wszystkim, to właśnie było najważniejsze.

Był pisarzem religijnym, choć człowiekiem słabo związanym z Kościołem. Z przykazania miłości bliźniego nie wywodził wiary w równość, lecz wierzył w braterstwo. Kiedy słuchał, to nie udawał i nie puszczał słów mimo uszu. Wielogłos, który brzmi w czterech grubych tomach *Na wysokiej połoninie*, jest najpiękniejszym i najważniejszym polilogiem, jaki powstał w literaturze europejskiej XX wieku. Pisane w czasach pogardy, ludobójstwa i Zagłady, napędzane poczuciem odpowiedzialności za świat, dzieło mędrca unieważnia każdy nacjonalizm i każdy totalitaryzm – na długo przed wizją Roberta Schumana wiąże nic, o której się myślało, że została zerwana na zawsze. I tak, na skutek serii przypadków, być musiało. ■

dr Jan A. Choroszy – pracownik Instytutu Filologii Polskiej Uniwersytetu Wrocławskiego

Fot. ze zbiorów Stanisława Vincenza juniora, wnuka pisarza



► Stanisław Vincenz w Grenoble, ok. 1961 roku

NOTATKA SŁUŻBOWA

dot. dochodzenia w sprawie **pamięć.pl**
Anny Rudzińskiej c. Bronisława ur.
27.X.1919 r. w Piotrkowie Trybunalskim
wyższ. wyższe poch. społ. burżuazyj.
bezpарт., pracownik naukowy Biblioteki
Filozofii i Filozofii PAN, zam. w W-wie
Marszałkowska 56

.....
p-ko Annie Rudzińskiej i Janowi Wolakiemu
podejrzanych z art.24 § 1 dekretu z dnia 13.VI.1946 r.
o przestępstwach szczególnie niebezpiecznych w okresie
odbudowy Państwa.

Anna RUDZIŃSKA winna wyjaśnić

- 1/ jak doszło do nawiązania
- "Kultury",
- 2/ jakie ona poznała
- kie tematy, prow
- nia/,
- 3/ jakie wy
- a w szczegól
- ką drogą,
- 4/ dlaczego
- sa "Seizure
- tego tłumac
- 5/ jakie ona d
- 6/ ile ona otr
- tych listów,
- się z nadawca
- 7/ co dla "Kultury
- lub zlecenie.
- dot."Kultury"
- 8/ nazwiska osób k
- arakter tych
- 9/ znajomość Rudzińskiej
- ła prace,
- 10/ znajomość Rudzińskiej
- wykonywała prace,
- 11/ jakie opracowania przy
- czy inne osoby miały
- celu,

czego jej Giedroyc zlecał przetłuma
"Seizure of Political Power" i w jakim
go tłumaczenia,

kie ona dostała wynagrodzenie od Gied
e ona otrzymała listów od Giedroyc
ch listów, gdzie te listy były
ę z nadawcami tych list

.....

1961 r. otrzymano z Wyd. IV.
s Anny Rudzińskiej kierowan
go wydawnictwa "Kultura" w
szkody interesom Państwa

wszczęto dochodzenie
dla m.st. Warszawy
A. Rudzińskiej.

otrzymanych od kpt
ka w 1959 r. Wyle
i. Po powrocie d
rzym Giedroycie
paryskiej, podre
ów PAN oraz człon
" różnych materia

Rudzińska zajmuje się
za co otrzymuje pieni
az przepisuje w domu na
czne dla pracowników PAN
a wykorzystywana operacyjn
awie. Ponieważ rozważana jest
awa dalszego wykorzystania op
otrzymano materiałów informacy
stanowić podstawę do opracowa

Rudzińska zajmuje się
za co otrzymuje pieni
az przepisuje w domu na
czne dla pracowników PAN
a wykorzystywana operacyjn
awie. Ponieważ rozważana jest
awa dalszego wykorzystania op
otrzymano materiałów informacy
stanowić podstawę do opracowa

Rudzińska zajmuje się
za co otrzymuje pieni
az przepisuje w domu na
czne dla pracowników PAN
a wykorzystywana operacyjn
awie. Ponieważ rozważana jest
awa dalszego wykorzystania op
otrzymano materiałów informacy
stanowić podstawę do opracowa

Rudzińska zajmuje się
za co otrzymuje pieni
az przepisuje w domu na
czne dla pracowników PAN
a wykorzystywana operacyjn
awie. Ponieważ rozważana jest
awa dalszego wykorzystania op
otrzymano materiałów informacy
stanowić podstawę do opracowa

Rudzińska zajmuje się
za co otrzymuje pieni
az przepisuje w domu na
czne dla pracowników PAN
a wykorzystywana operacyjn
awie. Ponieważ rozważana jest
awa dalszego wykorzystania op
otrzymano materiałów informacy
stanowić podstawę do opracowa

Rudzińska zajmuje się
za co otrzymuje pieni
az przepisuje w domu na
czne dla pracowników PAN
a wykorzystywana operacyjn
awie. Ponieważ rozważana jest
awa dalszego wykorzystania op
otrzymano materiałów informacy
stanowić podstawę do opracowa

Rudzińska zajmuje się
za co otrzymuje pieni
az przepisuje w domu na
czne dla pracowników PAN
a wykorzystywana operacyjn
awie. Ponieważ rozważana jest
awa dalszego wykorzystania op
otrzymano materiałów informacy
stanowić podstawę do opracowa

Rudzińska zajmuje się
za co otrzymuje pieni
az przepisuje w domu na
czne dla pracowników PAN
a wykorzystywana operacyjn
awie. Ponieważ rozważana jest
awa dalszego wykorzystania op
otrzymano materiałów informacy
stanowić podstawę do opracowa

Rudzińska zajmuje się
za co otrzymuje pieni
az przepisuje w domu na
czne dla pracowników PAN
a wykorzystywana operacyjn
awie. Ponieważ rozważana jest
awa dalszego wykorzystania op
otrzymano materiałów informacy
stanowić podstawę do opracowa

Do celi za „Kulturę”

Krzysztof Tarka

Więzienie za zamiar przełożenia książki naukowej wybitnego socjologa?
W PRL i takie rzeczy były możliwe.

Na początku października 1960 roku Jerzy Giedroyc, redaktor naczelny „Kultury” i szef Instytutu Literackiego w podparyskim Maisons-Laffitte, zwrócił się do Anny Rudzińskiej z prośbą o pomoc w sprawie przekładu książki Feliksa Grossa *The Seizure of Political Power* (Przejęcie władzy politycznej), która dwa lata wcześniej ukazała się w Nowym Jorku (Gross był polskim socjologiem i działaczem Polskiej Partii Socjalistycznej na emigracji, mieszkał w USA). Giedroyc szukał tłumacza, który byłby obeznany z polską terminologią socjologiczną. W liście do Rudzińskiej podkreślił, że sprawa jest bardzo pilna.

Anna Rudzińska (rocznik 1919) pracowała w bibliotece Wydziału Filozoficznego Uniwersytetu Warszawskiego, równocześnie była kierowniczką biura w Polskim Towarzystwie Socjologicznym. W 1958 roku zaangażowała się w działalność Klubu Krzywego Koła, gdzie społecznie pełniła funkcję sekretarki. Poznała wówczas wiele osób ze środowiska warszawskiej inteligencji: Lecha Beynara (Pawła Jasienicę), Zbigniewa Herberta, Witolda Jedlickiego, Jana Józefa Lipskiego, Aleksandra Malachowskiego, Jana Olszewskiego, Wojciecha Ziemińskiego. Po latach Olszewski wspominał, że Klub Krzywego Koła „działał tylko dzięki dwu osobom: niez mordowanej sekretarce Klubu Hance Rudzińskiej i Janowi Józefowi Lipskiemu. Hanka swą nieprawdopodobną energią i pracowitością utrzymywała jaki taki porządek w tym gronie organizacyjnie rozróżnionych intelektualistów”.

Schaff blokuje wymianę

W 1959 roku Rudzińska otrzymała półroczne stypendium naukowe w Nancy. Kierownik biblioteki na Wydziale Filozoficznym UW poprosił ją, by we Francji skontaktowała się z Giedroyciem. Liczył, że w ten sposób uda się zdobyć dla biblioteki niedostępne w kraju książki wydane przez Instytut Literacki oraz brakujące numery „Kultury”. Gdy na przełomie grudnia i stycznia Rudzińska przebywała w Paryżu u swojej kuzynki, zadzwoniła

do Maisons-Laffitte, a następnie spotkała się z Giedroyciem w jednej z paryskich kawiarni. Przekazała mu wówczas wykaz brakujących numerów „Kultury”. Redaktor obiecał jej, że dostarczy te egzemplarze. Ponownie spotkali się w Paryżu w okresie świąt wielkanocnych i dwukrotnie w czasie wakacji. Podczas ostatniego spotkania w połowie lipca 1960 roku Giedroyc przywiózł kilkanaście starych numerów „Kultury” oraz książki wydane przez Instytut Literacki. Wyjeżdżając z Francji, Rudzińska wzięła je ze sobą. Na szczęście na lotnisku jej bagaż nie wzbudził podejrzeń. Po przyjeździe do kraju przekazała emigracyjne wydawnictwa do biblioteki Wydziału Filozoficznego. Giedroyc miał nadzieję, że w drodze wymiany z biblioteką będzie mógł otrzymywać ukazujące się w kraju książki i czasopisma filozoficzne i socjologiczne. Rudzińska poinformowała o tej propozycji swojego szefa, który rozmawiał na ten temat z prof. Adamem Schaffem, znanym marksistowskim filozofem i członkiem Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Schaff kategorycznie zakazał wymiany książek. Próba zalegalizowania kontaktów między biblioteką uniwersytecką a wydawnictwem emigracyjnym skończyła się niepowodzeniem.

W końcu października 1960 roku Giedroyc z niecierpliwością dopytywał się o wiadomości w sprawie przekładu książki Grossa. Kilka dni później Rudzińska zawiadomiła go, że tłumacze się znaleźli. Były to dwie osoby z wykształceniem socjologicznym, które zajmowały się przekładem książek dla Państwowego Wy-

dawnictwa Naukowego. Rudzińska nie ujawniła w liście ich nazwisk (najprawdopodobniej chodziło o jej przyjaciółki, Janinę Frentzel i Zofię Kowalską).

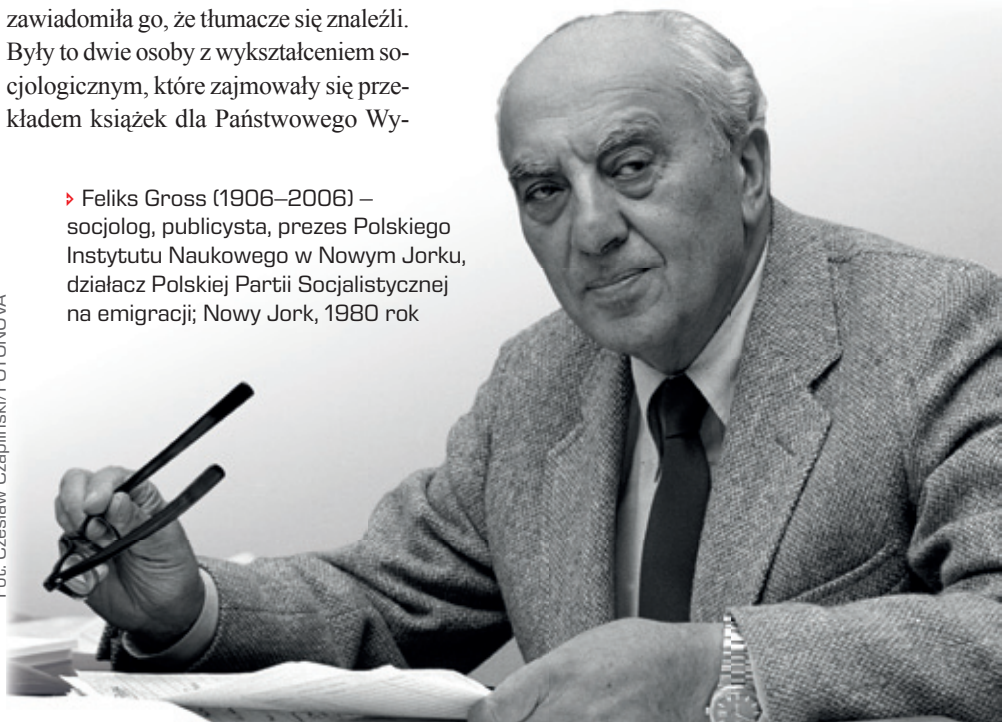
Kuzynka pośredniczka

Wiadomość o znalezieniu tłumaczy bardzo ucieszyła Giedroycia, który swoim zwyczajem dopytywał, kiedy będzie mógł dostać gotowy maszynopis. Zapowiadała, że książkę Grossa i pieniądze na tłumaczenie wyśle za pośrednictwem paryskiej kuzynki Rudzińskiej. Zaproponował jej również, aby ignorując zakaz Schaffa, sama kupowała dla niego w księgarni książki i wysyłała je do Paryża. Tak też zaczęła robić. Aby przesyłki nie zwracały uwagi, starała się jednorazowo nie wysłać więcej niż dwie książki. Na pokrycie kosztów zakupu Giedroyc przesłał jej przez PKO łącznie ponad 100 dolarów. Równowartość tej kwoty Rudzińska mogła wypłacić w złotówkach.

Na początku grudnia Giedroyc pytał Rudzińską, czy dostała już książkę Grossa. Ponieważ pierwsza przesyłka nie dotarła do adresatki, wysłał drugi egzemplarz. Ponaglał też w sprawie terminu tłumaczenia. Aby zmylić ewentualne podejrzenia Służby Bezpieczeństwa co do zamiaru wydania pracy Grossa przez „Kulturę”, dodał: „O ile się orientuję, wydawcy zależy na pośpiechu”. Trzy tygodnie później, zaniepokojony brakiem

► Feliks Gross (1906–2006) – socjolog, publicysta, prezes Polskiego Instytutu Naukowego w Nowym Jorku, działacz Polskiej Partii Socjalistycznej na emigracji; Nowy Jork, 1980 rok

Fot. Czesław Czaplinski/FOTONOVA



wiadomości od Rudzińskiej, ponownie dopytywał, czy dostała już książkę Grossa i jak wygląda sprawa przekładu. W końcu stycznia 1961 roku kolejny raz pośpieszał ją w sprawie tłumaczenia.

Kilkanaście dni później Rudzińska w liście do Giedroycia lapidarnie stwierdziła, że „tłumaczenie idzie”. Dziękowała też za przesyłkę „rocznika 1960” (chodziło o rocznik „Kultury”). W liście z 19 kwietnia 1961 roku informowała, że wcześniej wysłała już część przekładu. Na początku czerwca zawiadomiła Giedroycia, że „tłumaczenie będzie za jakiś miesiąc”. Kamouflując kontakt z redaktorem, list zatytułowała w liczbie mnogiej: „Drodzy moi!”. Kilka dni później dodała, że latem ma do niej przyjechać kuzynka z Paryża. Sugerowała, aby redaktor dał jej książki wydane przez Instytut Literacki i najnowszy numer „Kultury”: „tu wszyscy bardzo [na nie] czekamy”. Sto stron tłumaczenia zamierzała przekazać za pośrednictwem Piotra Wandycza, emigracyjnego historyka i współpracownika „Kultury”, którego poznała w Warszawie.

Korespondencję Rudzińskiej z Giedroyciem od początku kontrolowała bezpieka.

Już pierwsza kartka pocztowa, którą Rudzińska wysłała po powrocie z Francji w sierpniu 1960 roku, trafiła w ręce SB. Pocztówkę z wakacji nieopatrznie wysłała na nazwisko i adres redaktora „Kultury”, co musiało zwrócić uwagę bezpieki. Podpisała się też własnym nazwiskiem.

Również co najmniej jeden z „listonoszy” redaktora, znany pisarz i publicysta historyczny Olgierd Terlecki, był równocześnie agentem SB (tajny współpracownik o pseudonimach „Rudnicki”, „Lachowicz”). Ze względów bezpieczeństwa Giedroyc nie wysyłał listów bezpośrednio na adres Rudzińskiej, lecz dawał je różnym osobom wracającym z Francji do Polski, a te wrzucały je do skrzynek pocztowych w Krakowie lub Warszawie jako listy krajowe. Mimo ostrożności Giedroycia SB wpadła jednak na trop jego kontaktów z Rudzińską. Instytut Literacki, jako „wrogi ośrodek dywersyjny”, niejako z urzędu znajdował się na celowniku komunistycznego aparatu represji.

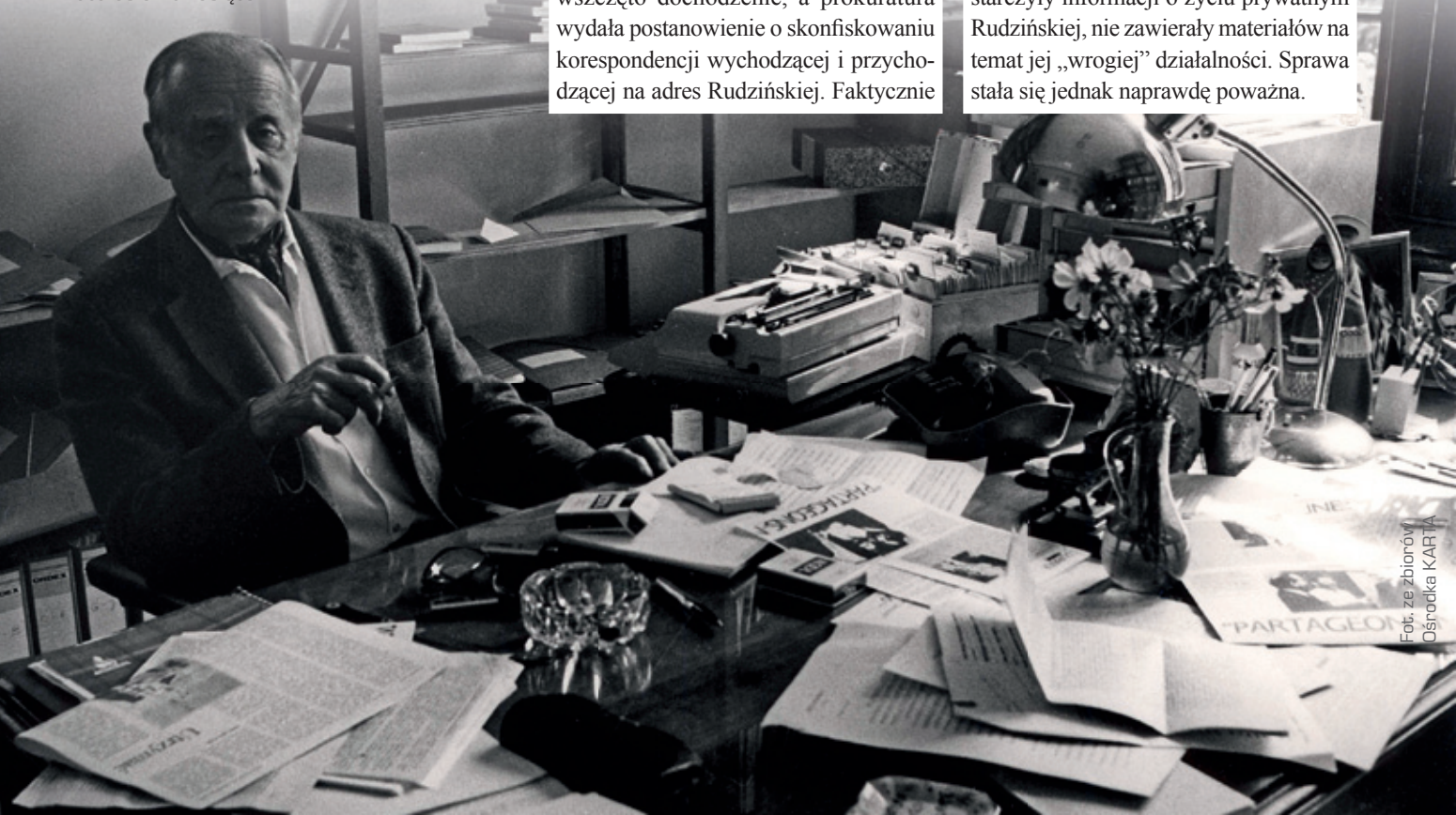
SB wkracza do akcji

7 lipca 1961 roku Departament III zawiadomił Biuro Śledcze MSW, że na adres Rudzińskiej jest kierowana „wroga” korespondencja z „Kultury”. W sprawie wszczęto dochodzenie, a prokuratura wydała postanowienie o skonfiskowaniu korespondencji wychodzącej i przychozącej na adres Rudzińskiej. Faktycznie

SB już znacznie wcześniej przejęła kilka listów Giedroycia do bibliotekarki. Bezpieka ustaliła, że po powrocie ze stypendium we Francji Rudzińska utrzymywała kontakt korespondencyjny z Giedroyciem, pośrednicząc w przesyłaniu z kraju różnych materiałów dla „Kultury” oraz załatwianiu spraw dotyczących pracowników Polskiej Akademii Nauk czy członków Klubu Krzywego Koła (stypendia zagraniczne). SB wiedziała również, że Rudzińska zajmuje się „jakimś tłumaczeniem” dla Giedroycia.

Wobec bibliotekarki podjęto działania niczym wobec groźnego przestępcy. W drugiej połowie lipca i na początku sierpnia funkcjonariusze Biura „B” (obserwacji zewnętrznej) przez kilka dni inwigilowali podejrzaną. W ten sposób chciano ustalić, z kim się kontaktowała „Anita” (pseudonim nadany Rudzińskiej) oraz jaki prowadziła tryb życia. Podczas obserwacji esbecy wykonali ponad trzydzieści zdjęć operacyjnych figurantki. Począwszy od 11 lipca jej telefon domowy był na podsłuchu. Aż do początku września funkcjonariusze z Biura „T” (techniki operacyjnej) MSW skrzętnie spisywali rozmowy z obiektu „Ruda”, czyli mieszkania inwigilowanej. Podsłuchy, choć dostarczyły informacji o życiu prywatnym Rudzińskiej, nie zawierały materiałów na temat jej „wrogiej” działalności. Sprawa stała się jednak naprawdę poważna.

► Jerzy Giedroyc w Maisons-Lafitte, lata osiemdziesiąte



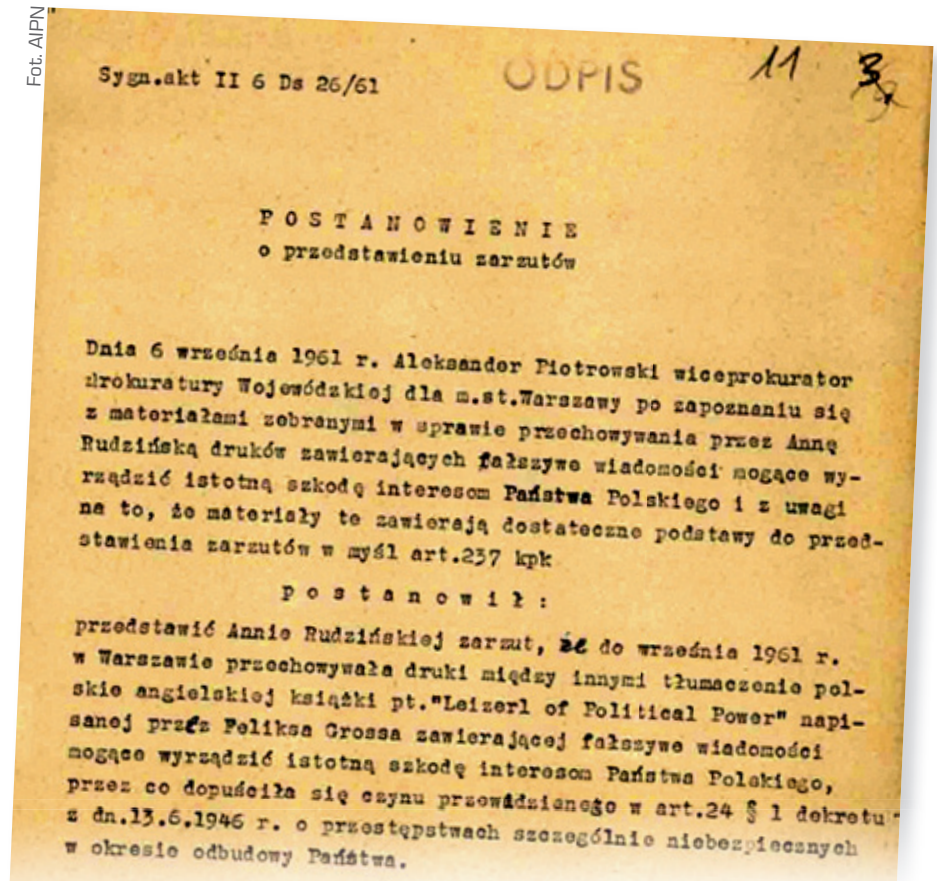
Niebawem funkcjonariusze SB zdobyli kolejne dowody „przestępczej” działalności Rudzińskiej. W końcu lipca przyjechała do niej kuzynka z Paryża. W drodze powrotnej do Francji 2 września została zatrzymana w pociągu na granicy w Kunowicach pod pretekstem braku wschodniemieckiej wizy tranzytowej. Znalaziono przy niej różne maszyny, w tym fragment tłumaczenia książki Grossa. Funkcjonariusze SB podejrzewali, że to Rudzińska była autorką przekładu. Wśród zarekwirowanych materiałów była również odręcznie zapisana kartka, zawierająca rozliczenia płatnicze, co uwiarygodniło podejrzenia, że to Giedroyc przesyłał Rudzińskiej pieniądze (formalnie nadawcą przekazów przez PKO była jej kuzynka z Paryża).

Na Rakowieckiej

Gdy 4 września Rudzińska po powrocie z pracy jechała windą na czwarte piętro do swojego mieszkania przy ul. Marszałkowskiej, zobaczyła stojących na półpiętrze „smutnych panów”. Natychmiast zjechała na dół. Kupiła w kiosku koperty i wysłała do ciotki mieszkającej w Pyrach pod Warszawą notes z adresami oraz część tłumaczenia książki Grossa, które miała przy sobie (kuzynka już wcześniej zawiadomiła ją o swojej „przygodzie” na granicy). Gdy wróciła, ledwie weszła do mieszkania, usłyszała dzwonek do drzwi. Podczas rewizji funkcjonariusze SB znaleźli książkę Grossa i kilka stron jej tłumaczenia na język polski oraz korespondencję świadczącą o utrzymywaniu przez bibliotekarkę kontaktów z redaktorem „Kultury”. Po zakończeniu rewizji Rudzińska została tymczasowo aresztowana i osadzona w więzieniu na Mokotowie.

Przesłuchującym ją oficerom śledczym opowiedziała o okolicznościach nawiązania kontaktu z Giedroyciem podczas pobytu na stypendium we Francji. Wyjaśniła też, że po powrocie do kraju utrzymywała korespondencyjny kontakt z redaktorem „Kultury”. Od stycznia do maja 1961 roku wysłała mu około dwudziestu książek z zakresu filozofii, socjologii i historii. W jednym z listów Giedroyc wspominał jej o potrzebie dokonania tłumacze-

Fot. AIPN



nia książki Grossa z zakresu socjologii polityki. Rudzińska wyjaśniła, że wraz z Janiną Frentzel i Zofią Kowalską przetłumaczyła wstęp, pierwszy rozdział oraz część drugiego rozdziału książki Grossa. Tekst tłumaczenia został jednak – jak powiedziała funkcjonariuszom – zniszczony. Inne fragmenty tłumaczenia Giedroyc miał przekazać jej kuzynce przed wyjazdem do Polski. Rudzińska miała zlecić sprawdzenie poprawności tłumaczenia. W śledztwie stwierdziła, że nie znalazła jednak nikogo, kto by tego dokonał.

Śledczy interesowali się również działalnością Klubu Krzywego Koła. Porucznik Zbigniew Pudysz (późniejszy wiceminister spraw wewnętrznych za czasów Czesława Kiszczaka) pytał Rudzińską o klubową kartotekę z adresami, którą podczas rewizji znalaziono w jej mieszkaniu. Podejrzana wyjaśniała, że kartoteka była jej potrzebna, bo wypisywała zaproszenia na odczyty i spotkania. Podczas kolejnych przesłuchań śledczy dopytywali się o klubowe archiwum. Rudzińska stwierdziła, że poza dokumentami, które znalaziono w jej mieszkaniu podczas rewizji, pozostałe materiały znajdują się

u Jana Józefa Lipskiego, sekretarza klubu, lub w Staromiejskim Domu Kultury, gdzie organizacja miała siedzibę (funkcjonariusze SB niebawem przeprowadzili rewizję w mieszkaniu Lipskiego).

Aby uwiarygodnić swoje wyjaśnienia, Rudzińska przyznawała się do spraw znanych SB, albo takich, którym nie mogła zaprzeczyć. W sprawie tłumaczenia książki Grossa czy rozliczenia finansowego z Giedroyciem jej wyjaśnienia były pokrętne czy wręcz sprzeczne ze sobą. Raz twierdziła, że szukała kogoś, kto by jej pomógł w tłumaczeniu, ponieważ sama słabo znała język angielski, innym razem utrzymywała, że tłumaczeniem zajmowała się sama w wolnych chwilach. Ostatecznie „winę” wzięła na siebie, oświadczając, że jedynie pewnej pomocy przy tłumaczeniu poszczególnych zwrotów udzieliły jej Frentzel i Kowalska. Jednocześnie twierdziła, że przestraszona wiadomością o zatrzymaniu kuzynki na granicy, wyrzuciła swoje tłumaczenie do kubła na śmieci stojącego na podwórku. W ten sposób główny dowód „przestępstwa” został bezpowrotnie zniszczony. W rzeczywistości Rudzińska wymyśliła tę historię. Śled-

czy chyba nie do końca jej uwierzyli, gdyż na protokole przesłuchania postawiono w tym miejscu znak zapytania.

Prokurator oskarżył Rudzińską z artykułu 23 par. 1 małego kodeksu karnego, zgodnie z którym „kto rozpowszechnia, lub w celu rozpowszechniania, przechowuje lub przewozi pisma, druki lub wizerunki, nawołujące do popełnienia zbrodni lub pochwalające zbrodnię, lub których treść ma pozostawać tajemnicą wobec władzy państwowej, albo które zawierają fałszywe wiadomości, mogące wyrządzić istotną szkodę interesom Państwa Polskiego, bądź obniżyć powagę jego naczelnych organów, podlega karze więzienia na czas nie krótszy od lat 3”. Książka naukowa została uznana za nawołującą do popełnienia zbrodni lub pochwalającą zbrodnię albo zawierającą fałszywe wiadomości, a podjęcie się jej przekładu za rozpowszechnianie! Groźba drakońskiej kary, która zawisła nad Rudzińską, nijak miała się do popełnionego przez nią czynu. Ten „gumowy” przepis pozwalał jednak władzom PRL uznać ją za groźną przestępczynię.

W obronie Rudzińskiej występowali znajomi i przyjaciele. Stefan Kisielewski, jako poseł, interweniował u wiceministra spraw wewnętrznych, Antoniego Alstera, którego znał. Kisiel w swoim stylu miał mu powiedzieć: „Panie ministrze, ta wariatka Rudzińska miała jakieś kombinacje z Giedroyciem i zamknęliście ją za to, dlaczego, przecież ja dostaję stale od Giedroycia »Kulturę« i mnie nie zamykacie”. W odpowiedzi Alster stwierdził: „Bo za to w Polsce nie można zamknąć Kisielewskiego, ale można zamknąć Annę Rudzińską”.

„Korytarzowanie”

Proces Rudzińskiej rozpoczął się 5 lutego 1962 roku i symbolicznie zbiegł się z decyzją o likwidacji Klubu Krzywego Koła. Obrony Rudzińskiej podjęli się Aniela Steinsbergowa, Ludwik Cohn i Jan Olszewski (w następnych latach występowali oni jako adwokaci w wielu procesach politycznych). Na korytarzu sądowym, oprócz najbliższej rodziny (matki i brata), czekali znajomi i przyjaciele

oskarżonej. Rudzińska po latach wspominała, że ten oczekujący na nią tłum, pozdrawiający ją podczas wprowadzania i wyprowadzania z sądu, był czymś fantastycznym. Na rozprawę przyszli m.in. znani pisarze: Paweł Jasienica, Stefan Kisielewski, Melchior Wańkowicz; ludzie nauki: Tadeusz Kotarbiński, Maria Ossowska, Władysław Tatarkiewicz, a także przyjaciele: Jan Józef Lipski czy Wojciech Ziemiński. Ten gest solidarności był wsparciem dla oskarżonej, dodawał otuchy, pokazywał, że jej aresztowanie i proces stały się sprawą publiczną. Obecność na rozprawie osób powszechnie znanych i szanowanych miała też kępować prokuratora i sędziego w swobodzie nadużywania prawa. Przybyli na proces profesorowie uniwersytetu czy wybitni pisarze musieli jednak opuścić salę, gdyż na wniosek prokuratora rozprawa toczyła się przy drzwiach zamkniętych. Zebrani nie wyszli jednak z sądu i przez cały czas (od 9 rano do 16.30) czekali na korytarzu. I tak przez trzy dni. Takie „korytarzowanie” stało się odąd trwałym obyczajem środowisk opozycyjnych. Profesor Ossowska w liście do męża pisała z podziwem: „Wytrwałość ludzi, którzy czekali na korytarzu tyle godzin bez jedzenia, była zadziwiająca”.

7 lutego sędzia Wiesław Sikorski ogłosił wyrok. Za przechowywanie książki Feliksa Grossa w języku angielskim i siedmiu stron tłumaczenia Rudzińska została skazana na rok więzienia z łagodniejszego artykułu 24 par. 1 małego kodeksu karnego („Kto przechowuje pisma, druki lub wizerunki, wymienione w art. 23, podlega karze więzienia do lat 5”). W liście do męża Ossowska stwierdziła: „Jest to o rok za dużo, bo błahość sprawy niewiarygodna, ale wynik jest jednak lepszy, niż się spodziewaliśmy”.

Juliusz Mieroszewski, komentując na łamach „Kultury” wyrok na Rudzińską („rok więzienia za zamiar przełożenia naukowej książki wybitnego socjologa”), stwierdził, że w ten sposób władze Polski Ludowej postawiły się „poniżej faszystowskiej Hiszpanii”: „I to się ma nazywać postęp – grzmiał publicysta emigracyjnego miesięcznika. – To jest reak-

cyjny, policyjny terror – jak najbardziej wschodni i jak najbardziej wsteczny. To nie »Kultura« was szkaluje – to wy sami siebie szkalujecie, panowie partyjni”. Londyńczyk nie miał wątpliwości, że wyrok na Rudzińską był w gruncie rzeczy wyrokiem na „Kulturę”. Władzom PRL chodziło o zastraszenie i sterroryzowanie krajowych intelektualistów, pokazanie im, że jakikolwiek kontakt z paryskim miesięcznikiem prowadzi do więzienia. Sprawę Rudzińskiej nagłośniło również Radio Wolna Europa.

Obroncy Rudzińskiej odwołali się od niesprawiedliwego wyroku. Rozprawa rewizyjna w Sądzie Najwyższym (znowu przy drzwiach zamkniętych) odbyła się 13 kwietnia. Przed salą sądową ponownie było tłoczno. Jeden z „korytarzujących”, znany pisarz Mieczysław Jastrun, zanotował w dzienniku: „Twarze sędziów godne upamiętnienia. Wydawało mi się, że te niekształtne bryły mięsne wstydzą się, ale może to tylko tak się wydawało”. Wyrok nie został zmieniony. Jednak w połowie czerwca 1962 roku, po odsiedzeniu dwóch trzecich kary, Rudzińska nieoczekiwanie została warunkowo zwolniona za dobre sprawowanie. Otrzymała w dodatku nakaz pracy w... Polskim Towarzystwie Socjologicznym, gdzie miała wielu przyjaciół. W 1964 roku ukończyła socjologię na Uniwersytecie Warszawskim.

Ostatecznie Instytut Literacki nigdy nie wydał książki Grossa. Rudzińska w następnych latach była wielokrotnie nękana przez milicję i Służbę Bezpieczeństwa. Zakładano podsłuch w jej mieszkaniu. Na podsłuchu był również jej telefon domowy. W drugiej połowie lat siedemdziesiątych zaangażowała się w działalność Komitetu Obrony Robotników oraz Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela. Przepisywała na maszynie teksty dla wydawnictw drugiego obiegu. W jej mieszkaniu przy Marszałkowskiej znajdowali goście przedstawiciele różnych środowisk opozycyjnych. Od 1983 roku współpracowała z Radiem Wolna Europa. Zmarła w 1992 roku. ❀

prof. Krzysztof Tarka – historyk, kierownik Katedry Historii Najnowszej Instytutu Historii Uniwersytetu Opolskiego

Kropla w morzu terroru

Robert Spalek

Po wojnie do 1956 roku polscy komuniści aresztowali około ośmiuset osób, w tym wielu swoich towarzyszy, rzekomo odpowiedzialnych za przygotowania do przewrotu antykomunistycznego. To zaledwie ułamek procenta wszystkich ofiar terroru stalinowskiego. Ale to dzięki wewnętrznym czystkom Sowietów mieli gwarancję utrzymania nad Wisłą komunizmu na swoją modłę.

Neurolog i psychiatra Władimir Biechtieriew, badający w grudniu 1927 roku Józefa Stalina, oficjalnie zdiagnozował u niego paranoję. Zaledwie kilka dni później lekarz zmarł, co trudno uznać za zbieg okoliczności. O dyktatorze paranoiku po jego śmierci jawnie mówili najbliżsi współpracownicy, na czele z Nikitą Chruszczowem czy Anastasem Mikojanem. Refleksją na temat chorobliwej podejrzliwości Stalina podzielił się w jednym ze swych szkiców historyk Jerzy W. Borejsza: „Śledzenie dziesięcioleciami tak oddanego [Stalinowi] i bojącego się go człowieka jak [Siemion] Budionny trąciło groteską. Czym mógł mu zagrozić ten znakomity kawalerzysta, ale ograniczony prostak o mentalności podoficera, wykreowany przez stalinowską propagandę na głównego – obok [Klimenta] Woroszyłowa – bohatera wojny domowej? Wykreowano ich, aby zasłonić lukę po rozstrzelanych. Sam Stalin pokpiwał czasem z głupoty Budionnego, mianowanego u progu Wielkiej Czystki marszałkiem. Kpił i kazał śledzić”.

Szpiegomania Stalina

W prywatnych zapiskach z końca 1945 roku lider komunistów w Polsce, Władysław Gomułka, odnotował opinie Stalina na temat byłego premiera polskiego rządu na wychodźstwie, ludowca Stanisława Mikołajczyka, a także na temat ekonomi-

sty marksistowskiego, działacza Polskiej Partii Socjalistycznej, Oskara Langego, który od 1937 roku mieszkał w Stanach Zjednoczonych. Stalin obu uważał za agentów: Mikołajczyk miał się wysługiwać służbom brytyjskim, a Lange amerykańskim (paradoksalnie, Lange był agentem sowieckim). Przy okazji generalissimus odradzał Gomułce wizytę w Londynie, przestrzegając, że Anglicy podsuną mu kobietę lekkich obyczajów, zaszantażują kompromitującym materiałem i na końcu zwerbują albo zamordują.

Z jednej strony patologiczna podejrzliwość dyktatora była zaraźliwa, przenosiła się niczym wirus na kolejne środowiska ▶



Fot. PAP/Newscom

i grupy, z drugiej zaś męczyła jego samego. Zawsze miał poczucie zagrożenia, ale na starość zaczęło go ono przytłaczać. Latem 1951 roku Chruszczow usłyszał, jak Stalin mówi do siebie: „Jestem skończony. Nikomu nie ufam, nawet sobie”. Według albańskiego przywódcy, Envera Hodży, sowiecki dyktator rzeczywiście się niepokoił, że „wróg będzie próbował wkraść się w szeregi partii, nawet do samego Komitetu Centralnego”. Te obsesje potwierdziła także córka Stalina, Swietłana, która dziwiła się, że ojciec nie ufa najbliższemu współpracownikom. „Wódz” uznał bowiem, że wielu najwyższych funkcjonariuszy komunistycznych (w tym Mikołaj, Woroszyłow i Ławrientij Beria) wysługuje się tajnym służbom zagranicznym. Był więc osamotniony. I uważał, że tylko on wie, co się naprawdę dzieje. Jeszcze kilka miesięcy przed śmiercią przestrzegał członków kierownictwa partii: „Jesteście ślepi jak kocięta, jak sobie beze mnie poradzicie? Nasz kraj zginie, bo wy nie umiecie rozpoznać wrogów”.

Choć brzmi to na pozór sprzecznie, to Stalin wykorzystywał swoje obsesje w sposób pragmatyczny. Kiedy na początku 1951 roku zakiełkowała w nim myśl, że leczący go medycy – wysokiej klasy specjaliści – zawiazali sprzysiężenie, nie tylko postanowił się z nimi rozprawić, lecz także zamierzał perspektywnie poszerzyć pole podejrzanych i kolejnym oskarżeniem objąć własnych współpracowników politycznych, którzy byli mu niewygodni albo – jak mniemał – spiskowali przeciwko niemu. Zagrożeni mogli się czuć przede wszystkim Beria i jego poplecznicy.

Prace nad spreparowaniem domniemanego spisku profesorów mających dążyć do zamordowania głównych przywódców Związku Sowieckiego (z samym Stalinem na czele) trwały w Ministerstwie Bezpieczeństwa Państwowego (MGB) od jesieni 1952 roku. Sygnał do rozpoczęcia akcji przeciwko lekarzom, w większości żydowskiego pochodzenia, sowiecki „wódz” dał pod koniec tego samego roku, co zbiegło się z ogłoszeniem i wykonaniem w Pradze wyroku śmierci na sekretarzu generalnym Komunistycznej Partii



Czechosłowacji, Rudolfe Slánskim, i jego współpracownikach – także w większości działaczach o korzeniach żydowskich. Trzy lata później Nikita Chruszczow powiedział, że Stalin groził śmiercią ówczesnym szefom Ministerstwa Bezpieczeństwa Państwowego (Siemionowi Ignatiewowi i jego zastępcy, Martemianowi Riuminowi), gdyby nie wywiązali się z postawionego zadania: „Jeśli nie uda wam się zdobyć przyznania się do winy lekarzy, skrócimy was o głowę” – mawiał. Żądał codziennych sprawozdań z przesłuchań. Potrafił wezwać śledczego i udzielać instrukcji, a te – wedle relacji Chruszczowa – ponoć były proste: „bić, bić i jeszcze raz bić”. Ostatecznie zarzuty usłyszało dziewięciu lekarzy, między innymi osobisty medyk generalissimusa, Władimir Winogradow, który leczył go przez dwadzieścia lat. Któregoś dnia nieopatrznie zalecił pacjentowi – w trosce o jego kompletnie zrujnowane zdrowie – by wycofał się całkowicie z polityki. „Komu on służy?” – zastanawiał się potem Stalin.

Konkludując: wszyscy podejrzani zostali poddani torturom (dwóch zmarło), oskarżeni o zabójstwa medyczne, a także o współpracę z wywiadem brytyjskim bądź amerykańskim. Sprawa zgasła wraz ze śmiercią Stalina w marcu 1953 roku. Z siedmioma ocalałymi wyszedł na wolność także były wiceminister spraw zagranicznych, Iwan Majski, aresztowany niewiele wcześniej w związku z domnie-

manym osobistym udziałem w „spisku lekarzy morderców”, a także oskarżony o współpracę z wywiadem brytyjskim.

Czystki – element komunizmu

Błędem byłoby jednak twierdzenie, że przyczyną wszystkich czystek, przeprowadzanych zarówno w Związku Sowieckim, jak i poza jego granicami, była patologiczna podejrzliwość Stalina. To ideologia i praktyka komunistyczna warunkowały stałe poczucie zagrożenia, a w konsekwencji obsesję zwaną szpiegomania. Gdy przyglądamy się historii systemu także tam, gdzie rozwijał się on bez stałej kurateli sowieckiej – w Chinach, Korei Północnej, Jugosławii czy Albanii – widzimy, że komunizm zawsze i wszędzie przechodził fazę, którą charakteryzowały obsesja zdrady i szukanie wroga.

Być może jednym z powodów, dla których sowieccy liderzy (bo rzecz dotyczyła nie tylko Stalina) mieli permanentne poczucie zagrożenia wewnętrznego i zewnętrznego, była świadomość, że pierwsze państwo proletariackie powstało wskutek zamachu stanu przeprowadzonego przez niewielką grupę spiskowców, a nie – jak próbowano wmówić światu – w wyniku masowej rewolucji. W samym Związku Sowieckim historię komunizmu przedstawiano w konwencji eposu o nieustannej walce. Wzorec ten został przeniesiony także na lata późniejsze. Komunistów uczono, że wrogowie czają się wszędzie, a co najważniejsze, podszywa-

ją się też pod działaczy partii. Należało więc być uważnym, spostrzegawczym i domyślnym – jednym słowem: czujnym. Ten imperatyw czujności w kategoriach psychologii społecznej można nazwać narzuconą odgórnie paranoją zbiorową. W takiej sytuacji każdy działacz, by zachować zdrowie psychiczne, musiał nauczyć się samooszukiwania, lekceważenia wątpliwości. Umiejętności tłumienia emocji i milczenia należały do cech kardynalnych, koniecznych do przeżycia.

Tak jak czystki były cechą właściwą dla systemu, tak Stalin stał się tym, który pierwszy przeprowadzał je na masową skalę. Na pozór stajemy przed dylematem podobnym do pytania, co było pierwsze: jajko czy kura? W rzeczywistości możliwą odpowiedzią jest stwierdzenie, że gdyby Stalina nie było – należałoby go wymyślić. Słowem – jego rolę odegrałby ktoś inny.

Zwieramy szeregi

Imperium tworzone przez Sowietów po zakończeniu II wojny światowej w Europie Środkowo-Wschodniej miało mieć spójny system społeczny, ideologiczny i polityczny, oparty na modelu sowieckim. Przygotowania do potencjalnego konfliktu zbrojnego między blokiem państw komunistycznych a krajami kapitalistycznymi rozpoczęto od skontrolowania i zweryfikowania kierownictwa partii prosowieckich w całej Europie Środkowo-Wschodniej. Usunięcie ludzi niepewnych ideowo, zbyt samodzielnych, niepokornych czy przypadko-

wych miało zagwarantować polityczną spójność bloku. Uzyskana w rezultacie selekcji negatywnej jednorodność, rozumiana w sposób dosłowny, z założenia przyspieszała polityczne i ideologiczne zwycięstwo komunizmu. W konsekwencji każde polityczne niedopatrzenie, za mało gorliwe usuwanie potencjalnych i rzeczywistych wrogów nowego systemu groziło członkom kierowniczych grup utratą głowy, a w najlepszym razie rozprawą sądową i więzieniem. Narastanie wzajemnej podejrzliwości – wspomnianej szpiegomanii – było więc nieuchronne.

Tym samym przemoc stanowiła nieodzowny składnik mentalności komunistycznej i stawała się narzędziem zdobywania, a potem utrzymania kontroli politycznej oraz społecznej. Niszczono wszystkie osoby i organizacje uznane za szkodliwe lub chociażby potencjalnie szkodliwe. Gdy w 1948 roku Moskwa przystąpiła do jawnej uniformizacji podległych sobie państw europejskich, narzędziami wprowadzania zmian i sprawowania władzy były terror, prześladowania i zastraszanie społeczeństw. W oficjalnej propagandzie przemoc państwowa miała służyć ochronie ustroju socjalistycznego i władzy proletariatu.

Bezpieczeństwo w rozumieniu Stalina najczęściej było pochodną sytuacji wewnętrznej kraju, gdyż nawet wróg zewnętrzny atakował przede wszystkim od środka – przy pomocy zdrajców i agentów. Każdy przeciwnik polityczny w praktyce był więc uważany za agen-



Fot. PAP

ta obcego mocarstwa. W związku z tym obowiązkiem komunisty było przeprowadzanie nie tylko represji odwetowych, lecz także – przede wszystkim – uprzedzających atak. Cała ta makabryczna teoria z jednej strony zmierzała do wykrycia autentycznych siatek szpiegowskich, ale z drugiej, w jeszcze większym stopniu, miała wymusić na działaczach partii bezwzględne posłuszeństwo wobec aktualnych nakazów moskiewskiej centrali.

Zgodnie z tą logiką, inwigilacje i aresztowania prawdziwych i domniemych wrogów objęły po części również beneficjentów władzy. Od końca lat czterdziestych do połowy pięćdziesiątych spiskowców i szpiegów kreowano i znajdowano w gremiach kierowniczych partii komunistycznych bloku sowieckiego. Najwyżsi działacze komunistyczni w konsekwencji makabrycznej mieszaniny tortur, gróźb oraz wewnętrznego nakazu sumienia, by do końca służyć komunizmowi, dokonywali publicznych samooskarżeń i przyznawali się do niepopelnionych win. Niektórzy przeciwnie – próbowali udowodniać niewinność, ale to nie miało znaczenia. W Rumunii wykonano wyrok śmierci m.in. na współzałożyciela partii, przywódcy wojennego podziemia komunistycznego, ministrze sprawiedliwości **Lucrețiu Pătrășcanu**.

Na Węgrzech w związku z procesem ministra spraw wewnętrznych **László Rajka**, zakończonym wyrokiem śmierci, aresztowano ponad sto osób, spośród których ponad dwadzieścia zostało straconych, a jedenastu zmarło w więzieniu. W Albanii skazano na śmierć sekretarza generalnego ▶

Rumuński minister sprawiedliwości **Lucrețiu Pătrășcanu** – zdymisjonowany i oskarżony fałszywie o szpiegowskie kontakty z Anglikami i Amerykanami – pisał w jednym z listów z więzienia o rozmiarze szpiegomanii w swoim kraju: „Po trzech latach i trzech miesiącach aresztu, z czego rok i dziesięć miesięcy w warunkach najściślejzego systemu celkowego [całkowitego odosobnienia], po dwóch śledztwach, po około 800 godzinach przesłuchań, po złożeniu około 250 zeznań i wysłuchaniu dziesiątków świadków, z których jedni byli uwięzieni, a inni wolni, po trudzie, jaki zadało sobie czterech śledczych, zdołano wreszcie ustalić, że w całym moim życiu – i było to po 23 sierpnia 1944 r. – znałem jednego Anglika, którego widziałem jeden tylko raz i z którym miałem tylko jedną rozmowę, która trwała jedną godzinę”.

W trakcie rozprawy sądowej Pătrășcanu powiedział: „Mogę tylko napluć na postawione mi oskarżenia”. Wtórował mu inny działacz: „Nie proszę o litość, ponieważ nie mam żadnego powodu”. Kolejny zaś w swoim ostatnim słowie żądał wyjaśnień: „Na jakiej podstawie nadano mi tytuł szpiega?!”. Nie zważając na powyższe protesty, wykonano wyrok śmierci na Pătrășcanu, a jedna z rumuńskich gazet doniosła nazajutrz o przyznaniu się oskarżonych do popełnionych zbrodni „wobec niepodważalnych dowodów”.

partii komunistycznej Kości Dżdże, a czterech innych działaczy uwięziono na długie lata. W Bułgarii powieszono Trajco Kostowa (niedoszłego następcę szefa bułgarskiej partii, zarazem byłego lidera Kominternu, Georgiego Dymitrowa), a czterech kolejni przywódcy otrzymali wyroki dożywocia; urządzono ponadto osobny proces dwunastu współpracowników Kostowa z sektora gospodarczego. W Czechosłowacji doszło do dwóch fal procesów przeciwko komunistom, z których druga przybrała rozmiar wielkiego spektaklu: aresztowano pięćdziesięciu wysokich funkcjonariuszy partii i pracowników administracji państwowej z osobą numer dwa na czele, sekretarzem generalnym partii, Rudolfem Slánskim. Zapadło jedenaście wyroków śmierci wykonanych przez powieszenie, w tym na Slánskim i jego dwóch zastępcach. W prokurowaniu zarzutów, opracowywaniu materiałów kompromitujących i skazywaniu tych ludzi mieli polityczny interes także ich miejscowi konkurenci do władzy.

Nad Wisłą

W Polsce Ludowej poszukiwanie zdrady w kręgach władzy komunistycznej było związane z przejściem przez Armię Czerwoną, a następnie Główny Zarząd Informacji ludowego Wojska Polskiego, dokumentów przedwojennego wywiadu i kontrwywiadu wojskowego, wśród których odnaleziono częściowo spreparowane zapisy wskazujące na rzekome istnienie antykomunistycznej agentury zagnieżdżonej od lat trzydziestych w Komunistycznej Partii Polski, a w okresie okupacji na wysokich stanowiskach w Gwardii i Armii Ludowej. Materiały te zaczęto badać i opracowywać w jednej z komórek Informacji Wojskowej. Wnioski, które można było wysnuć z lektury dokumentów, idealnie wpasowywały się w plan gruntownej weryfikacji najwyższych kadr komunistycznych, wdrażany przez Sowieców. W związku z powstałymi oskarżeniami w połowie października 1948 roku do tajnego więzienia Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego w podwarszawskim

Miedzeszynie trafiło kilku podejrzanych, w praktyce z góry oskarżanych o zdradę, szpiegostwo i współpracę z Niemcami. Byli to w większości ludzie blisko związani z członkami najwyższych władz Polskiej Partii Robotniczej – Marianem Spsychalskim i Władysławem Gomułką. W kolejnych miesiącach grupę aresztowanych powiększono (po roku było ich ponad stu); część uwięzionych przetrzymywano w piwnicach miedzeszyńskiej willi, ale większość trafiła do specjalnie wydzielonych oddziałów więzienia mokotowskiego przy ul. Rakowieckiej w Warszawie.

W drugiej połowie 1949 roku za kraty trafili przedstawiciele kolejnego środowiska komunistycznego. Tym razem byli to ludzie oskarżani o współpracę z wywiadami różnych państw zachodnich (głównie amerykańskim i brytyjskim, choć nie tylko). Wszyscy mieli to nieszczęście, że w którymś momencie życia zetknęli się bądź podjęli polityczną współpracę z braćmi Noelem i Hermannem Fieldami ze Stanów Zjednoczonych. Ci dwaj zaś, mimo że w praktyce byli zaangażowanymi, odda-

nymi Moskwie radykalnymi lewicowcami (starszy z nich, Noel, podjął współpracę z NKWD), zostali uznani przez Sowieców za szpiegów. Noel trafił do więzienia w Budapeszcie i został najważniejszym, choć nieobecny na sali rozpraw, świadkiem oskarżenia w procesie László Rájka we wrześniu 1949 roku, a Hermann znalazł się w piwnicy w Miedzeszynie.

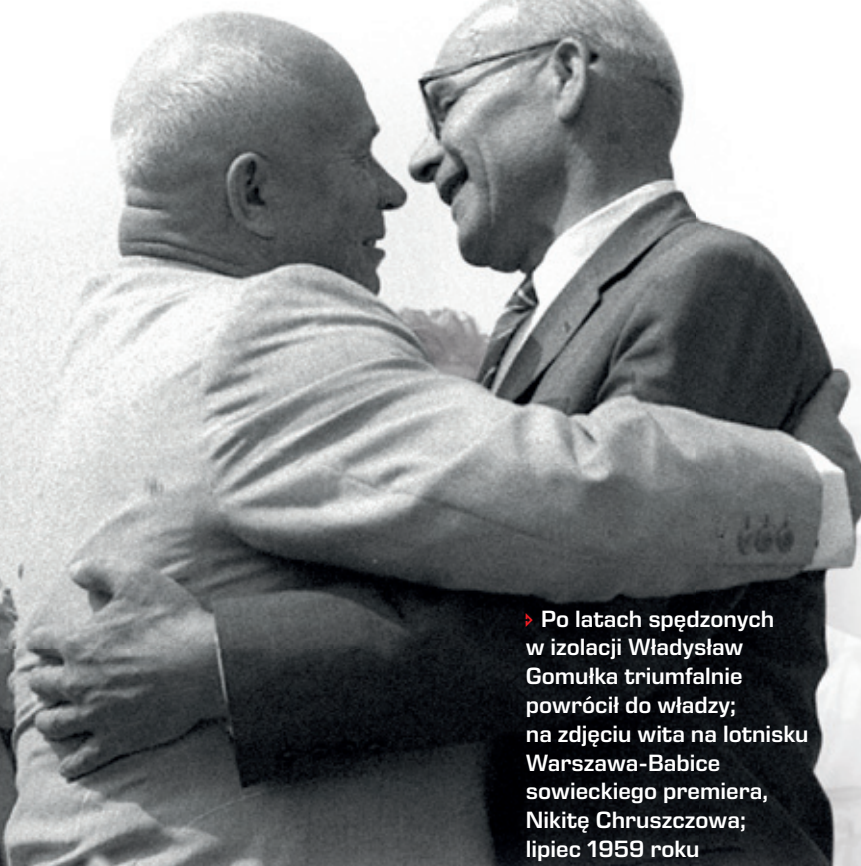
Oprócz poszukiwania spisku antykomunistycznego w środowiskach partyjnych, od 1949 roku kierownictwa Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, MBP i GZI rozszerzyły pole zainteresowań na środowiska wyższych oficerów ludowego Wojska Polskiego. Doszukiwano się tam konspiracji szpiegowsko-dywersyjnej, zawiązanej w celach wrogich wobec wprowadzanego ustroju „demokracji ludowej”. Kiedy w 1950 roku doszło do drugiej fali aresztowań wśród najwyższej kadry wojskowej, w więzieniu znalazł się też Marian Spsychalski, niedawny wiceminister obrony narodowej, jeden z najważniejszych współzałożycieli Gwardii Ludowej, komunistyczny generał i członek Biura Politycznego KC PPR. W tym samym czasie aresztowano także drugiego bliskiego współpracownika (z czasem przyjaciela) Władysława Gomułki, gen. Grzegorza Korczyńskiego. W końcu, w sierpniu 1951 roku, odizolowano również samego Gomułkę.

Aresztowanie niedawnego lidera PPR było kulminacyjnym momentem poszukiwań wroga w partii komunistycznej w Polsce. W późniejszych latach nadal zatrzymywano i przetrzymywano w więzieniach ludzi z powojennego establishmentu (choćby Zenona Kliszkę, szefa kadr partyjnych i przewodniczącego klubu poselskiego PPR w Sejmie Ustawodawczym, czy Wacława Komara, byłego szefa połączonego wywiadu cywilno-wojskowego, a także marsz. Michała Żymierskiego, pierwszego naczelnego dowódcę ludowego Wojska Polskiego), niemniej w Polsce



Fot. PAP/Newscom

▶ Józef Stalin i Georgi Dymitrow; 1936 rok



► Po latach spędzonych w izolacji Władysław Gomułka triumfalnie powrócił do władzy; na zdjęciu wita na lotnisku Warszawa-Babice sowieckiego premiera, Nikitę Chruszczowa; lipiec 1959 roku

nie doszło do propagandowych procesów najważniejszych komunistów, tak jak miało to miejsce w innych krajach regionu. Skończyło się na kilku tajnych lub półtajnych rozprawach sądowych, wytoczonych bliższym i dalszym współpracownikom Gomułka i Spychalskiego, oraz na potencjalnie powiązanych ze sprawą procesach: tzw. procesie generalskim oraz procesie organizacji „Start”. Jednak merytoryczny charakter i propagandowy wymiar tych dwóch wydarzeń nie miały nic wspólnego z planowanym początkowo procesem partyjnym.

Aby przeprowadzić akcję poszukiwania wroga wewnętrznego w elicie PPR/PZPR, zorganizowano i uruchomiono specjalną tajną strukturę, z czasem rozwiniętą i przekształconą w Departament X, podległą MBP, faktycznie zaś zależną od Bolesława Bieruta (prezydenta, sekretarza generalnego PPR, potem przewodniczącego, wreszcie I sekretarza KC PZPR, czasowo także premiera) i jego najbliższych współpracowników. Wśród nich, zgodnie zresztą z utrwalonym po latach powszechnym stereotypem, prym wiódł Jakub Berman. Ludzie ci nie byli co prawda w swoich działaniach samodzielni, gdyż pozosta-

wali pod stałą kontrolą przywódców partii sowieckiej, ale odpowiadali za wiele szczegółowych decyzji oraz za przyswojenie i zaadaptowanie sowieckiej akcji poszukiwań rzekomych szpiegów i zdrajców do warunków polskich.

Jedna trzecia procenta

Terror skierowany przeciwko niektórym spośród niedawnych kolegów partyjnych był niewielką częścią powszechnego i masowego terroru, który komuniści zaprowadzili w Polsce. W konsekwencji omawianej akcji do więzień trafiło około ośmiuset osób (nie tylko komunistów, lecz także ich faktycznych przeciwników), a zmarło kilka.

Zależnie od punktu odniesienia, który przyjmiemy, można różnie ocenić tę wielkość. Jeśli wziąć pod uwagę to, że osoby te z reguły aresztowano całkowicie bezpodstawnie, jest to duża zbiorowość. Jeżeli jednak ujrzymy ją na tle choćby części pozostałych prześladowań bezpieczeństwa, to nasza perspektywa się zmienia. Wedle danych minimalnych, w latach 1944–1956 urzędy bezpieczeństwa aresztowały co najmniej 243 660 osób; jest to wielkość potwierdzona w szacunkowym opracowaniu Mi-

nisterstwa Spraw Wewnętrznych z 1979 roku, z pominięciem m.in. osób zatrzymanych przez służby sowieckie – faktyczna liczba aresztowanych bez wątpienia była wyższa. To zaś oznacza, że w ramach poszukiwań wroga wewnętrznego bezpieczeństwa aresztowała mniej niż 0,33 proc. wszystkich aresztowanych w latach 1944–1956.

Nad Wisłą nie doszło do procesów elity komunistycznej ani nikt z jej członków nie zawiśł na stryczku. I to był wyjątek. Najkrócej rzecz ujmując, przyczyny tego zaniechania były trzy: po pierwsze, niemożność i nieumiejętność sfabrykowania przez miejscowe tajne służby policyjne spójnych dowodów i w związku z tym skutecznego przygotowania procesów propagandowych; po drugie, asekuracja, wahania i zmienne potrzeby autorów oskarżeń – Bolesława Bieruta i szefostwa Departamentu X MBP – którzy sami obawiali się wchłonięcia przez machinę terroru, bo kontrolowali ją tylko do pewnego stopnia, oraz, po trzecie, postawa Stalina, który mając wieloźródłowe informacje o sytuacji w partii komunistycznej w Polsce, dokonał własnej kalkulacji i nie wydał jednoznacznego rozkazu przeprowadzenia najważniejszego procesu propagandowego z Gomułką jako głównym oskarżonym.

Jeśli ktoś w tej dramatycznej grze naprawdę zwyciężył, to Stalin i Sowietci. Utrzymali w pełni uległe i posłuszne sobie władze, a wprowadzany nad Wisłą socjalizm na licencji sowieckiej nie był zagrożony. Kremlowski dyktator i jego następcy mieli w Bierucie wiernego, zarazem w pełni zależnego od siebie, gwaranta własnych interesów, który bez większych problemów panował nad sytuacją na przyznanym mu terytorium. Nie przeprowadził co prawda ważnych propagandowo – czyli przede wszystkim mobilizacyjnie – procesów politycznych swoich współtowarzyszy, niemniej procesy te, mimo rażącej absurdalności, w ostateczności miały służyć realnemu celowi: utrzymaniu sowieckiej kontroli nad polityką państwa polskiego. A ten cel i tak został osiągnięty. ■

dr Robert Spalek – historyk, pracownik Oddziałowego Biura Edukacji Publicznej IPN w Warszawie, autor książki *Komuniści przeciwko komunistom* (2014)





Fot. ze zbiorów autora

Szczecin 1970: pierwszy taki bunt

Michał Paziewski

Podczas szczecińskiej rewolty robotniczej w grudniu 1970 roku doszło do sytuacji bezprecedensowych: po raz pierwszy w PRL wybuchł strajk generalny, Ogólnomijski Komitet Strajkowy przez kilka dni sprawował władzę w Szczecinie i okolicach, a 20 grudnia przedstawiciele władz komunistycznych podpisali z robotnikami porozumienie.

Wuchwałę Rady Ministrów PRL, odczytanej w Dzienniku Telewizyjnym 12 grudnia 1970 roku, narzucono społeczeństwu podwyżkę cen żywności. Oznaczała ona drastyczny spadek stopy życiowej. To, że procentowe wskaźniki – jak to oględnie ujęto – „zmiany cen detalicznych całego szeregu wyrobów” ogłoszono

akurat w sobotni wieczór, miało uniemożliwić wzmożone wykupywanie towarów, a nielicznym sklepom czynnym w niedzielę pozwalało zdążyć z nocnymi remanentami.

„Operację cenową” – jak nazwano podwyżkę, ogłoszoną na krótko przed świętami Bożego Narodzenia – wielu ludzi odebrało jako prowokację. Obowiązująca od następnego dnia po obwieszczeniu decy-

► Brama główna stoczni w dniach strajku

zja rządu – faktycznie Biura Politycznego Komitetu Centralnego PZPR – okazała się detonatorem demonstracji ulicznych i strajków zakładów przemysłowych w niemal całym kraju. Największe protesty miały miejsce w miastach portowych. 14, 15 i 16 grudnia strajki i walki uliczne ogarnęły Gdańsk, gdzie zginęło dziewięć osób. W „czarny czwartek” 17 grudnia w Gdyni od kul milicji i wojska zginęło osiemnastu ludzi, w Elblągu śmiertelnie postrzelono jedną osobę.

Płonie komitet, wojsko strzela

W drugiej połowie tygodnia centrum wystąpień przeniosło się do Szczecina. Rano 17 grudnia 1970 roku, po wiecach w Stoczni Szczecińskiej im. Adolfa War-

skiego i Szczecińskiej Stoczni Remontowej „Gryfia”, do śródmieścia zmierzały pochody robotników oraz okoliczni mieszkańcy. Niesiono transparenty z napisami „Żądamy obniżki cen”, „Szczecin z Gdańskiem”. Intonowano hymn narodowy i Międzynarodówkę. Doszło do ostrych starć z milicją, która pałkami, petardami i gazami łzawiącymi próbowała przed południem powstrzymać demonstrantów. Kilkudziesięciu z nich oraz milicjanci zostali ranni. Spłonęły dwa samochody milicyjne, zniszczono placówkę Ochotniczej Rezerwy Milicji Obywatelskiej, a jej wyposażenie podpalono na ulicy. Idący pod Komitet Wojewódzki PZPR powybijali szyby w sąsiadującej z nim redakcji gazet, krzyčeli: „Prasa kłamie!”.

Zgromadzony przed komitetem przynajmniej dwudziestotysięczny tłum najpierw skandował nazwisko I sekretarza KW PZPR Antoniego Walaszka, później „Precz z Gomułką”, „Precz z komunistami”. Gmach obrzucono kostką granitową z pobliskiego torowiska tramwajowego.



Fot. Marek Czasnojc

Następnie protestujący wtargnęli do budynku, dewastowali go i wyrzucali wyposażenie, w tym portrety I sekretarza KC PZPR Władysława Gomułki. Wszystko podpalono. Gmach, choć otoczony uzbrojonymi żołnierzami i transporterami opancerzonymi, nie był broniony, co stworzyło wrażenie przyzwolenia. Wznoszono okrzyki, na skotach malowano hasła „Wojsko z ludem” i „Wojsko z nami!”. Pożar siedziby partyjnej – podobnie jak dwa dni wcześniej w Gdańsku – przelamywał barierę strachu przed władzą komunistyczną, a widoczne z daleka płomienie były świadectwem jej upokorzenia.

Kiedy z budynku KW wydobywały się już gęste kłęby dymu, krótko po 15.00 z oddalonej o ok. 200 metrów Komendy

Wojewódzkiej MO skierowano zaledwie kilkudziesięciu milicjantów, aby rozproszyli zgromadzonych. Tę nieodpowiedzialną, tragiczną w skutkach decyzję podjęło kierownictwo KW PZPR, które razem z jej I sekretarzem schroniło się w gmachu MO. Obrzucani kamieniami milicjanci, uciekając, ścignęli za sobą dużą część tłumu. W konsekwencji wydarzenia zogniskowały się również w obrębie siedzib milicji oraz Wojewódzkiej Komisji Związków Zawodowych.

Przez kilka godzin tysiące szczecinian, głównie młodzież, atakowały milicyjno-związkowe budynki, także uosabiające władze. Niektórzy śpiewali Mazurka Dąbrowskiego. Padały okrzyki „Bić glinę!”. Rzucano kamieniami, używano też kilo- ➤

➤ Demonstracja na pl. Żołnierza Polskiego, na dachu wieżowca widoczne sylwetki ludzi, wśród nich ówczesnego studenta Politechniki Szczecińskiej, Jana Ryszarda Bala, autora górnego zdjęcia ze str. 38; 17 grudnia 1970 roku



fów i oskardów oraz paliwa zabieranego z wozów bojowych wojska i straży pożarnej. Nawet nieletni, wspinając się po gzymsach i rynnach, wrzucali przez okna materiały łatwopalne. Próbowano sforsować trzy bramy pięciokondygnacyjnego budynku KW MO.

Pożar ogarnął parter i pierwsze piętro, w tym gabinet komendanta wojewódzkiego milicji, płk. Juliana Urantówki. Ogień doszczętnie strawił kasyno milicyjne w drugim gmachu, spłonęły skot i furgonetka, zniszczono też wóz strażacki. Zdołano ugasić pięć innych transporterów opancerzonych oraz trzy czołgi. Półtorej godziny później przybyła odsiecz wojska; użycie broni palnej, także przez milicjantów, odblokowało oblegane gmachy i rozproszyło wielotysięczny tłum. Początkowo oddawane serie strzałów, w tym do góry i z użyciem amunicji smugowej, ludzie przyjmowali z niedowierzaniem, krzycząc „Strzelają ze ślepeków!”, natomiast później – kiedy padali zabici i ranni – skandowano „Bandyci!”, „Strzelają do ludzi!”. W obrębie milicyjnych budowli oraz WKZZ śmiertelnie postrzelono jedenaście osób. Wśród nich znalazła się szesnastoletnia uczennica, która akurat stała blisko okna



Fot. Jan Ryszard Bai

► Gmachy KW PZPR i KW MO w trakcie pożaru 17 grudnia 1970 roku; u dołu budynek KW PZPR dzień po zamieszkach

w swoim mieszkaniu naprzeciw gmachu KW MO. Jednej osobie transporter skot zmiażdżył głowę. Spośród około 120 poszkodowanych cywilów przewiezionych do szpitali najwięcej było rannych od kul. Stu siedemdziesięciu lżej rannych uzyskało pomoc ambulatoryjną. Rany odniosło też ponad siedemdziesięciu milicjantów, przynajmniej 24 strażaków i siedmiu wojskowych.

Wobec obawy władz, że pogrzeby ofiar masakry mogą sprowokować de-

monstracje, odbywały się one – podobnie jak wcześniej w Gdańsku, Gdyni czy Elblągu – potajemnie, nocą z 22 na 23 grudnia na cmentarzu Centralnym, w obecności tylko najbliższych, powiadamianych o pochówkach kilka godzin wcześniej. Dopiero następnego dnia na mogiłach pojawiły się krzyże oraz imiona i nazwiska zmarłych, ponadto wymuszono na rodzinach napisy na epitafiach typu „zg[inał] śm[iercią] trag[iczną]”. Kilka dni później rodziny otrzymały karty zgonu (w trzech przypadkach z błędną datą).

Rozbity pod gmachami KW MO i KW PZPR tłum przemieścił się w różne strony miasta. Po 17.00 przez kilkadziesiąt minut wojsko i służba więzienna odpierały szturm na Wojewódzki Areszt Śledczy oraz Prokuraturę Wojewódzką, skąd protestujący zamierzali przedostać



Fot. ze zbiorów autora

się do aresztu, w którym – według krążących pogłosek – miała być przetrzymywana rzekoma delegacja stoczniowców. Od strażów z pobliskiej jednostki wojskowej zginęła jedna osoba, kilkanaście zostało rannych. Idący pochód obrzucił materiałami łatwopalnymi śródmiejski Komisariat Dzielnicowy MO. Do starć doszło też po 18.00 przy Prezydium Miejskiej Rady Narodowej, gdzie popalono pomieszczenia parterowe. Tutaj również wskutek użycia broni palnej przez żołnierzy kilkanaście osób zostało rannych.

Już od czwartku (17 grudnia) obowiązywał w mieście i okolicach stan wyjątkowy (choć takiego terminu nie używano), w tym godzina milicyjna (zakaz przebywania i organizowania zgromadzeń w miejscach publicznych między 18.00 a 6.00) czy blokada połączeń telefonicznych z resztą kraju, kilkaset osób zatrzymano nawet na tydzień – wbrew kodeksowi postępowania karnego – w aresztach. Przed kolegami karno-administracyjnymi, karzącymi wysokimi grzywnami i pozbawieniem wolności do trzech miesięcy, stało ponad dwieście osób. Sto dzieścię z nich objęto śledztwem, z tej grupy 64 tymczasowo aresztowano, a dziewięciu zarzucono „zbrodnię”.

W następnym roku szczeciński sąd powiatowy skazał 24 podejrzanych (w Trójmieście skazano 61) na wyroki do dwóch lat więzienia, a jego wydział dla nieletnich osadził dziesięciu młodocianych „przestępców” w schronisku dla nieletnich na okres do 12 miesięcy. Pozostałe śledztwa pod koniec 1971 roku zakończono cichą abolicją. Tymczasem w sprawach osób zabitych i rannych podczas walk ulicznych czy też zasadności otwarcia ognia Prokuratura Generalna w trybie poufnym – wbrew formalnie obowiązującemu prawu, za to zgodnie z wytycznymi przewodniczącego Rady Państwa Józefa Cyrankiewicza – nakazała prokuratorom wojewódzkim newszczywanie śledztw.

Mniej zacięte starcia uliczne trwały jeszcze w piątek, choć o ich skali mogą świadczyć również łączne straty materialne będące następstwem robotniczej rewolty, w tym strajków, które w przypadku Szczecina wyliczono na kwotę 330 mln zł



Fot. Andrzej Wituszyński/PAP

► Walki uliczne u zbiegu ulic Dubois i Radogoskiej, 17 grudnia 1970 roku

(Trójmiasto 105 mln zł; przeciętna pensja w 1970 roku wynosiła ok. 2300 zł). W piątek doszło do kolejnej tragedii, ponieważ wskutek paniki, która powstała po wrzuceniu petardy do tramwaju jadącego al. Niepodległości, dwudziestotrzyletnia kobieta w 26. tygodniu ciąży została wypchnięta z pojazdu i upadła na metalową barierkę (sześć dni później urodziła martwe dziecko). Śmiertelną ofiarą szczecińskiego Grudnia '70 jest także szeregowy żołnierz, który 19 grudnia zginął – jak ustaliła wojskowa prokuratura PRL – „w wyniku nieostrożnego obchodzenia się z bronią, a nie działania innych osób”.

Komitet strajkowy przejmie ster

Wiele szczecińskich przedsiębiorstw, które od piątku rano nie podjęły pracy, otoczono kordonami żołnierzy z czołgami i skotami, aby uniemożliwić demonstracyjne wyjście pracowników na ulice. Podczas żywiołowo organizowanych wieców padały różne żądania, głównie ekonomiczne. W odpowiedzi na blokadę,

uznaną także w stoczni im. Adolfa Warskiego za zniewagę i prowokację, przy jej bramach głównej i kolejowej wojsko użyło broni palnej. Zginęli wtedy stoczniowiec i szesnastoletni uczeń stoczniowej szkoły przyzakładowej, a kilkunastu robotników postrzelono.

Pracownicy, którzy wycofali się do stoczni, szybko opanowali – podobnie jak wkrótce się to stało w innych zakładach aglomeracji szczecińskiej – bramy i ogrodzenia zakładu, radiowęzeł, powołali straż robotniczą do pilnowania porządku na terenie zakładów, jak też wybrali tzw. trójki strajkowe na wszystkich 36 wydziałach oraz w dwóch firmach kooperujących. Już około 14.00 wyłoniono spośród nich dziesięcioosobowy Komitet Strajkowy. Na jego czele stanął Mieczysław Dopierała, kierownik bazy zdawczej statków na wydziale W-6. Sporządzoną wieczorem listę 21 postulatów stoczniowców Warskiego, często przyjmowanych za własne w innych protestujących przedsiębiorstwach, otwierały żądania ustąpienia Centralnej Rady ►



Fot. Marek Czasnojc

► Demonstracja na pl. Żołnierza Polskiego

Związków Zawodowych oraz powołania „niezależnych związków zawodowych podległych klasie robotniczej”, jak też powrotu do cen artykułów spożywczych sprzed 13 grudnia 1970 roku, podniesienia płac, zadośćuczynienia pokrzywdzonym podczas strajków, wypuszczenia na wolność zatrzymanych „w związku z zajściami” i ich nierepresjonowania, ukarania winnych tłumienia społecznych wystąpień. Protest, który do 22 grudnia objął ok. 120 przedsiębiorstw Szczecina, Polic, Stargardu Szczecińskiego i mniejszych miejscowości, stał się – po raz pierwszy w dziejach PRL – strajkiem generalnym. Kierował nim Ogólnomięjski Komitet Strajkowy, w istocie zarządzający miastem i jego okolicami, decydował bowiem o podjęciu lub zaniechaniu czynnego strajku przez ogół przedsiębiorstw, w tym komunalnych (energety-

ka, gazownia, wodociągi, komunikacja miejska), służbę zdrowia, straż pożarną. Łamał też państwowy monopol kontroli środków masowego przekazu, ponieważ miał wpływ choćby na decyzję druku prasy wojewódzkiej.

Wieczorem 18 grudnia wojewódzkie i miejskie władze partyjno-administracyjne podjęły rokowania z przywódcami strajkujących ze stoczni Warszawskiego i „Gryfii”. Niewątpliwie nastąpiło to za zgodą władz centralnych, gdyż w Szczecinie przebywał zastępca członka Biura Politycznego KC PZPR Jan Szydłak. Tym samym uznano nie tylko robotniczą reprezentację, faktycznie pełniącą rolę niezależnego związku zawodowego, lecz także – wbrew wcześniejszym deklaracjom – legalność strajków. Co więcej, milcząco uznano również prawo robotników do sprzeciwu wobec decyzji władz.

Po trzech turach negocjacji po południu 20 grudnia 1970 roku podpisano w gmachu Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Szczecinie bezprecedensowe w dziejach PRL „Ustalenia”. Miały one niesłychane znaczenie, były bowiem pierwowzorem porozumień sierpniowych 1980 roku, a ich wymiar był również instruktażowy. Wcześniej, tego samego dnia w stolicy, na zebraniu w trybie nagłym VII plenum Komitetu Centralnego PZPR, odsunięto od władzy w partii (a tym samym w państwie) skompromitowanego Gomułkę. Jego miejsce zajął Edward Gierek, dotychczasowy I sekretarz KW PZPR w Katowicach.

Obalenie pod presją demonstracji i strajków – co także zdarzyło się po raz pierwszy w dziejach państw tzw. socjalistycznych – przywódcy partii mieniącej się robotniczą, jak też telewizyjne deklaracje Gierka o „odnowie socjalizmu” i „powrocie do leninowskich norm życia partyjnego” nie wpłynęły na zakończenie strajku w aglomeracji szczecińskiej. Protestujące załogi podczas wieców odrzuciły bowiem podpisane porozumienie, które uznały za nazbyt ogólne. Ponadto, wbrew uzgodnieniom, nie opublikowano go w środkach przekazu, choć – wskutek osobistej presji delegatów z Warszawskiego – w regionalnych programach radiowych i telewizyjnych podano, co niezwykle, sprostowanie nieprawdziwego komunikatu władz o rzekomym zakończeniu strajku. Poza tym nie spełniono naczelnego żądania protestujących, czyli cofnięcia podwyżki cen żywności. Na czele protestu stanął Edmund Bałuka, kompletowacz narzędzi, strajkowy komendant ochrony na wydziale K-5, choć formalnie przewodniczącym Komitetu Strajkowego w Warszawskim nadal był Mieczysław Dopierała. Jednak w związku z nadchodzącymi świętami Bożego Narodzenia, a także po to, żeby dać władzom czas na realizację postulatów, po dwóch dniach zawieszono protest.

Styczeń: nowy strajk generalny

Niewielkie znaczenie dla stanu napięcia panującego w Polsce miały spektakularne gesty i decyzje władz, np. o odbudowie

Zamku Królewskiego w Warszawie czy zakaz wywieszania w urzędach i szkołach portretów przywódców komunistycznych. Atmosfery wzburzenia nie zmieniło również „zamrożenie na okres dwóch lat cen artykułów żywnościowych, z wyjątkiem tych artykułów, których ceny z natury rzeczy są sezonowe”, oraz przeznaczenie kilku miliardów złotych „na wyrównania dla najmniej zarabiających, rodzin wielodzietnych i rencistów”.

Na zmniejszenie niezadowolenia szczecinian nie wpłynęła też rozległa czystka, której dokonano na stanowiskach partyjnych, w tym usunięcie 11 stycznia 1971 roku Antoniego Walaszka z funkcji I sekretarza KW PZPR. Tego samego dnia w stoczni Warskiego próbowano wywołać strajk. O niepowodzeniu tej inicjatywy mogło zdecydować zwołane do świetlicy głównej spotkanie z wicepremierem Franciszkiem Kaimem i dyrektorem generalnym Zjednoczenia Przemysłu Okrętowego, Stanisławem Skrobotem. Stanowczo domagano się wtedy realizacji naczelnego żądania protestów sprzed miesiąca – powrotu do cen sprzed 13 grudnia 1970 roku. W tych dniach do krótkotrwałych strajków dochodziło w wielu zakładach pracy województwa, podobnie jak w kilku ośrodkach przemysłowych kraju.

Zdaniem wielu uczestników rewolty, w tym klimacie społecznym musiały

nastąpić druga tura robotniczego protestu w Szczecinie. Zdecydował po stronie błądy powód: notatka prasowa ze spreparowanym zdjęciem, zamieszczona 20 stycznia 1971 roku na czołówce „Głosu Szczecińskiego”. Zapowiadała ona przepracowanie przez stoczniovców Warskiego z wydziału W-4 najbliższej niedzieli w tzw. czynie społecznym (czyli nieodpłatnie), aby okazać poparcie dla nowego kierownictwa partii i rządu. Odczytano ją jako próbę złamania solidarności robotniczej.

Stocznie „Gryfia” i „Parnica” podjęły strajki okupacyjne już nazajutrz, a Warski rozpoczął protest w piątek 22 stycznia. Stoczniovcy, wzywani przez grupy robotników, przechodzących po kolejnych wydziałach zakładu, w południe zebraли się na placu przed budynkiem dyrekcji. Z dachu kiosku spożywczego do 3 tys. zgromadzonych przemówił Edmund Bałuka, który wraz z kolegami powstrzymał próbę wyjścia ze stoczni z demonstracją. Bezskuteczne okazały się apele i deklaracje dyrektora naczelnego, Tadeusza Cenkiery, że załatwi w mediach sprostowanie sfalszowanego komunikatu o „cennym zobowiązaniu produkcyjnym”.

Szybciej niż przed miesiącem, bo już po paru godzinach, powołano warty strajkowe na wydziałach, wybrano piątki strajkowe (w grudniu były to trójki), które w świetlicy głównej zdecydowa-

ły, że Komitet Strajkowy będzie nie tylko trzydziestoosobowy, lecz także złożony przede wszystkim z robotników. Przekazano dyrektorowi wstępną wersję siedmiu postulatów wraz z oświadczeniem, że wszelkie rozmowy mogą się odbywać – inaczej niż w grudniu – tylko na terenie stoczni. Żądano sprostowania w prasie rzekomego zobowiązania oraz ukarania winnych fałszerstwa, przybycia do stoczni nowego I sekretarza KW PZPR, Eugeniusza Ołubka, zapłaty za okres strajku, przeprowadzenia w stoczni przedterminowych wyborów partyjno-związkowo-młodzieżowych. Naczelnego postulatu sprzed miesiąca, czyli cofnięcia podwyżki cen żywności, jeszcze nie sformułowano. Władze godziły się jedynie na nowe wybory związkowe i wykluczyły możliwość rokowań.

Zapewne zamierzano siłą stłumić strajk, który ogarnął ponad czterdzieści przedsiębiorstw Szczecina i Polic. Inaczej niż w grudniu, delegaci protestujących zakładów przebywający w Warskim nie powołali Ogólnomiejskiego Komitetu Strajkowego, choć powszechnie uznawano przywództwo stoczniowego Komitetu Strajkowego. Protest groził rozprzestrzenieniem się na inne obszary Polski, pracę przerwały już bowiem niektóre zakłady Trójmiasta. W przeciwieństwie do sytuacji sprzed miesiąca nie kursowały tramwaje i autobusy, nie ▶

▶ Protestacyjny pochód pierwszomajowy w 1971 roku



odjeżdżało też wiele pociągów, a solidarność – bez przerywania pracy – deklarowały elektrownie czy służba zdrowia.

W pośpiechu z innych rejonów kraju do Szczecina ściągnięto siły porządkowe, którymi dowodził wiceminister spraw wewnętrznych, gen. Henryk Słabczyk, miesiąc wcześniej dowodzący walkami ulicznymi w Trójmieście, a w 1968 roku jako komendant MO tłumiący demonstracje studenckie w Warszawie. Przed północą z 22 na 23 stycznia stocznie i port otoczono wojskowo-milicyjnymi kordonami, blokowano zaopatrzenie w żywność, ograniczono łączność telefoniczną i dopływ prądu. Na polecenie Komitetu Strajkowego sieć elektryczną najpierw podłączono, za zgodą załogi, do sowieckiego statku, ale wobec groźby wybuchu kotłów centralnego ogrzewania energię elektryczną przywrócono. Złamać i zastraszyć strajkujących („anarchiści, terroryści i wicherzyciele”) oraz zdyskredytować ich przywódców („jątrzący demagodzy i anarchiści”) starano się również za pośrednictwem mediów lokalnych i ogromnych ilości ulotek rozrzucanych z helikopterów nad stoczniami i portem. Ogólnopolskie środki przekazu o sytuacji w Szczecinie milczały aż do zakończenia protestów.

Nieoczekiwanie w sobotę ok. 23.00 wojskowe gigantofony, zainstalowane na samochodach milicyjnych usytuowanych w pobliżu bram stoczni, podały komunikat, który otwierało zdanie: „Na zaproszenie załóg szczecińskich zakładów pracy I sekretarz KC PZPR Edward Gierek i prezes rady ministrów Piotr Jaroszewicz

postanowili spotkać się z przedstawicielami załóg w najbliższych dniach”. Mimo że warunkiem przyjęcia zaproszenia było podjęcie pracy przez załogi i mimo pominięcia w nim komitetów strajkowych, jeszcze przed północą Lucjan Adamczuk, doradca Komitetu Strajkowego w Warszawskim, opracował w jego imieniu kompromisowy „List otwarty do I Sekretarza KC PZPR tow. E. Gierka”.

W niedzielę po południu, bez uprzedzenia strajkujących, do Warszawskiego przybyli Gierek, Jaroszewicz oraz ministrowie obrony i spraw wewnętrznych, gen. Wojciech Jaruzelski i gen. Franciszek Szlachcic. Blisko dziewięciogodzinna debata z reprezentantami robotników w stoczniowej świetlicy była ewenementem w całej historii państw komunistycznych. Wprawdzie Gierek nie zgodził się na powrót grudniowych cen żywności, niemniej aprobatą dla przekształcenia Komitetu Strajkowego w Komisję Robotniczą, nadzorującą wybory w zakładowych strukturach partyjno-związkowo-młodzieżowych, stanowiła kolejny przełom. Przez trzy tygodnie pełniła ona bowiem precedensową w PRL funkcję wolnego związku zawodowego.

Pewni zwycięstwa robotnicy po północy łamali się z Gierkiem chlebem i owacyjnie pożegnali polityków lecących do Trójmiasta, gdzie również doszło do strajków. Tamtejsze spotkanie z odpowiednio dobranymi przedstawicielami robotników w sali konferencyjnej gdańskiego Prezydium WRN zakończyło się słabymi oklaskami po zawołaniu I sekretarza KC partii „No więc, jak – pomożecie?”. Według późniejszych relacji medialnych

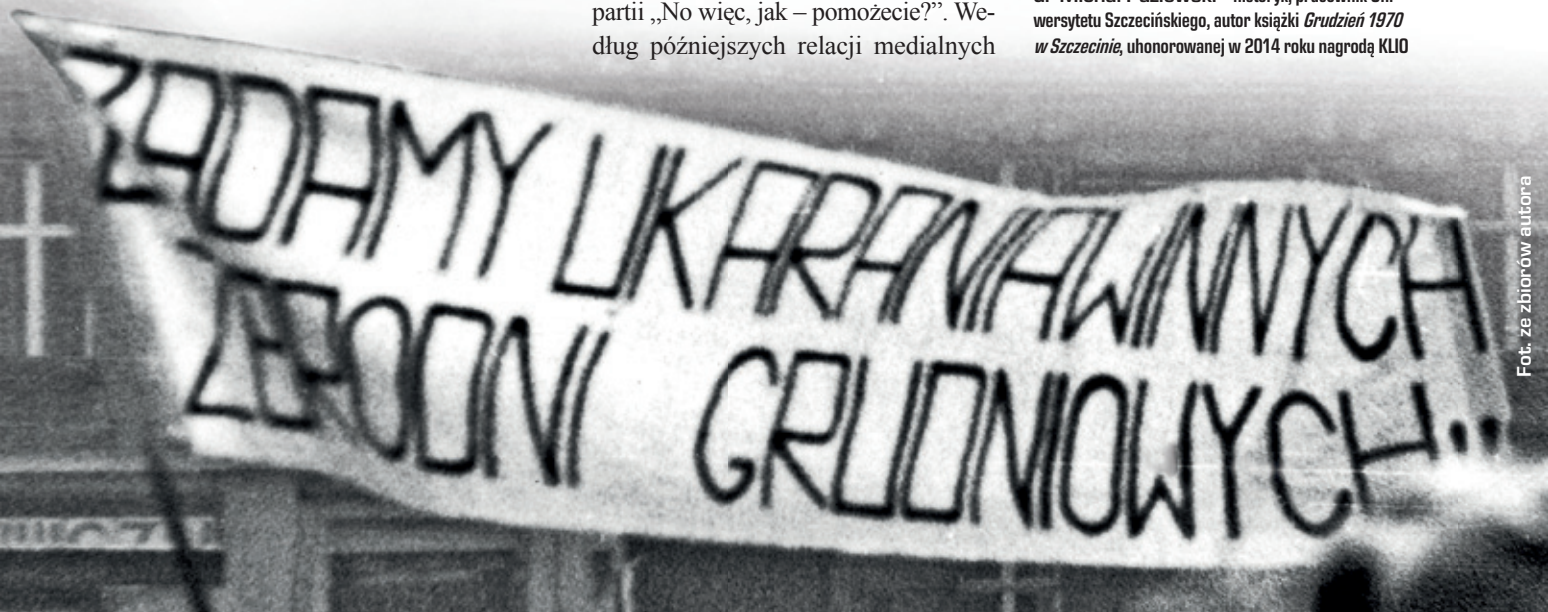
odpowiedzią miał być wspólny okrzyk „Pomożemy!”, który stał się propagandowym sloganem gierkowskiej epoki, przypisywanym także spotkaniu w Szczecinie, gdzie to pytanie nawet nie padło.

Dopiero jednak po masowych strajkach łódzkich włóknienek, trwających od 10 do 15 lutego, we wspólnej uchwale Biura Politycznego i rządu od 1 marca przywrócono stare ceny na artykuły żywnościowe.

Majowy epilog

Ostatnim akordem szczecińskiego, tak jak zresztą i trójmiejskiego, Grudnia '70 był niezależny, całkowicie zatajony przed społeczeństwem, pochód pierwszomajowy stoczniovców. Z żałobnymi opaskami na rękawach, czarnymi kokardami wpiętymi do klap marynarek i bluzek, demonstranci przeszli trasą grudniowych walk z milicją, nieśli przed trybunami z partyjnymi prominentami kilka transparentów głoszących „Czcimy pamięć poległych podczas wydarzeń grudniowych”, „Żądamy ukarania winnych zbrodni grudniowych”, a następnie udali się na cmentarz. Na grobach grudniowych ofiar złożono żałobne wieńce w barwach biało-czerwonych oraz odśpiewano hymn narodowy. Dowodziło to żywotności i siły robotniczej rewolty, nadal stanowiącej realne zagrożenie dla władz, które nabrały przekonania, że w stoczniach Warszawskiego i „Gryfii” działają środowiska mogące łatwo utworzyć kolejne komitety strajkowe. W swej wymowie była to wręcz demonstracja antygierkowska. ■

dr Michał Paziewski – historyk, pracownik Uniwersytetu Szczecińskiego, autor książki *Grudzień 1970 w Szczecinie*, uhonorowanej w 2014 roku nagrodą KLIO





► Proces Stanisława Kociołka (tu na zdjęciu z 1998 roku) w związku z masakrą na Wybrzeżu ciągnął się latami i nie doprowadził do wyroku skazującego

Kociołkiem w Solidarność

Filip Gańczak

Zmarły niedawno Stanisław Kociołek wielu kojarzy się z krwawą pacyfikacją protestów na Wybrzeżu w grudniu 1970 roku. Ale „kata Trójmiasta” obciąża również postawa z czasów pierwszej Solidarności.

W Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej niewiele było spektakularnych powrotów do władzy. W czasach stalinowskich działacze, którzy tracili wpływy i posady, musieli się liczyć z rychłym aresztowaniem. Po roku 1956 upadek ze szczytów nie był już tak niebezpieczny. Oznaczał jednak śmierć medialną, przejście na emeryturę

lub w najlepszym razie przesunięcie na mniej prestiżowe stanowisko. Nielicznym po takim upokorzeniu udawało się ponownie zaistnieć. Stanisław Kociołek miał to szczęście.

Kociołek, rocznik 1933, był absolwentem socjologii Uniwersytetu Warszawskiego. Karierę partyjną zaczynał jeszcze w czasach studenckich. Trzeba przyznać, że rozwijała się ona w tempie ►

Information
zur Lage in der Volksrepublik Polen

Zuverlässig wurde über die Lage in der VR Polen und speziell über die Situation in der PVAP folgendes bekannt:

Als Nachfolger von Karkoszka wurde Genosse **Kociolek** eingesetzt, vorher Botschafter der VR Polen in Tunesien bzw. Belgien.

Kociolek ist der Quelle persönlich bekannt. Sie schätzt ihn als einen fähigen und politisch zuverlässigen Kader ein. Bis 1968 war er Stellvertretender Ministerpräsident und Mitglied des Politbüros der PVAP. Er wurde von Wladislaw **Gomułka** gefördert. Die Quelle rechnet damit, daß Kociolek auf dem 7. Plenum ins Politbüro gewählt wird.

Zur inneren Situation in der PVAP schätzte die Quelle weiter ein, daß der Konsolidierungsprozeß nur langsam vonstatten geht. Erschwerend wirkte sich aus, daß manche Wojewodschaftsleitungen der PVAP die Beschlüsse der Parteizentrale nur schleppend oder gar nicht realisieren. Die Wojewodschaftsleitung von Tarnow habe z. B. die Wahl zum Politbüro zur Wahl als 1. Sekretär vorgeschlagenen Ge-

▶ Stanisław Kociołek cieszył się znakomitą opinią w Berlinie; tutaj: pozytywna ocena wystawiona mu przez „wiarygodne źródło” Ministerstwa Bezpieczeństwa Państwowego NRD

niespotykanym u komunistów. W roku 1964 stanął na czele stołecznej organizacji partyjnej PZPR i wszedł do Komitetu Centralnego. Cztery lata później został najmłodszym w historii członkiem Biura Politycznego, a latem 1970 roku dodatkowo wicepremierem. Po drodze przez ponad dwa i pół roku kierował Komitetem Wojewódzkim PZPR w Gdańsku. Wielu widziało w nim już następcę szefa partii – Władysława Gomułki. Tym boleśniej musiał być upadek.

Dobra passa trwała do grudnia 1970 roku. Kociołka – tak jak Gomułkę – zgubił udział w krwawej pacyfikacji protestów społecznych na Wybrzeżu. 15 i 16 grudnia wicepremier wystąpił w telewizji i radiu. Mówił o „demagogicznych” żądaniach stoczniovców i apelował do nich, by wrócili do pracy. Część z tych, którzy posłuchali jego wezwania, spotkał tragiczny los. Rankiem 17 grudnia wojsko i milicja ostrzelały przed bramą stoczni gdyńskiej bezbronnych ludzi. Zginęło kilkanaście osób.

W świadomości społecznej wychowanek Gomułki zapisał się jako krwawy Kociołek i kat Trójmiasta. Edward Gierek, nowy I sekretarz KC PZPR,



▶ Stanisław Kociołek (1933–2015)

postawił na innych ludzi. W dekadzie Gierka Kociołek terminował głównie jako ambasador PRL na mniej prestiżowych placówkach – kolejno w Belgii i Tunezji.

Pomyłka Kani

Z Afryki ściągnął go w listopadzie 1980 roku Stanisław Kania – następca Gierka. Zgodnie z rekomendacją Kani, Kociołek ponownie stanął na czele stołecznej organizacji partyjnej. Andrzej Boboli, autor pracy doktorskiej o Komitecie Warszawskim PZPR, nazywa go „drugim po Kom-

tecie Centralnym” – „pod względem znaczenia i prestiżu”.

Kociołek szybko stał się jednym z czołowych przedstawicieli frakcji zachowawczej w PZPR, przeciwnej choćby ostrożnym reformom. Do tej nieformalnej grupy – nazywanej twarogłowymi lub betonem partyjnym – byli też zaliczani m.in. minister spraw wewnętrznych Mirosław Milewski oraz członkowie Biura Politycznego: Stefan Olszowski, Tadeusz Grabski i Andrzej Żabiński.

„Kociołek wkrótce po objęciu stanowiska »oczyścił« Egzekutywę [KW PZPR] z ludzi, których podejrzewano o zbytne spoufalanie się z »Solidarnością«” – pisze Boboli. Nowy szef stołecznej organizacji partyjnej zapowiadał przeciwstawienie się strajkom, „klerykalizacji życia politycznego” i „wrogiemu programowi politycznemu”.

Taka postawa podobała się sąsiadom PRL. W listopadzie 1980 roku „wiarygodne źródło” Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego NRD, czyli niesławnej pamięci Stasi, oceniało Kociołka jako „zdolnego i pewnego politycznie”. „Na lewej flance [w PZPR] stoją tacy komuniści, jak Grabski, Żabiński, Olszowski, Kociołek i in. Wystąpienia tych towarzyszy w planie ideologicznym są najbliższe naszemu stanowisku” – czytamy z kolei w notatce sowieckiej komisji ds. polskich, tzw. komisji Susłowa, z kwietnia 1981 roku.

Erich Honecker, przywódca Socjalistycznej Partii Jedności Niemiec (SED), najprawdopodobniej nie znał tego dokumentu. Był jednak niezłe poinformowany co do oczekiwań Moskwy. W połowie maja, podczas wizyty na Kremlu, sugerował gospodarzom zastąpienie Kani właśnie kimś z czwórki: Olszowski, Grabski, Żabiński lub Kociołek. „Dobrze byłoby stworzyć [w Polsce] kierownictwo, które wykazałoby gotowość wprowadzenia stanu wojennego i zdecydowane byłoby zwalczać kontrrewolucję” – przekonywał Honecker.

Kociołek dobrze wiedział, jak przypodobać się sojusznikom z „bratnich krajów”. Spotykał się z ambasadorem

NRD w Warszawie Horstem Neubaurem, ambasadorem ZSRR Borysem Aristowem, a także Witalijem Pawłowem, szefem przedstawicielstwa KGB przy MSW PRL. Ten ostatni twierdził po latach, że rozmawiali „z pełną otwartością”. „Z Kociołkiem łączyła mnie dość długa znajomość. [...] Mogłem dzwonić do niego o każdej porze, gdy uznam to za stosowne. [...] Podczas licznych rozmów Kociołek dzielił się ze mną swoimi uwagami o sytuacji w stolicy i w kraju, wyrażał poważne zaniepokojenie z powodu chwiejnej i niekonsekwentnej polityki Kania” – czytamy w książce Pawłowa *Byłem rezydentem KGB w Polsce*.

Jeśli wierzyć Pawłowowi, jeszcze na początku 1981 roku Kania mówił, że Kociołek to „bardzo zdolny ekonomista i rozsądny polityk”. Planował nawet wprowadzić go do Biura Politycznego. Z czasem diametralnie zmienił opinię. Trudno się dziwić. I sekretarz Komitetu Warszawskiego coraz głośniej krytykował Kanię za ustępliwość wobec Solidarności i stawianie na partyjnych liberałów.

Do pierwszej poważnej próby sił doszło w czerwcu 1981 roku – w trakcie XI Plenum KC PZPR. Przeciwko Kania otwarcie wystąpił wówczas Grabski. Według Pawłowa, Grabskiego obiecał poprzeć Olszowski. „Trzecim w »spisku« był Stanisław Kociołek, który zapowiedział wsparcie ze strony członków KC z organizacji warszawskiej” – utrzymywał po latach szef rezydentury KGB w PRL. Czerwcowy rokosz zakończył się fiaskiem. „Część sił, od których należało oczekiwać aktywnej walki, nie ujawniła się na plenum” – na gorąco raportował do centrali ambasador NRD, mocno kibicujący spiskowcom. Neubaauer był rozczarowany m.in. bierną postawą Olszowskiego i Kociołka. Najwyraźniej nie byli pewni zwycięstwa i w decydującej chwili nie wsparli Grabskiego.

Kania tym razem ocalił skórę, a na części buntowników odegrał się już w trakcie lipcowego IX Nadzwyczajnego Zjazdu PZPR. Kociołek, choć znalazł się w gronie delegatów na zjazd, nie został na nim wybrany nawet do Ko-

mitetu Centralnego. Tym samym stracił szansę na wejście do ściślejszych władz partii – do Biura Politycznego. Enerdowska Stasi odnotowała te wieści z rozczarowaniem.

Choć Kociołek nie był członkiem Biura Politycznego, uczestniczył w jego posiedzeniach, a wręcz – jak zauważa w książce *Rewolucja Solidarności 1980–1981* prof. Andrzej Friszke – „przemawiał jak jeden z przywódców PZPR”. Friszke sugeruje, że „ta bezczelność wynikała z niesamowitej pewności siebie opartej na poparciu Moskwy”.

Nie znaczy to, że Kreml widział Kociołka w fotelu I sekretarza KC PZPR. Chętnie jednak wykorzystywał tego działacza w swoich rozgrywkach. Konstantnin Rusakow, sekretarz KC Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego, zdradził Günterowi Sieberowi, kierownikowi Wydziału Kontaktów Międzynarodowych KC SED, że ▶



▶ Konwój z darami z NRD u celu podróży; Stanisław Kociołek (w okularach) wita Helmuta Müllera, II sekretarza kierownictwa okręgowego SED w Berlinie (drugi z lewej), Warszawa, 19 grudnia 1981 roku

„Kania chciał wysłać towarzysza Kociołka do Moskwy jako ambasadora. Odpowiedziano mu: oceniamy towarzysza Kociołka bardzo wysoko i właśnie dlatego jesteśmy zdania, że w obecnej sytuacji będzie lepiej, jak pozostanie I sekretarzem w Warszawie”.

Komitet Warszawski był dobrym przyczółkiem do kolejnych ataków na kierownictwo partii. „Po IX zjeździe partii Kociołek był jednym z najaktywniejszych organizatorów frondy przeciwko Kani, dążąc do zastąpienia go na stanowisku I sekretarza przez [gen. Wojciecha] Jaruzelskiego” – pisał po latach Pawłow.

Cel został osiągnięty. 18 października 1981 roku Komitet Centralny PZPR odwołał Kanię ze stanowiska I sekretarza i powierzył tę funkcję właśnie Jaruzelskiemu. W rozmowie z Honeckerem Rusakow tłumaczył potem, że Grabski i Kociołek „odegrali wybitną rolę i w pełni się sprawdzili w tej skomplikowanej walce”. Rusakow nie ukrywał przy tym, że obaj byli inspirowani przez Kreml. Podobna inspiracja płynęła zresztą z NRD. Moskwa i Berlin liczyły na to, że Jaruzelski bardziej niż Kania będzie skłonny do wprowadzenia w PRL stanu wojennego i zdużenia Solidarności.

W stronę większego zła

Gdyby to zależało od Kociołka, do rozprawy z „kontrewolucją” doszłoby już wcześniej. Choćby w trakcie kryzysu bydgoskiego w marcu 1981 roku, gdy Solidarność groziła strajkiem generalnym. Zachowane protokoły z posiedzeń Biura Politycznego i sekretariatu KC PZPR pokazują, że szef warszawskiej organizacji partyjnej już wówczas skłaniał się do użycia „środków przymusu” oraz opowiadał się za zawieszeniem tych gazet i programów, nad którymi władze nie miały pełnej kontroli. „Wszelkie kluczenie, próby ustępstw tylko odwleką moment, gdy szaleńcy i tak sięgną po władzę” – przekonywał kolegów z Biura Politycznego.

Bardziej szczegółowy plan zdławienia opozycji Kociołek nakreślił pół



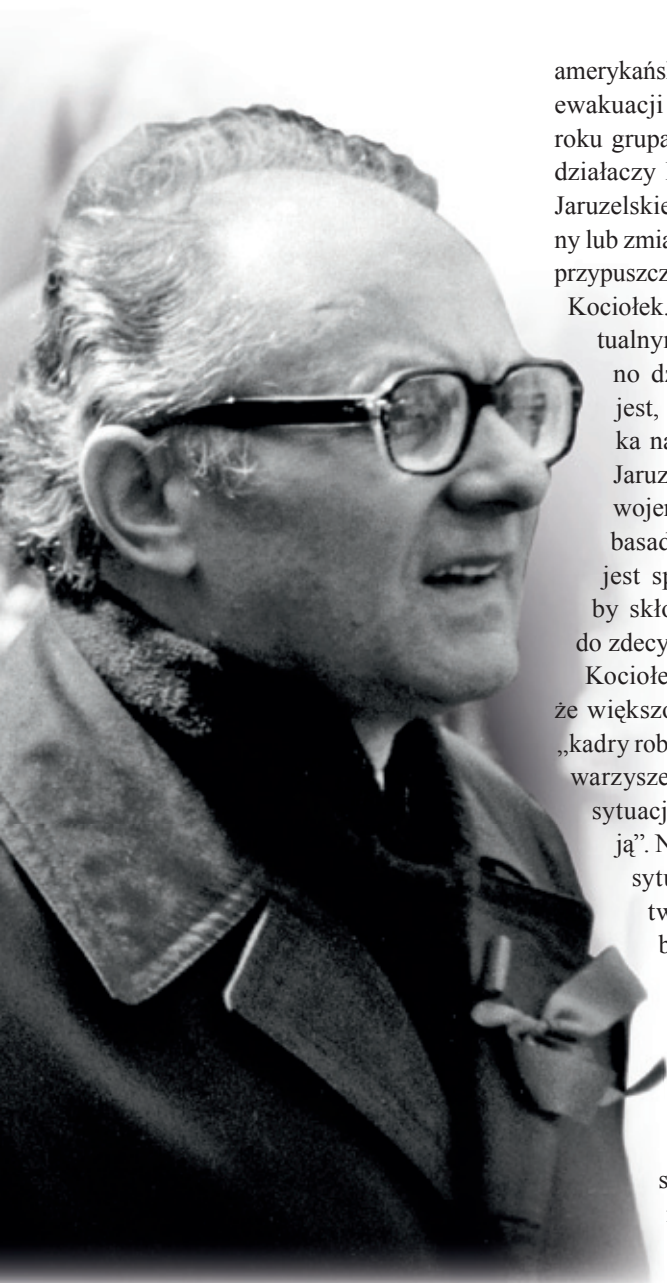
Fot. Leszek Łożyński / REPORTER

▶ Wojciech Jaruzelski i Stanisław Kociołek podczas pochodu pierwszomajowego, 1982 rok; kilka tygodni później Jaruzelski wysłał Kociołka do Moskwy na stanowisko ambasadora

roku później – w trakcie wrześniowego spotkania z Konradem Naumannem, I sekretarzem kierownictwa okręgowego SED w Berlinie. Kociołek postulował, by Doradcy Komitet Polityczny Układu Warszawskiego wymusił na władzach PRL ogłoszenie na dwa, trzy lata stanu wyjątkowego. Miałby on polegać na aresztowaniu i izolacji „wrogich sił”, wprowadzeniu obowiązku pracy oraz zakazu zgromadzeń i manifestacji, zawieszeniu

strajków i najściślejszej kontroli prasy. I sekretarz Komitetu Warszawskiego liczył się z tym, że taki scenariusz pociągnie za sobą kilka tysięcy ofiar. Jak twierdził, przedstawił swe stanowisko Kani: „Ten jednak je odrzucił”. Zrozumienie dla propozycji Kociołka miał za to wyrazić Jaruzelski.

Szef warszawskiej organizacji partyjnej trafnie dostrzegł, że odwołanie Kani i skupienie w rękach Jaruzelskiego wszystkich najważniejszych stanowisk



– I sekretarza KC, premiera i ministra obrony narodowej – usprawniło decyzyjność na najwyższych szczeblach aparatu władzy i stworzyło dobre warunki do wprowadzenia stanu wojennego. Na spotkaniu z ambasadorem NRD Kociołek zastrzegł: „Zanim Jaruzelski ostatecznie zdecyduje się stanowczo działać, uczyni wszystko, żeby można powiedzieć, że wyczerpał wszystkie możliwości i nie pozostała mu żadna alternatywa”.

Ryszard Kukliński, pułkownik Sztabu Generalnego ludowego Wojska Polskiego i jednocześnie współpracownik

amerykańskiego wywiadu, twierdził po ewakuacji do USA, że jesienią 1981 roku grupa generałów i wpływowych działaczy PZPR wystosowała wobec Jaruzelskiego ultimatum: stan wojenny lub zmiana kierownictwa. Kukliński przypuszczał, że w tym gronie był m.in.

Kociołek. Też o ultimatum – i ewentualnym udziale Kociołka – trudno dziś zweryfikować. Faktem jest, że co pewien czas Kociołka natchodziły wątpliwości, czy Jaruzelski zdecyduje się na stan wojenny. Podpowiadał więc ambasadorowi NRD, że potrzebne jest spotkanie „bratnich partii”, by skłonić polskie kierownictwo do zdecydowanego działania.

Kociołek tłumaczył Neubauerowi, że większość członków KC PZPR to „kadry robotnicze, uczciwi i dobrzy towarzysze, którzy właściwie oceniają sytuację i bardzo szybko dojrzejają”. Nieco inaczej widział jednak

sytuację w Biurze Politycznym, twierdząc, że opinie są tam bardzo podzielone, a wciąż dużo do powiedzenia mają takie „siły prawicowe”, jak

Kazimierz Barcikowski czy Hieronim Kubiak.

Szef warszawskiej organizacji partyjnej martwił się, że aktualny kurs PZPR nie jest wprawdzie „linią Kani bez Kani”, ale różni się od niej w niewystarczającym stopniu. Sam na

posiedzeniach Biura Politycznego domagał się walki z „recydywą socjaldemokratyzmu” i konsolidacji partii wokół „jednej możliwej orientacji – marksistowsko-leninowskiej”.

Ambasadorowi NRD tłumaczył, że konfrontacji nie można wygrać za pomocą debat parlamentarnych, dyskusji o stanie wyjątkowym, uchwał Rady Państwa czy sejmu. Konieczne – jak mówił – jest przecięcie, a nie rozsypłanie węża gordyjskiego. 5 grudnia na posiedzeniu Biura Politycznego opowiedział się za niezwłocznym podjęciem przygotowań do wprowadzenia

stanu wojennego. Niewtajemniczony w prace MSW i MON, nie wiedział najwyraźniej, że wszystko jest już zapięte niemal na ostatni guzik.

W niedzielę 13 grudnia – gdy na ulicach pojawiły się czołgi, a czołowi działacze Solidarności zostali internowani – szef warszawskiej organizacji partyjnej mógł odetchnąć z ulgą. Sześć dni później razem z ambasadorem Neubauerem i prezydentem Warszawy, Jerzym Majewskim, witał na pl. Zwycięstwa kolumnę pięćdziesięciu ciężarówek z darami z NRD. „Trybuna Ludu” pisała, że w transporcie z Berlina przyjechały m.in. „mięso, śledzie, ciasta świąteczne, mleko. Są także środki higieny osobistej, buty i odzież dla dzieci, zabawki”. Kilka tygodni wcześniej te same władze NRD omawiały z polskim MSW dostawy transporterów opancerzonych, gazu łzawiącego i pałek gumowych.

Po 13 grudnia Kociołek nadzorował i napędzał czystki w organizacji partyjnej. Złosił się, że władze centralne zbyt szybko łagodzą rygory stanu wojennego. Dla Jaruzelskiego okazał się – jak pisze Andrzej Boboli – „zbyt radykalny”. Do tego doszły obawy o nielojalność. „Uprzedzenie Jaruzelskiego do Kociołka, jego jawna niechęć i nieufność do I sekretarza Komitetu Warszawskiego doprowadziły w końcu do odwołania Kociołka ze stanowiska partyjnego i wysłania go na ambasadora do Moskwy” – wspominał Pawłow. To, co nie udało się Kani, udało się Jaruzelskiemu.

W 1982 roku generał nie miał jeszcze na tyle mocnej pozycji, by zupełnie pozbyć się partyjnych konkurentów i krytyków. Z czołowymi przedstawicielami frakcji „twardogłowych” rozprawił się trzy lata później. To wówczas Milewski i Olszowski utracili miejsce w Biurze Politycznym. Kociołek został zaś odwołany z Moskwy i trafił na partyjną emeryturę. Tak ostatecznie skończyła się kariera niedoszłego następcy Gomułki. 🍀

Filip Gańczak – redaktor miesięcznika „Pamięć.pl”, autor książek *Erika Steinbach. Piękna czy bestia?* (2008) i *Filmowcy w matni bezpieczeństwa* (2011)

Goebbels stanu wojennego

Grzegorz Majchrzak

Po 13 grudnia 1981 roku Jerzy Urban stał się chyba najbardziej nienawidzoną – nie licząc oczywiście Wojciecha Jaruzelskiego – osobą w Polsce. W pełni zapracował na porównania do Josepha Goebbelsa. Podobnie jak on był mistrzem manipulacji, nie stronił od kłamstwa i pomówień.

Wprawdzie w chwili powstania Solidarności Urban nie był postacią anonimową – był wówczas znanym publicystą „Polityki” i felietonistą „Kulis” – ale na szczyty władzy wyniosła go niechęć czy wręcz nienawiść do niezależnego związku zawodowego. O stosunku do przywódcy Solidarności tak mówił po latach Teresie Torąńskiej: „Wałęsę poznałem z opowieści redakcyjnego kolegi, który na zebraniu w »Polityce« pokazał nam, jak się to bydlę zachowuje, z wielkim kabaretowym talentem odgrywając rozwal-

nego w fotelu chama”. Co prawda, jak sam stwierdził, z powodu krytyki związku stracił „status lidera” jednej z grup w redakcji „Polityki”, z drugiej jednak strony dzięki temu rozpoczęła się jego ścisła współpraca z władzami, uwieńczona mianowaniem go rzecznikiem prasowym rządu.

Od samego początku urzędowania budził kontrowersje. Kiedy 17 sierpnia 1981 roku ogłoszono jego nominację, zaprotestował prymas Polski Józef Glemp. Oczywiście bezskutecznie, gdyż władze potrzebowały specja od propagandy. A w tej roli Urban się sprawdził, jeszcze zanim został rzecznikiem. Już wcześniej wszedł w skład powołanego przez Biuro Polityczne Komitetu

Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej zespołu ds. bieżącej analizy i programowania działalności prasy, radia i telewizji. Jego głównym zadaniem było dbanie o większą skuteczność propagandy antysolidarnościowej. Na kilkanaście dni przed objęciem nowej funkcji Urban wpadł na pomysł zamieszczenia w mediach informacji o tym, jakoby So-



lidarność zerwała negocjacje z rządem. W rzeczywistości zostały one zawieszono za zgodą obu stron. Celem takiego wybiegu było oczywiście narzucenie opinii publicznej obrazu związku jako środowiska radykalnego i niechętnego kompromisowi. Był to zresztą moment przełomowy – właśnie wtedy partia wzmogła ofensywę propagandową przeciwko Solidarności.

Seanse prasowe

Prawdziwą „gwiazdą” Jerzy Urban stał się po wprowadzeniu stanu wojennego. Pole do popisu dały mu wtorkowe konferencje prasowe. Zwoływano je od chwili, kiedy został rzecznikiem prasowym rządu. Początkowo jednak były nieregularne i nie wzbudzały takiej sensacji jak w kolejnych latach. Wszystko się zmieniło 13 grudnia 1981 roku. W stanie wojennym w kolejne wtorkowe wieczory w najlepszym czasie antenowym w Telewizji Polskiej można było obejrzeć politycki „samotnego” rzecznika z zachodnimi dziennikarzami. W rzeczywistości były one starannie wyreżyserowanymi spektaklami propagandowymi, przeznaczonymi głównie dla widza krajowego.

► Konferencja prasowa w Centrum Prasowym Polskiej Agencji Interpress na temat ogłoszenia stanu wojennego w Polsce z udziałem kpt. Wiesława Górnickiego (z prawej) i rzecznika prasowego rządu Jerzego Urbana; Warszawa, 13 grudnia 1981 roku

Przed każdym spotkaniem w Biurze Prasowym Rządu przygotowywano wykaz spodziewanych pytań, zbierano z różnych resortów potrzebne dane i starannie redagowano odpowiedzi. Ważnym źródłem informacji było Ministerstwo Spraw Wewnętrznych, z którym Urban miał dobre kontakty już od kilku lat – w drugiej połowie lat siedemdziesiątych zainicjował zacieśnienie współpracy MSW z „Polityką”, zapewniając tym samym dziennikarzom tygodnika dostęp do esbeckich materiałów. W razie potrzeby Urban wykorzystywał też dyspozycyjnych dziennikarzy krajowych lub z pozostałych „demoludów” do zadawania pytań, na których mu szczególnie zależało.

W ciągu zaledwie kilku miesięcy stał się jedną z najbardziej zniechęconych osób w Polsce, a przez następne lata solidnie pracował, aby tę opinię podtrzymać. Brutalnie atakował, wręcz opluwał, pozbawionych wolności działaczy opozycji i wspierających ich księży. Na przykład o ks. Jerzym Popiełuszcze pisał na łamach „Tu i Teraz” w artykule o wymownym tytule *Seanse nienawiści*: „Ten mówca ubrany w liturgiczne szaty nie mówi niczego, co byłoby nowe lub ciekawe dla kogokolwiek. Urok wieców, jakie urządza, jest odmiennej natury. Zaspakaja on czy-
sto emocjonalne potrzeby swoich słuchaczy i wyznawców politycznych”. Nie odpowiadał na najbardziej kłopotliwe dla rządzących

pytania, a często po prostu beczelnie kłamał. Podczas konferencji 13 grudnia 1981 roku, zwołanej wyjątkowo w niedzielę, stwierdził m.in., że „internowanie nie stanowi represji, nie ma w podtekście żadnej chęci odwetu za poczynania polityczne”. W jednej z wypowiedzi zbagatelizował też pytanie o internowanych, o których powiedział, że są umieszczeni w domach wczasowych. Była to w niektórych przypadkach prawda, ale nie o wypoczynek przecież chodziło, lecz o przymusowe odosobnienie.

Czasami też pozwalał sobie na stwierdzenia, które nawet w niedemokratycznym państwie wywoływały wzburzenie. Jak wtedy, gdy na pytanie dotyczące wpływu sankcji gospodarczych zastosowanych przez kraje zachodnie (na czele z USA) wobec PRL w reakcji na wprowadzenie w Polsce stanu wojennego cynicznie oświadczył, że „rząd się wyżywi”. Trudno sobie wyobrazić bardziej lekceważącą wypowiedź w kraju, którego obywatele codziennie walczyli z niedoborami towarów, stojąc w kolejkach. Z kolei w reakcji na akcję pomocy żywnościowej dla represjonowanych członków Solidarności i działaczy opozycji kpiąco poinformował, że władze PRL zamierzają zaferować śpiwory bezdomnym w Nowym Jorku. Mimo to oglądalność jego konferencji dochodziła do 60 proc., a przed telewizorami gromadzili się nie tylko zwolennicy władzy, lecz także (i to w zdecydowanej większości) jej przeciwnicy. Przede wszystkim bowiem, konferencje prasowe Urbana dostarczały informacji nie tylko o poczynaniach rządzących, lecz także o tym, co się dzieje w kraju. Niekiedy w sposób niezamierzony. Władza unikała relacjonowania manifestacji inaczej niż jako nielegalne, chuligańskie zamieszki, a już szczególnie prezentowania pojawiających się tam haseł – choćby po to, by ich nie popularyzować. Jedno z nich jednak zostało mimowolnie rozpropagowane przez Urbana w telewizji. Kiedy bowiem podczas jednej z manifestacji padło zawołanie „Zima wasza, wiosna nasza. A na drzewach zamiast liści będą wisieć komuniści”, to para- ►





► Kolegium tygodnika „Polityka” w 1981 roku; od lewej: (?), Andrzej Krzysztof Wróblewski, (?), Mieczysław Rakowski, Daniel Passent, Henryk Zdanowski, Jerzy Urban, Jerzy Kleer

doksalnie większość Polaków mogła je usłyszeć właśnie dzięki rzecznikowi prasowemu rządu, który cytował je w świętym oburzeniu. Próżno go było szukać w oficjalnej prasie. Trzeba też przyznać, że Jerzy Urban potrafił się zachować niekonwencjonalnie jak na urzędnika państwowego. Na przykład któregoś razu przyniósł na konferencję torbę pełną prezerwatyw i na oczach widzów zaofierował ją dwójgu zachodnich dziennikarzy pytających go o kwestie związane z profilaktyką w związku z zagrożeniem AIDS. To zresztą jest także dowód na to, że o spontaniczne pytania na konferencjach było trudno.

Pod koniec stanu wojennego w liście do Wojciecha Jaruzelskiego sam wystawił sobie ocenę: „Mam przyjemność poinformować, że moje konferencje dla zagranicznych [mediów] wyraźnie umierają. Pytań mało, coraz mniej, dziennikarze są coraz bardziej defensywni. Wyraźnie już nie mają pewności siebie i nie mają o co pytać. Mecz, który trwał od 13 [grudnia 1981 roku], już dogasa. Płakać z tego powodu trudno”. I zapowiadał: „Zmienię formułę konferencji i będę do nich przychodził teraz z pogadankami (własnymi lub cudzymi) na z góry zadany jakiś aktualny temat”. Wyraźnie widać, że nie był w stanie ukryć

satisfakcji i poczucia dobrze spełnionego obowiązku, pojmowanego jako swoiste sprawowanie kontroli nad dziennikarzami. Czy jednak rzecznik rządu powinien sobie poczytywać za sukces to, że coraz więcej osób uważa, że nie warto nawet zadawać mu pytań?

„Niezależny”

Racji władz bronił zresztą nie tylko jako rzecznik prasowy rządu, lecz także jako „niezależny” publicysta. Często w sposób tak brutalny, że budził niesmak nawet wśród rządzących. Na początku 1983 roku, po jednym z jego felietonów w „Tu i Teraz”, w którym obelżywie wyrażał się o ojcu Maksymilianie Kolbom, grupa urażonych posłów bezpartyjnych wystosowała ostry protest do premiera. Rozmowę z Urbanem odbył wicepremier Mieczysław Rakowski, zwracając mu uwagę na „niestosowność użytych sformułowań”. Rzecznik rządu podał się do dymisji, która nie została przyjęta. Polecono mu jednak, by w przyszłości nie publikował felietonów pod swoim nazwiskiem. Od tej pory ukazywały się one wyłącznie pod używanym już przez niego wcześniej pseudonimem „Jan Rem”. Jego publicystyka nie była zresztą ani zabawna, ani mądra, a często wręcz prymitywna

i chamska, jak zamieszczony w numerze noworocznym „Szpilek” z 1981 roku tekst *Po ryju*, w którym opisywał, jak to daje żonie „po ryju” za noszenie znaczka „S”. Warto podkreślić, że treść tych felietonów, przynajmniej części z nich, była konsultowana z przywódcami PRL, m.in. Wojciechem Jaruzelskim i Mieczysławem Rakowskim.

Funkcję głównego propagandysty władz pełnił z całkowitym zaangażowaniem i mimo wspomnianych wyżej nieporozumień cieszył się na tym polu ich zaufaniem. „Gdy idzie o propagandowe przygotowania wizyty papieża, biegły one tak, że ja odłączyłem się od działań bieżących Biura [Prasowego Rządu Urzędu Rady Ministrów] i zająłem się wizytą papieża w powiązaniu z pionem propagandy KC [PZPR]” – pisał w 1983 roku.

Jednak rola Jerzego Urbana nie ograniczała się bynajmniej do biernego przekazywania czy obrony stanowiska władz. Stał się on *de facto* głównym kreatorem polityki propagandowej rządzących, wyrażając Wydział Propagandy KC PZPR. Właściwie przy okazji każdego ważniejszego wydarzenia przedstawiał propozycje działań propagandowych. W lutym 1982 roku zaproponował nawet utworzenie w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych

służby zajmującej się kreowaniem „czarnej propagandy”, czyli po prostu świadomie kłamającej. Jej zadaniem byłyby m.in. tworzenie własnych programów telewizyjnych, radiowych czy reportaży prasowych, szerzących nieprawdziwe informacje, rozpuszczanie plotek, pomówień oczerniających działaczy opozycji i zaangażowanych księży. Następnie – jak pisał – „wykorzystyaliby [je] dziennikarze pracujący w odpowiednich środkach masowego przekazu”. Przedstawił nawet konkretne kandydatury do kierowania działalnością tego rodzaju, w tym kierownika telewizyjnego Studia 2, Mariusza Waltera (późniejszego założyciela TVN), którego widział w roli głównej „siły koncepcyjno-fachowej”. Jak uzasadniał: „Przedstawia tow. Rakowskiemu i mnie sporo interesujących koncepcji ogólnopolitycznych i propagandowych”. Jego pomysł nie został jednak tym razem entuzjastycznie przyjęty przy Rakowieckiej.

Jak zresztą przyznawał jego ówczesny szef, Wojciech Jaruzelski, spod pióra Jerzego Urbana wyszło wiele ciekawych i cennych propozycji: „Sugerował nieraz różne śmiałe inicjatywy. Część z nich znajdowała stopniowo realizacyjny bieg, część dojrzywała powoli”. To nie kto inny, tylko właśnie rzecznik prasowy rządu kilka tygodni po wprowadzeniu stanu wojennego przestrzegał przed powtórzeniem „historycznego błędu z lat 40. i 50. popełnionego wobec AK”. I proponował szereg działań mających na celu głównie „niszczenie gruntu dla formowania się podziemia politycznego lub podskórnego życia społecznego”. Były to m.in. pomysły na pozyskanie młodzieży, takie jak zaakceptowanie subkultur młodzieżowych, „uznanie i podjudzanie prawa młodych do rozumnej kontestacji”, „otworzenie szansy dorabiania się ludziom tak pragnącym ukierunkować swoje ambicje” czy też masowa budowa domów. O tym, że miał to być czysty chwyt propagandowy, a nie wyjście naprzeciw realnym potrzebom społecznym, świadczy jego cyniczny komentarz (rzecz jasna przeznaczony dla ścisłego grona rządzących): „Niech będą tanie i byle jakie”. Trzeba przypomnieć

młodszym czytelnikom, że na mieszkania, a nie na domy, w PRL czekano długie lata. Z kolei w czerwcu 1982 roku na naradzie u wicepremiera Rakowskiego w sprawie działań, które należy podjąć z okazji rocznicy uchwalenia manifestu Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego z 1944 roku, proponował uwolnienie wszystkich internowanych. Miał to być gest łaski, pokazujący, do kogo należy całkowita władza w Polsce, a jednocześnie stanowiący dowód, że partia jest silna i nie boi się opozycji.

Reżimowy depopularyzator

Na początku 1983 roku Jerzy Urban znalazł się w gronie osób (tzw. zespołu Kiszczakowskim), które wypracowywało koncepcję dalszego postępowania ze zwolnionym kilka tygodni wcześniej z internowania przewodniczącym NSZZ „Solidarność” Lechem Wałęsą. To właśnie rzecznik rządu stworzył

plan, który zakładał zmianę strategii wobec Wałęsy na bardziej napastliwą – z „przemilczania na zwalczanie, i to takimi sposobami, aby zdepopularyzować go w opinii społecznej”. Dlatego właśnie podczas konferencji z uporem nazywał go lekceważąc „osobą prywatną”. Miało to zapobiec odbudowie popularności przewodniczącego Solidarności, zniweczyć jego obraz jako rozważnego lidera opozycji, a także uniemożliwić jego spotkanie z Janem Pawłem II podczas drugiej pielgrzymki do kraju w 1983 roku i – szerzej – „uczynić zeń dla Kościoła osobę, do której nie należy przyznawać się”.

► Jerzy Urban podczas konferencji



Urban proponował zatem pokazywanie Wałęsy jako „człowieka małego, marnego, chytrusa, nieszczerzego katolika, bogacza, nieuczciwego, próżnego, egoistycznego i niemądrego, prymitywnego snoba”. Miano do tego wykorzystywać fragmenty autentycznych wypowiedzi przewodniczącego Solidarności w rodzaju „w jednych skarpetkach odejść” – mających świadczyć o jego bezinteresowności – zestawione z odpowiednio dobranymi komentarzami, w tym przypadku o licznych przyznanych mu nagrodach zagranicznych. „Chodzi o zawstyżenie jego zwolenników, ukazując – oto jaki jest wasz przywódca, oto wasz idol naprawdę”. Głównym elementem tej kampanii była tzw. rozmowa braci, czyli Lecha i Stanisława Wałęsów, nagrana przez Służbę Bezpieczeństwa podczas internowania tego pierwszego w Arłamowie, a następnie, po odpowiedniej obróbce przez funkcjonariuszy Biura Studiów MSW (elitarnej jednostki utworzonej w stanie wojennym do zwalczania Solidarności), przez zaufanych dziennikarzy upubliczniona. Najpierw w formie pisemnej, a później emitowana w TVP pod tytułem *Pieniądze*.

W liście do Wojciecha Jaruzelskiego Urban tak przedstawiał swój plan: „Uważam, że trzeba szybko wyjść z taśmą »rozmowa braci Wałęsów« w TV i kampanią z nią związaną, tak dla sfinalizowania przed papieżem rozgrywki z Wałęsą i utrudnienia papieżowi spotkania z Wałęsą (człowiek będący w momencie przyjazdu przedmiotem publicznego skandalu i przedstawiony jako wróg Kościoła), jak i po to, aby tą sensacją przykryć sprawę [Grzegorza] Przemyska”. Chodziło o bulwersującą opinię publiczną sprawę zakatowanego przez milicjantów maturzysty, syna opozycyjnej poetki.

W dystrybucję „stenogramu” rzecznik rządu zaangażował się osobiście. Jego ówczesna żona relacjonowała: „Gdy bywaliśmy gdzieś u znajomych, Urban z tajemną miną pokazywał ten tekst i mówił: »Patrzcie, co nam się udało złapać. Możecie to w tajemnicy przekazać znajomym«”.

Podczas konferencji prasowej 16 czerwca 1983 roku jeden z dziennikarzy zadał pytanie: „Dlaczego Służba Bezpieczeństwa jest w tej chwili obecna w domu Wałęsy, czy będzie możliwe, żeby pojechał on do Częstochowy lub gdzie indziej, by spotkać się z papieżem?”. Rzecznik rządu zapewniał, że chodzi tu o „ochronę milicyjną” przed spodziewanym zamachem na przewodniczącego.

Trzeba przyznać Urbanowi, że – co wyróżniało w obozie rządzącym – potrafił okazać dystans wobec siebie (np. nazywając się „funkcjonariuszem urzędusiem”) oraz nie był nadmiernie przywiązany do zajmowanego przez siebie stanowiska rzecznika prasowego rządu. We wspomnianym wcześniej wniosku o dymisję w reakcji na protest urażonych posłów (z 2 lutego 1983 roku) pisał: „Po pierwsze, nie chcę utrudniać kierownictwu rządu współpracy z Sejmem czy też choćby powodować absorbowania przedstawicieli wysokich władz państwowych sprawami nikłego dla kraju znaczenia. Po drugie, ja sam pragnę uzyskać swobodę wypowiedzi publicznej (w tym oceny przemówień poselskich), skoro pełniona funkcja państwowa, zdaniem niektórych osób, w tak wysokim stopniu powinna obywatelskie prawo do

krytyki ograniczać”. Inna sprawa, że krytyka poczyną władzy miała być oczywiście nader ograniczona i odbywać się pod pełną kontrolą tejże władzy. Dariusz Fikus w książce *Foksal '81* pisał o Urbanie: „Od społeczeństwa domaga się on tylko jednego, aby było spokojne, aby trzymało mordę w kubel, aby godziło się, że tacy jak on, ludzie wybrani i światli, powoli, po cichu będą ten system doskonalili”.

Jerzy Urban po latach nie żałuje swego zaangażowania po stronie władz, wręcz przeciwnie, wydaje się z niego dumny. W wywiadzie z Teresą Torąńską w 21. rocznicę wprowadzenia stanu wojennego mówił: „Dziś mogę żałować i żałuję poszczególnych swoich posunięć czy braku dystansu do brzydko pachnących zdarzeń, ale generalnie uważam, że mieliśmy rację i moje zaangażowanie emocjonalne i intelektualne w walce z opozycją było słuszne”. Tymczasem po prostu służył złej sprawie, bezczelnie kłamiąc i manipulując faktami. Stał się w tym mistrzem, nic zatem dziwnego, że zyskał miano „Goebbelsa stanu wojennego”.

dr Grzegorz Majchrzak – historyk, pracownik Biura Edukacji Publicznej IPN, zajmuje się m.in. badaniem dziejów aparatu represji i opozycji demokratycznej

► Jerzy Urban doradza ministrowi spraw wewnętrznych, Czesławowi Kiszczałowi, podczas obrad Okrągłego Stołu



Na górskich szlakach

Kamil Dworaczek



Fot. Archiwum Ośrodka „Pamięć i Przyszłość”/Tomasz Kizny

► Spotkanie polskich i czeskich opozycjonistów, zorganizowane przez Solidarność Polsko-Czechosłowacką; od lewej stoją: Piotr Niemczyk, Petr Uhl (odwrócony), Józef Pinior, Adam Michnik, Jan Lityński, Mieczysław Piotrowski, Jaroslav Šabata, Stanislav Devátý, Zbigniew Bujak, Anna Šabatova, ks. Václav Malý, Ján Čarnogursky; siedzą od lewej: Mirosław Jasiński, Zbigniew Romaszewski (z przodu), Zbigniew Janas, Václav Havel, Petr Pospíchal, Jan Urban, Danuta Winiarska (odwrócona), Jacek Kuroń, Ladislav Lis, Alexandr Vondra; granica polsko-czechosłowacka w Kotlinie Kłodzkiej, 9 lipca 1988 roku

Spotkania polskiej i czeskosłowackiej opozycji organizowane na granicy w Tatrach i Karkonoszach były czymś wyjątkowym w bloku sowieckim. Pokazywały, że historia, wspólne idee i cele są silniejsze niż „wszystkie tajne i jawne policje”. Mimo wielu przeszkód kontakty nawiązane u schyłku lat siedemdziesiątych udało się podtrzymać i rozwinąć pod koniec następczej dekady.

W drugiej połowie lat siedemdziesiątych zarówno w Polsce, jak i w Czechosłowacji zrodziły się niezależne organizacje opozycyjne o zasięgu ogólnokrajowym. Do najważniejszych w PRL należały Komitet Obrony Robotników i Ruch Obrony Praw Człowieka i Obywatela, a w CSRS Karta 77 oraz Komitet Obrony Nieprawidłowie Prześladowanych (VONS). Trudno było jednak myśleć o wzajemnych kontaktach. Polska SB i czeskosłowacka StB przywiązywały dużą wagę do ograniczania tego typu relacji. Poza tym opozycjoniści, którzy byli już pod

okiem policji politycznej, mieli duże kłopoty ze swobodnym przekraczaniem granicy nawet wewnątrz bloku krajów socjalistycznych.

Droga Przyjaźni

Przełomem okazał się wyjazd Anny Šabatovej i Olgi Havlovej do górskiego domu Havlów. Šabatová, sygnatariuszka Karty 77, wspominała: „Pamiętam, że było wtedy zimno, wszędzie leżał śnieg. W domku znalazłam porzuconą broszurkę turystyczną, w której była oznaczona Droga Przyjaźni Polsko-Czechosłowackiej. Byłam zafascynowana, że szlak ten jest otwarty dla Polaków i Czechów. ►



Fot.: Jiří Bednář / Libri / Prohibiti

► Spotkanie na Równi pod Śnieżką; od lewej: Václav Havel, Marta Kubišová, Jan Lityński, Jacek Kuroń, Adam Michnik

Pytałam Petra [Uhla], czy faktycznie tak jest, a kiedy mnie zapewnił, że to prawda, przyszło mi do głowy, że moglibyśmy tam się spotkać z polskimi opozycjonistami”.

Można powiedzieć, że Droga Przyjaźni Polsko-Czechosłowackiej okazała się azylem, umożliwiającym bezpośrednie kontakty niepokornych z obu krajów, którzy do tej pory słyszeli o sobie tylko w Radiu Wolna Europa. Do pierwszego spotkania doszło w pobliżu Spalonej Strażnicy, na Równi pod Śnieżką, 29 lipca 1978 roku. Ze strony polskiej

wzięli w nim udział Jacek Kuroń, Jan Lityński, Antoni Macierewicz i Adam Michnik, a ze strony czechosłowackiej Jiří Bednář, Václav Havel, Marta Kubišová i Tomáš Petřivý. Kuroń odnotował ten dzień w swoich wspomnieniach: „Nie będę ukrywał, że całe to spotkanie zrobiło na nas wszystkich kolosalne wrażenie. Tam te wszystkie tajne i jawne policje, konfidenci, a my siedzimy sobie przy stole, na którym rum, salami, ser, chleb – wszystko z przepastnej torby Havla, nad nami szumią

jodły i zbratani dyskutujemy, jak obalić wspólnego tyrana. Tak jakby zaczęło się w tym momencie realizować wspólne marzenie, żeby z niewoli wyrwać się w przyjaźń”. Na spotkaniu sporządzono wspólne oświadczenie nawiązujące do dziesiątej rocznicy interwencji wojsk Układu Warszawskiego w Czechosłowacji. Publikacja dokumentu odbiła się szerokim echem w kręgach opozycyjnych po obu stronach granicy, a także na Zachodzie.

Kolejne spotkanie udało się zrealizować we wrześniu tego samego roku. Nie było już na nim Jacka Kuronia,

► Protest głodowy w warszawskim kościele św. Krzyża w obronie więzionych członków VONS i polskich więźniów politycznych; od lewej: Andrzej Czuma, ks. Stanisław Małkowski, Jerzy Markuszewski, Grażyna Kuroń, Jan Lityński; październik 1979 roku



Fot.: Jerzy Przewłocki/ze zbiorów Ośrodka KARTA

ale oprócz Lityńskiego, Macierewicza i Michnika pojawili się inni działacze KOR: Anka Kowalska, Piotr Naimski i Zbigniew Romaszewski. „Delegację” czechosłowacką uzupełnili: Jiří Dienstbier, Ladislav Hejdránek, Jiří Němec, Anna Šabatová, Petr Uhl i Vlastimil Třešňák. Przedstawiciele Karty 77 udzielili wywiadu, który ukazał się w „Biuletynie Informacyjnym KSS »KOR«”. Postanowiono powołać stałe grupy robocze, które miały czuwać nad szybką wymianą informacji. Pojawił się także pomysł zorganizowania seminarium politologicznego na temat inicjatyw opozycyjnych w krajach bloku wschodniego. W planach było również wydanie wspólnej antologii tekstów. Znalazł się w niej jeden z najważniejszych artykułów o opozycji – *Síla bezsilnych* Václava Havla. Polacy ostatecznie nie dostarczyli tekstów. Powstała Solidarność, co zmusiło ich do zrewidowania wielu wcześniejszych planów.

Identyczne plecaki

Solidarnościowa rewolucja w PRL lat 1980–1981 spowodowała, że polscy opozycjoniści skupili się przede wszystkim na sprawach wewnętrznych. Z tego powodu w tym czasie nie doszło do wspólnych spotkań na górskiej granicy. Warto jednak odnotować, że kontakty

z sygnatariuszami Karty 77 cały czas utrzymywał Aleksander Gleichgewicht, współpracownik KSS „KOR” i działacz Studenckiego Komitetu Solidarności we Wrocławiu. We wrześniu 1981 roku pojechał do Pragi i Brna i spotkał się z tamtejszymi opozycjonistami. Wtedy zrodziła się idea nowej organizacji – Solidarności Polsko-Czechosłowackiej. Ustalono sposoby kontaktowania się i wymiany materiałów. Niestety, wprowadzenie stanu wojennego pokrzyżowało plany.

Gleichgewicht został internowany, a później emigrował do Norwegii, ale rolę lidera Solidarności Polsko-Czechosłowackiej przejął inny wrocławianin – Mirosław Jasiński. W 1982 roku udało się odnowić kontakty transgraniczne, a dwa lata później wydano – pierwsze od wielu miesięcy – wspólne oświadczenie. Jednocześnie powstał nowy kanał łączności Warszawa – Brno. Nawiązanie kontaktu umożliwił... list gończy. Petr Pospíchal czytał *Konspirę*, wydany w podziemiu zbiór wywiadów ze znanymi działaczami polskiej opozycji. Znalazł tam reprodukcje listów gończych, na których były adresy ściga-

nych, i w ten sposób trafił do Zbigniewa Janasa. W 1986 roku doszło do trzech spotkań na granicy (w Tatrach i Karkonoszach), w których uczestniczyli: Zbigniew Janas, Mirosław Jasiński, Petr Pospíchal, Janusz Onyszkiewicz i Petr Uhl.

W styczniu 1987 roku Pospíchal został aresztowany i oskarżony m.in. o kontakty z polską opozycją. W Warszawie i we Wrocławiu zorganizowano akcje, podczas których domagano się uwolnienia czechosłowackiego dysydenta. W tym samym czasie polscy opozycjoniści wydrukowali 40 tys. znaczków nawiązujących do dziesiątej rocznicy ogłoszenia Karty 77, z których część udało się przetrzeć do Czechosłowacji. Znaczki miały dobrą jakość, przez co część z nich trafiła nawet do oficjalnego obiegu. Mirosław Jasiński z grupą czeskich opozycjonistów przesłał więzoniemu Pospíchalowi pocztówkę właśnie z takim znaczkiem. Kartka dotarła do adresata. Dopiero po jakimś czasie władze Czechosłowacji zorientowały się, że w obiegu funkcjonują „nieprawomyślne” znaczki, i wydały w związku z tym specjalne rozporządzenie unieważniające listy z tymi znaczkami. ▶

▶ Wycieczka polskich, czeskich i słowackich historyków śladami opozycjonistów; Rówńia pod Śnieżką, 29 września 2015 roku



Bardzo ważnym krokiem wzmacniającym wzajemne relacje było powołanie 6 lipca 1987 roku Kręgu Przyjaciół Solidarności Polsko-Czechosłowackiej, sformalizowanej struktury SPCz, do której weszły znaczące postaci opozycji z obu stron granicy. Jednocześnie rozwijała się wymiana niezależnej literatury. Opracowano system umawiania spotkań: ich miejsca miały przypisane kryptonimy, a od podanej daty należało odjąć trzy dni. Wrocławski działacz Mieczysław Piotrowski wspominał: „Wystarczył prosty komunikat do Anki Šabatovej, że »Anita przyjedzie do Pragi 27-ego«, żeby mój partner po prostej operacji odejmowania wiedział, że przerzut odbędzie się na Černym Koucie w sobotę 24-ego o dwunastej”. W akcji wymiany literatury uczestniczył m.in. Paweł Raczyński z Wrocławia: „Wymiana literatury z Czechami odbywała się w ten sposób, że zarówno my, jak i oni, mieliśmy identyczne plecaki. Stawialiśmy je obok siebie i niby przez przypadek my zabieraliśmy ich, a oni nasze. [...] Spotykaliśmy się z Czechami nie tylko w Karkonoszach, ale też w Masywie Śnieżnika, Górach Złotych i na Biskupiej Kopie w Górach Opawskich. W tym ostatnim przypadku miałem się spotkać z Czechem na szlaku przed szczytem. Mam niestety taką przykrą przypadłość, że wszędzie się spóźniam, tak było i tamtym razem. Nie chciałem, aby czeski kurier wpadł, bo groziły mu surowe represje, nie tak jak u nas. Spieszyłem się więc jak tyl-

ko mogłem, w końcu dotarłem zziębnięty na miejsce, rozglądałem się, a tu wychodzi zza skały Czech i mówi – Jesteś punklicki jak angielski dżentelmen. Okazało się, że byłem dokładnie o czasie”.

Ku wolności

W 1987 roku powrócono do idei wspólnych spotkań czołowych opozycjonistów z Polski i Czechosłowacji. W sierpniu na Borówkowej Górze w Górach Złotych zebrali się m.in. Zbigniew Bujak, Mirosław Jasiński, Jacek Kuroń, Józef Piniór, Petr Pospíchal, Petr Uhl i Václav Havel. Opracowano wspólne oświadczenie, które ogłoszono w kolejną rocznicę wojskowej inwazji na Czechosłowację. Poruszano w nim kwestię zmniejszenia liczebności wojsk stacjonujących w Europie Środkowo-Wschodniej, skrócenia służby wojskowej, domagano się także zniesienia barier w podróżowaniu między krajami bloku wschodniego.

Kolejne tego typu spotkanie zorganizowano na Śnieżniku w lipcu 1988 roku. Przyjęto na nim Deklarację Solidarności Polsko-Czechosłowackiej, w której stwierdzano, że trwa epoka przemian spowodowana kryzysem systemu komunistycznego, a szansa przebudowy systemu zależy „jak nigdy dotąd” od społeczeństw – im więcej niezależnych ugrupowań i inicjatyw, tym większe prawdopodobieństwo, że panujący system zostanie zastąpiony przez demokrację. Podkreślano, że bez zwłoki należy podjąć działalność na rzecz podstawo-

wych praw ludzkich, takich jak prawo do suwerenności, wolności religijnej, stowarzyszania się, wolności słowa, podróżowania oraz określania systemu gospodarczego. Jeszcze jedno spotkanie odbyło się w okolicach Śnieżnika w czerwcu 1989 roku. Wzięli w nim udział m.in. Václav Havel, Petr Pospíchal, Anna Šabatová, Zbigniew Janas i Mirosław Jasiński. Ustalono plany wspólnej działalności w związku ze zmieniającą się sytuacją polityczną. Tematami rozmowy były m.in. przerzut sprzętu poligraficznego oraz zorganizowanie we Wrocławiu festiwalu czechosłowackiej kultury niezależnej (ostatecznie odbył się w listopadzie 1989 roku).

Zupełnie inny charakter miała wizyta Zbigniewa Janasa, Adama Michnika i Jana Lityńskiego w Czechosłowacji w lipcu 1989 roku. Jej uczestnicy przybyli już w charakterze posłów po zwycięskich wyborach czerwcowych. Václav Havel wspominał: „Michnik przyjechał wraz ze Zbigniewem Bujakiem, Zbyszkiem Janasem, Mirkiem Jasińskim, Janem Lityńskim i Krystyną Krauze i było to wspaniałe, ponieważ znaleźliśmy się od dwunastu lat ze spotkań na granicy. I zawsze się nam doskonale rozmawiało, we wszystkim byliśmy zjednoczeni, i nie miało znaczenia, że jedni są Polakami, a drudzy Czechami”.

Nie ulega wątpliwości, że bezpośrednie spotkania, oprócz nawiązania kontaktów organizacyjnych, były okazją do zadziergnięcia i cementowania również więzi towarzyskich. Wcześniejsze kontakty na pewno przysłużyły się budowaniu relacji międzynarodowych po 1989 roku, kiedy to dawni opozycjoniści zajmowali najważniejsze stanowiska państwowe. 🇵🇱

Do idei międzynarodowych spotkań na granicy nawiązali ostatnio historycy z Polski, Czech i Słowacji, zajmujący się dziejami najnowszyimi. Między 28 a 30 września 2015 roku IPN wspólnie ze swoimi czeskim i słowackim odpowiednikami (ÚSTR i ÚPN) zorganizował w Karkonoszach warsztaty, w których wzięli udział pracownicy tych instytucji, w tym prezes IPN, dr Łukasz Kamiński; dyrektor Oddziału IPN we Wrocławiu, dr Robert Żurek, oraz wicedyrektor ÚSTR Ondřej Matějka. Dyskusja toczyła się m.in. wokół zagadnienia opozycji działającej po obu stronach granicy w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. Historycy rozmawiali również o SB i StB oraz ich wzajemnych relacjach.

Bezpośrednim nawiązaniem do wcześniejszych spotkań opozycjonistów była wspólna wycieczka grzbietem Karkonoszy z Przełęczą Karkonoskiej, gdzie znajdował się hotel, do Spalonej Strażnicy na Równi pod Śnieżką, gdzie 37 lat wcześniej doszło do pierwszego spotkania niepokornych z PRL i CSRS. Kolejne warsztaty są planowane na przyszły rok. Najprawdopodobniej odbędą się w Kotlinie Kłodzkiej, gdzie przedstawiciele opozycji spotykali się w latach osiemdziesiątych.

Cytaty za: Łukasz Kamiński, Petr Blažek, Grzegorz Majewski, *Ponad granicami. Historia Solidarności Polsko-Czechosłowackiej*, Wrocław 2009 oraz Kamil Dworaczek, Grzegorz Waligóra, *Ruch „Wolność i Pokój” we Wrocławiu (w:) NSZZ „Solidarność” 1980–1989, tom 7: Wokół „Solidarności”*, red. Ł. Kamiński, G. Waligóra, Warszawa 2010

dr Kamil Dworaczek – historyk, pracownik Oddziałowego Biura Edukacji Publicznej IPN we Wrocławiu

Skarga

Jerzy Eisler

Obraz Jerzego Wójcika to pierwszy film w całości poświęcony grudniowej masakrze 1970 roku na Wybrzeżu. Na kolejny musieliśmy czekać dwadzieścia lat.

Jeśli nie liczyć zrealizowanego i – co nie mniej ważne – wprowadzonego na ekrany w 1981 roku *Człowieka z żelaza* Andrzeja Wajdy, w partiach retrospektywnych częściowo nawiązywano do Grudnia '70, m.in. za sprawą pokazywanych publicznie po raz pierwszy archiwalnych materiałów filmowych z Trójmiasta, *Skarga* w reżyserii Jerzego Wójcika była pierwszym filmem fabularnym opowiadającym o tamtej tragedii. Równocześnie był to także reżyserski debiut jednego z najwybitniejszych operatorów polskiej szkoły filmowej. Premiera tego obrazu odbyła się 18 grudnia 1991 roku. Data została wybrana nieprzypadkowo – było to bowiem dokładnie 21 lat po tym, jak rozegrała się ukazana w filmie tragedia. Nie można przy tym zapominać, że – ze względu na uwikłanie w grudniowy dramat niektórych nadal wówczas czynnych w życiu publicznym polityków (np. „grudniowy” minister obrony narodowej gen. Wojciech Jaruzelski prawie do końca 1990 roku był prezydentem) – dopóki istniała Polska Rzeczpospolita Ludowa, w zasadzie nie można było zrealizować uczciwego filmu o Grudniu.

Konsultacje u świadka historii

Jednocześnie nie można zapominać, że – za sprawą licznych plotek i pogłosek – tragedii grudniowej towarzyszyło немало, żyjących własnym życiem, niesamowitych i przerażających opowieści, mających to do siebie, że były bardzo trudno sprawdzalne. Opowiadano więc o tajemniczych pochówkach niektórych ofiar ➤

► Magda Teresa Wójcik, po wielkiej roli Łucji Król w filmie Janusza Zaorskiego, ponownie świetnie zagrała matkę ofiary komunizmu

w foliowych workach, w zbiorowych mogiłach „gdzieś poza miastem”. Po zmianie w Polsce ustroju wszelkie doniesienia tego typu zostały zweryfikowane i na szczęście nie znalazły potwierdzenia. Była także mowa o nocnych pochówkach na cmentarzach w obecności „ludzi przebranych za katolickich księży”. W pogrzebach tych mogła brać udział tylko najbliższa rodzina. To dla odmiany okazało się prawdą, z jednym wszakże istotnym zastrzeżeniem. W tych „zabezpieczanych” przez Służbę Bezpieczeństwa pogrzebach ofiar, rzeczywiście niejednokrotnie organizowanych w późnych godzinach wieczornych, a właściwie to już nocnych (po 22.00, a czasem nawet po 23.00), faktycznie mogli uczestniczyć tylko najbliżsi – zwykle nie więcej niż cztery, pięć osób, ale księża byli jednak prawdziwi. Wbrew określeniu, które słyszymy w pewnym momencie z ekranu: „fałszywy ksiądz”, duchownych rzymskokatolickich do prowadzenia uroczystości żałobnych wyznaczał Wydział ds. Wyznań. Zresztą świetnie zagrany przez Władysława Kowalskiego ksiądz w żadnym razie nie robi wrażenia przebiegacza.

Piszę o tym dlatego, że autorzy scenariusza, Jerzy Wójcik i Witold Zalewski, konsultując scenariusz z uczestnikami grudniowych protestów, a później znanym działaczem Solidarności, Stanisławem Wądołowskim, przywiązywali wielką wagę do realiów. Nawet w epizodach starali się być bardzo skrupulatni. Na przykład w rozgrywającej się w szpitalu scenie identyfikacji zwłok, w której lekarz wyczytuje nazwiska poszczególnych osób, mających rozpoznawać kolejnych zabitych, posłużono się prawdziwymi nazwiskami rzeczywistych ofiar szczecińskiego Grudnia: Jadwigi Kowalczyk, Stanisława Nadratowskiego i innych. Wydaje się, że równie prawdziwe jest doskonale zrozumiałe w kontekście tej tragedii, przywoływane w filmie hasło: „Nie brać dokumentów, bo nie wydadzą zwłok”. Niewprowadzony w atmosferę grudniowych dni na Wybrzeżu widz nie bardzo zrozumie, o co w tym wypadku chodziło. Tymczasem niektóre rodziny faktycznie obawiały się odbierać rzeczy oraz osobiste dokumenty zabitych krewnych, gdyż uważały, że wtedy władze być może w ogóle nie wydadzą im ciała bliskiej osoby, lecz pochowają je w tajemnicy przed najbliższymi. Trudno się takiej skrajnej nieufności dziwić, wszak wcześniej władza komunistyczna niejednokrotnie dawała dowody nie takiego wiarołomstwa.

Doskonale natomiast odtworzono atmosferę panującą wówczas w Szczecinie, chociaż niestety została zakłócona chronologia wydarzeń. Już w pierwszych minutach filmu w klimat tamtych dni wprowadza nas krótka rozmowa głównego boha-

tera, szesnastoletniego Stefana Stawickiego, z jego dziewczyną, Anią. Na widok czołgów, transporterów opancerzonych oraz kręcących się wokół milicjantów i żołnierzy dziewczyna mówi, chyba sama zaskoczona własną obserwacją: „Wojna!”. Na to chłopak przytomnie: „Nie, to tylko czołgi”. Rozmowa ta toczy się w porannych godzinach w piątek 18 grudnia 1970 roku. Poprzedniego dnia protesty robotnicze przeniosły się z Trójmiasta także do Szczecina, gdzie doszło do najgwałtowniejszych wielogodzinnych walk ulicznych, podczas których m.in. spalono gmach Komitetu Wojewódzkiego PZPR. Późno wieczorem w mieście zapanował spokój.

Nocą z 17 na 18 grudnia do rana, zgodnie z decyzją dowódcy stacjonującej w Szczecinie 12. Dywizji Zmechanizowanej, płk. Mieczysława Urbańskiego, zatwierdzoną następnie przez przebywającego w mieście od kilku godzin wiceministra obrony narodowej, gen. Tadeusza Tuczapskiego, w stolicy Pomorza Zachodniego dokonano przegrupowania wojska

w rejon Stoczni Szczecińskiej im. Adolfa Warskiego. Podobnie jak w Gdańsku i Gdyni, zakładano zablokowanie od zewnątrz obu stoczni (Warskiego i „Gryfii”) wraz z przylegającymi do nich zakładami pracy. Inaczej jednak niż 17 grudnia w Gdyni, celem blokady nie miało być zamknięcie stoczniowcom drogi do pracy, lecz raczej – podobnie jak 16 grudnia w Gdańsku – uniemożliwienie im ponownego wyjścia w pochodzie do centrum miasta. Wojsko blokowało teren stoczni w od-



Fot. Filmoznaka Narodowa

► Ulotki antystrajkowe rozrzucone z helikoptera – scena typowa dla Grudnia '70

ległości ok. 400 metrów od bram wejściowych, powierzając milicji bezpośrednią ochronę bram. Stocznia Szczecińska im. Adolfa Warskiego została zablokowana w rejonie ulic Firlika i Emilii Plater.

Szpital bez empatii

Gdy po 8.00 stoczniowcy próbowali, podobnie jak poprzedniego dnia, wyjść w pochodzie na miasto, wojsko – choć oficjalnie utrzymywano później, że padł rozkaz wyłącznie do strzelania w górę – otworzyło ogień. W rezultacie kilka osób zostało rannych, a dwie: właśnie szesnastoletni uczeń Zasadniczej Szkoły Budowy Okrętów, Stefan Stawicki, oraz dwudziestodwuletni kierowca z Warskiego, Eugeniusz Błażewicz, zostały zabite. Obie ofiary ok. 8.30 zostały przewiezione do 109. Wojskowego Szpitala Garnizonowego, przy czym Stawicki już nie żył, a Błażewicz zmarł o 14.00 na stole operacyjnym.

W filmie – co zresztą jest w pełni zrozumiałe – szpital odgrywa bardzo ważną rolę. W jednej z najważniejszych scen rodzice Stefana Stawickiego – matka, świetnie zagrana przez



► Wojsko i milicja blokowały teren Stoczni Szczecińskiej im. Adolfa Warskiego, żeby uniemożliwić robotnikom wyjście na miasto

Magdę Teresę Wójcik, która jakby powtarza tutaj swoją wielką rolę z *Matki Królów* Janusza Zaorskiego, oraz ojciec, równie znakomicie wykreowany przez Henryka Boukołowskiego – telefonują z budki do kolejnych szczecińskich szpitali z tym samym pytaniem: czy nie ma tam ich syna. W końcu dzwonią do szpitala wojskowego, do którego zostają wezwani. To, co wraz z innymi rodzinami ofiar tam przechodzą, trudno sobie wyobrazić. Funkcjonariusze Służby Bezpieczeństwa i aktywiści partyjni są bodaj najbardziej zainteresowani zachowaniem całej sprawy w tajemnicy. Świetnie zagrany przez Bogusława Sochnackiego esbek stale powtarza rodzinom, żeby to wszystko „zachowały przy sobie”. Towarzyszą temu zapewnienia, że „rząd ani partia nie chciały rozlewu krwi”.

Atutami *Skargi* są znakomite zdjęcia Witolda Sobocińskiego i wspomniane już parokrotnie aktorstwo. Oprócz ról wymienionych artystów szczególne wrażenie robi kreacja Danuty Szaflarskiej w roli babci Stefana. W filmie zadbano także o teoretycznie mniej ważne szczegóły. Pojawiają się więc w pewnym momencie wystawy sklepowe już w świątecznej dekoracji. Twórcy wykorzystali oryginalny prom, który przewoził robotników ze Stoczni „Gryfia” na stały ląd. Pojawia się też typowa dla Grudnia ’70 scena rozrzucania z helikoptera ulotek antystrajkowych. Zadbano także o swoisty peerelewski kolo-

ryt: panie w sekretariacie, malujące się i przygotowujące do jedzenia ciastek, wcale nie były zainteresowane ludźmi, którzy czegoś od nich chcieli, czegoś potrzebowali.

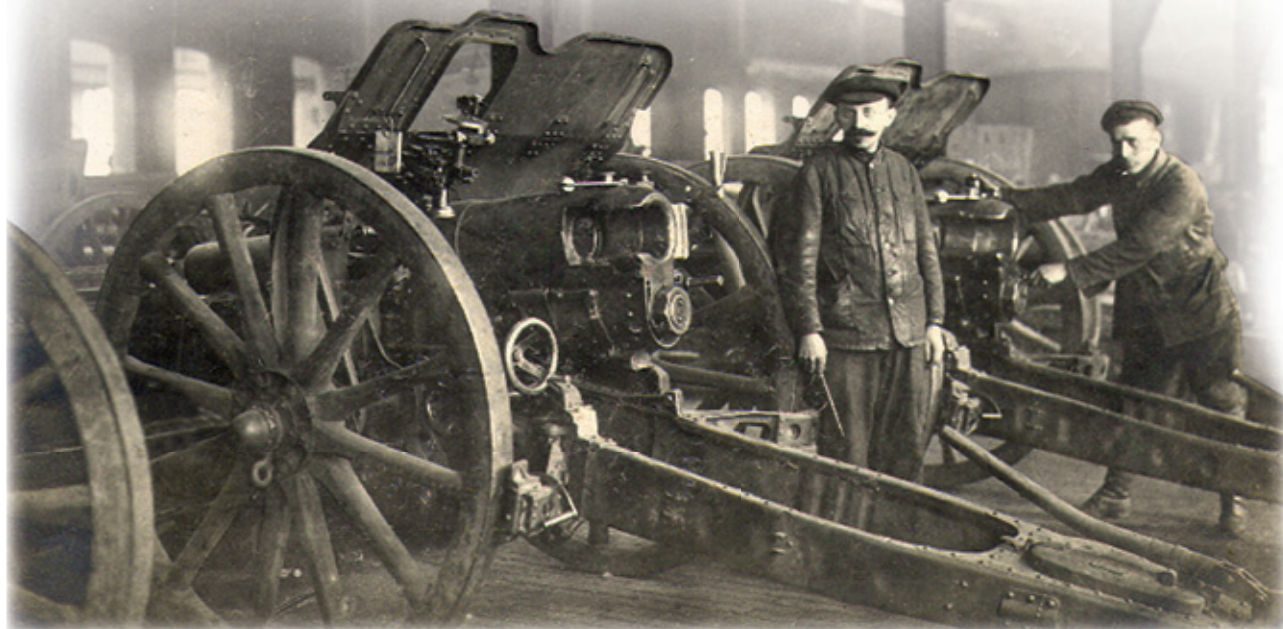
Jedynym poważniejszym zarzutem, jaki mam wobec tego na pewno dobrego filmu, odtwarzającego dość wiernie wydarzenia sprzed lat, jest – jak już wspomniałem – naruszenie chronologii. Wbrew temu, co starali się nam przekazać twórcy, władze nie tylko nie grały na zwłokę w kwestii pogrzebów ofiar, lecz także niejednokrotnie bardzo się z nimi spieszyły. Na przykład jedyną śmiertelną ofiarą grudniowej rebelii w Elblągu, Tadeusza Mariana Sawicza, który zginął też 18 grudnia, ale po południu, pochowano w niedzielę późnym wieczorem. Wydarzenia ukazane w filmie *Skarga* zostały rozciągnięte w czasie, a w każdym razie takie wrażenie może odnieść widz. Jednak trudno przecenić znaczenie tego niezwyklego obrazu zrealizowanego stosunkowo skromnymi środkami. Nie od rzeczy będzie też na koniec przypomnieć, że na następny film o Grudniu ’70, *Czarny czwartek. Janek Wiśniewski padł* w reżyserii Antoniego Krauzego, musieliśmy czekać blisko dwadzieścia lat. 🍷

prof. Jerzy Eisler – historyk, dyrektor Oddziału IPN w Warszawie; zajmuje się dziejami PRL oraz najnowszą historią Francji i historią kina; autor m.in. *Polski rok 1968* (2006), *„Polskie miesiące”, czyli kryzysy w PRL* (2008), *Siedmiu wspaniałych. Poczet pierwszych sekretarzy KC PZPR* (2014)

Arsenał odrodzonej armii

Michał Mackiewicz

► Polskie zakłady naprawcze na warszawskim Solcu, robotnicy pracują przy angielskich haubicach połowych kal. 114 mm (w 1920 roku z Wielkiej Brytanii otrzymaliśmy nieodpłatnie 80 dział); 1920 rok



Fot. MWP

Sprawa uzbrojenia stanowiła jeden z najważniejszych i najtrudniejszych zarazem problemów, przed którymi stanęło młode państwo polskie jesienią 1918 roku. Wobec braku przemysłu zbrojeniowego i rozbudowanego zaplecza technicznego Wojsko Polskie w latach 1918–1921 używało niemal wyłącznie broni obcego pochodzenia.

Zrębem odbudowywanej armii była Polska Siła Zbrojna (Polnische Wehrmacht), uzbrojona w broń niemiecką. Były to m.in. karabiny i karabinki systemu Mausera, cekaemy i elkaemy Maxima (niemiecka broń strzelecka była dostosowana do amunicji kal. 7,92 mm), metalowe lance, szable artylerii konnej (popularne blicherówki), nieliczna artyleria. Zasoby uzbrojenia zwiększyły się po przejściu składów poniemieckich oraz w wyniku akcji rozbrojeniowych. Wiosną 1919 roku, za pośrednictwem Francuskiej Misji Wojskowej na Węgrzech, Polska kupiła część wyposażenia pozostałego po niemieckiej armii Augusta von Mackensena. Istotnym wreszcie

wzmocnieniem było połączenie się latem 1919 roku Wojska Polskiego (WP) z oddziałami z Wielkopolski, jednolicie wyposażonymi i uzbrojonymi w sprzęt niemiecki. O unifikacji nie mogło być jednak mowy, a mozaika uzbrojenia stała się z miesiąca na miesiąc coraz wyraźniejsza.

Oprócz wzorów niemieckich bardzo licznie reprezentowane były austriackie, zwłaszcza wśród żołnierzy walczących z Ukraińcami o wschodnią Galicję, w tym Lwów. Należały do nich m.in. karabiny i karabinki systemu Mannlichera, cekaemy Schwarzlose wz. 1907/12 (austriacka broń strzelecka była dostosowana do amunicji kal. 8 mm), rozmaite wzory granatów oraz szabel, działa

(nie najnowsze zresztą modele). W znacznej mniejszej liczbie była reprezentowana broń rosyjska, chociaż niektóre oddziały dysponowały karabinami systemu Mosina i cekaemami Maxima wz. 1910 (rosyjska broń strzelecka strzelała amunicją kal. 7,62 mm). Wiosną 1919 roku WP dysponowało 133 tys. karabinów i 1720 kaemami. Stan artylerii sięgał ponad 350 luf, przy czym część dział udało się kupić na kredyt u Włochów.

Przewaga broni francuskiej

Druga połowa 1919 roku miała znacząco odmienić oblicze polskiej armii. Dostawy francuskiego sprzętu oraz przybycie do kraju doskonale uzbrojonej Błękitnej Armii gen. Józefa Hallera sprawiły, że to

właśnie francuska broń zaczęła być najliczniej reprezentowana. Chodzi o karabiny Lebel wz. 1886/93 i Berthier wz. 1907/15 (trójnabojowy) oraz wz. 1916 (pięcionabojowy), erkaemy Chauchat wz. 1915 i cekaemy Hotchkiss wz. 1914. Francuska broń strzelała amunicją kal. 8 mm. Istotne wzmocnienie stanowiły doskonałe armaty szybkostrzelne wz. 1897 kal. 75 mm i haubice wz. 1917 kal. 155 mm, a także czołgi Renault FT. W składzie przybyłego z Francji 1. Pułku Pancernego znajdowało się 120 tych wozów. Była to w owym czasie konstrukcja ze wszech miar nowoczesna, a jej układ okazał się rewolucyjny (uzbrojenie w obrotowej wieży, silnik z tyłu, przedział bojowy z przodu, zawieszenie zbudowane z amortyzowanych wózków jezycznych). Już w sierpniu 1919 roku czołgi Renault wyruszyły na front i walczyły do końca wojny z bolszewikami.

Samochody pancerne i samoloty

Dosyć szeroko wykorzystywano samochody pancerne. Podczas walk o Lwów na ulice wyjechały improwizowane pojazdy uzbrojone w karabiny maszynowe (podobne konstrukcje powstawały m. in. podczas III Powstania Śląskiego), jednak to wojna przeciwko bolszewikom stała się tłem dla ich najbardziej spektakularnego użycia. W 1920 roku miały

miejsce działania, o ograniczonym co prawda zasięgu, które mogły uchodzić za niezwykle nowatorskie z uwagi na sposób wykorzystania sprzętu ciężkiego. Mowa tu o dokonanych przez WP dwóch śmiałych zagonach na tyły przeciwnika – na Żytomierz i Kowel. Pierwszy przeprowadzono w ramach ofensywy na Kijów. Wydzielona grupa bojowa, złożona głównie z żołnierzy z 1. Pułku Piechoty Legionów, dysponująca kilkudziesięcioma samochodami ciężarowymi Fiat i Packard, armatami kal. 75 mm podczepionymi do ciągników artyleryjskich, dokonała kilkudziesięciokilometrowego rajdu i zajęła ważny węzeł komunikacyjny. W akcji wziął udział również zdobyty uprzednio na bolszewikach samochód pancerny Garford. Zbudowany na podwoziu amerykańskiej czterotonowej ciężarówki pojazd należał do najcięższych i największych samochodów pancernych epoki i był uzbrojony w armatę 76,2 mm oraz trzy karabiny maszynowe Maxim. Ze względu na ciężar i gabaryty oraz fatalny stan dróg na wschodzie możliwości trakcyjne tego pojazdu były dalece niezadowalające. Zupełnym przeciwieństwem ociążałego Garforda był samochód pancerny Ford FT-B. To jedyny opracowany w Polsce i seryjnie produkowany wóz bojowy z lat 1918–1921; twórcą był niezwykle zdolny i doświad-

czony inżynier, Tadeusz Tański. Ford FT-B produkowano w warszawskich zakładach Spółki Akcyjnej „Gerlach i Pulst”. Ważył między 1,2 a 1,4 t i miał dwuosobową załogę, którą chronił pancierz z nitowanych płyt walcowych o grubości 8 mm. Uzbrojenie stanowił karabin maszynowy Maxim, zamontowany w obrotowej wieżyczce. Samochód osiągał maksymalną prędkość 50 km/h. Najślynniejszą akcją, w której nasze fordki odegrały decydującą rolę, był rajd na Kowel we wrześniu 1920 roku. Grupa bojowa licząca tysiąc żołnierzy, osiem „siedemdziesiątek piątek”, kilkanaście karabinów maszynowych, 54 samochody i dziewięć wozów pancernych (siedem fordów FT-B i dwa white’y) dokonała błyskawicznego, głębokiego zagonu na tyły przeciwnika, dezorganizując jego obronę.

Po 11 listopada 1918 roku, w trakcie zajmowania lotnisk znajdujących się na terytorium Polski, rozpoczęło się samorzutne tworzenie improwizowanych eskadr bojowych. Większość sprzętu zdobytego na lotniskach w Warszawie, Krakowie i Poznaniu była zdekompletowana, brakowało samolotów myśliwskich, przeważały maszyny obserwacyjne i szkolne. Walki z Ukraińcami o Lwów były pierwszymi, które stoczyło powstające dopiero polskie lotnictwo wojskowe. ➤

➤ Jeden ze 120 polskich renaulców w trakcie pokazowego pokonywania przeszkody wodnej





► Obsługa cekaemu Colt wz. 1914 kal. 7,62 mm na froncie wojny z bolszewikami w 1920 roku; cekaemy tego typu były używane w carskiej Rosji, trafiły także na uzbrojenie formacji polskich organizowanych po rewolucji październikowej, m.in. Murmańczyków, z nimi zapewne przybyły do kraju w 1919 roku

2 listopada Polacy zdobyli lwowskie lotnisko Lewandówka, gdzie przejęli 25 samolotów, głównie niemieckich Hansa-Brandenburg. Po niezbędnych naprawach maszyny wkrótce wzięły udział w walkach. W pierwszej akcji zbombardowano zajętą przez Ukraińców stację kolejową Persenkówka. Już po odblokowaniu Lwowa w trakcie walk z ukraińską armią o Galicję doszło do pierwszej w historii naszego lotnictwa wojskowego walki manewrowej. Polski samolot myśliwski Fokker (produkcji niemieckiej) stoczył zwycięski pojedynek z ukraińskim nieuportem (produkcji francuskiej).

W początkowym okresie zdecydowanie przeważały samoloty wywiadowcze, myśliwskich było niewiele. Z czasem, dzięki zakupom, stan tych ostatnich wy-

► Trzej polscy żołnierze na froncie galicyjskim, doskonale widoczna mozaika uzbrojenia i wyposażenia: karabiny rosyjskie systemu Mosina kal. 7,62 mm, rewolwer rosyjski starego typu – Smith Wesson z 1871 roku kal. 11 mm, maski przeciwgazowe francuskie M2, pasy główne austriackie, ładownice trójkomorowe niemieckie do Mausera; 1919 rok



rażnie się zwiększył. Używano maszyn m.in. austriackich (Albatros D.III), niemieckich (Fokker D.VII), francuskich (Spad 7C1 i 13C1), a także włoskich (Ansaldo A.1 Balilla, których licencyjną produkcję podjęto w Polsce w 1921 roku). Były to samoloty nie najnowocześniejsze i obciążone różnymi wadami, ale sprawdzone podczas walk I wojny światowej. Rola nielicznego lotnictwa była ograniczona, do podstawowych zadań należało rozpoznanie, dopiero w dalszej kolejności akcje *stricte* bojowe, jak np. pomyślne ataki eskadr 3. Dywizjonu Lotniczego przeciwko Armii Konnej Budionnego pod Lwowem.

Początek unifikacji

Z chwilą zakończenia walk o granice WP dysponowało ok. 430 tys. karabinów i karabinków, ponad 6,5 tys. karabinów maszynowych i blisko 2 tys. dział. Przejście armii na stopę pokojową zainicjowało proces unifikacji wyposażenia bojowego.

Fot. MWPP

Fot. MWPP

W latach dwudziestych nie było mowy o tym, aby całe wojsko otrzymało broń jednego typu i kalibru, dlatego dążono do jednolitości jedynie w ramach poszczególnych jednostek. Większość dywizji piechoty dysponowała francuskimi karabinami powtarzalnymi. Przyznanie Polsce wyposażenia niemieckiej fabryki karabinów w Gdańsku spowodowało, że ostatecznie zdecydowano się wybrać system Mausera. Broń tego typu cieszyła się du-

żym uznaniem, a poza tym była najliczniejszą, poza wzorami francuskimi, reprezentowaną. Broń zespołową starano się przyporządkować stosownie do kalibru dominującej broni indywidualnej, a więc dla dywizji z bronią francuską przewidziano erkaemy Chauchat i cekaemy Hotchkiss, a dla tych z niemiecką – elkaemy i cekaemy Maxim. Ponadto istniały dywizje uzbrojone w austriackie mannlichery i angielskie enfieldy. W kawalerii zaś używano w większości karabinków systemu Mannlichera i cekaemów Schwarzlose; te ostatnie zaadaptowano w jeździe z uwagi na możliwość stosowania transportu jucznego, który byłby utrudniony w przypadku hotchkissów i maximów. Dywizje piechoty dysponowały dziesięcioma typami dział, artyleria ciężka, najcięższa i przeciwlotnicza miały zaś pięć typów. Z tego prawie 70 proc. stanowiły armaty francuskie, a 20 proc. rosyjskie. Oprócz nich WP miało działa niemieckie, austriackie, włoskie. Za podstawową armatę polową przyjęto francuską wz. 1897 (w 1921 roku było ich blisko osiemset), a w kawalerii zaadaptowano rosyjskie armaty 76,2 mm wz. 1902. Artyleria ciężka została wyposażona głównie we francuskie armaty 105 mm wz. 1913 i haubice 155 mm wz. 1917.

Uzbrojenie było wciąż zróżnicowane, ale też mocno zużyte i wymagające remontów. Jeszcze w czasie walk i na po-



Fot. MWP

▶ Polski pociąg pancerny „Danuta”; panczerka została zdobyta przez powstańców wielkopolskich; po 1919 roku wykorzystano ją w walkach z Armią Czerwoną

czątku lat dwudziestych konserwacją, naprawą i uzupełnianiem brakujących elementów broni zajmowały się tzw. zbrojownie: nr 1 w Brześciu nad Bugiem, nr 2 w Warszawie, nr 3 w Poznaniu, nr 4 w Krakowie i nr 5 w Przemyślu. Tylko w 1921 roku naprawiły one 178 tys. karabinów, 5430 kaemów, 1234 działa, blisko 33 tys. szabel i bagnetów. Działało ponadto pięć warsztatów amunicyjnych i trzy wytwórnie: amunicyjki karabinowej i zapalników artyleryjskich (obie w Warszawie) oraz

▶ Powstańcy wielkopolscy podczas obsługi niemieckiego moździerza okopowego kal. 76 mm; 1919 rok

Fot. MWP



kapiszonów w Toruniu. Na potrzeby wojska produkcję uruchomiły także firmy prywatne (m.in. „Pocisk”, „Arma”, „Starachowice”), dostarczające przede wszystkim amunicję karabinową i artyleryjską oraz materiały wybuchowe.

Od 1921 roku w lubelskich Zakładach Mechanicznych E. Plage i T. Laśkiewicz produkowano licencyjne samoloty myśliwskie Ansaldo A.1 Balilla (silniki i części sprowadzano z zagranicy), a w 1922 roku w warszawskiej Fabryce Karabinów ruszyła produkcja mauserów.

W ciągu kolejnych kilkunastu lat Polska miała dokonać bezprecedensowego dzieła polegającego na zbudowaniu prężnie działającego przemysłu zbrojeniowego. Armia, która wyruszyła w pole w 1939 roku, była już w większości uzbrojona w sprzęt rodzimej produkcji. 🇵🇵

Michał Mackiewicz – archeolog, pracownik Działu Historii Wojskowości Muzeum Wojska Polskiego; zajmuje się historią wojen i uzbrojenia oraz archeologią militarną; autor licznych artykułów o tematyce historycznowojskowej, współautor książki *Kircholm-Kluszyn, zwycięstwa husarii* (2011)

Krzyż zamiast orła

Piotr M. Zalewski, Tomasz Zawistowski



► Krzyż kawalerski noszony na czapkach w krakowskim Sokole Konnym w latach 1913–1914

Wśród organizacji paramilitarnych, które przed 1914 rokiem przygotowywały się do walki zbrojnej o odzyskanie przez Polskę niepodległości, tylko jedna prowadziła ćwiczenia oddziałów konnych. Kilkudziesięcioosobowe stałe drużyny konne działały przy gniazdach Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół” we Lwowie–Zamarstynowie oraz w Krakowie. Były umundurowane, a na ich nakryciach głów widniały oznaki o tradycji znacznie dłuższej niż historia wojskowych orłów na tarczach amazonek. Gdy w pierwszych dniach wojny członkowie Związków Strzeleckich i Polskich Drużyn Strzeleckich stanęli w szeregach tworzących się Legionów Polskich z orłami na maciejówkach, obok nich znaleźli się żołnierze w wysokich, rogatych czapkach ozdobionych znakiem rycerskim – krzyżami kawalerskimi.

Towarzystwo Gimnastyczne, powstałe we Lwowie w roku 1867, dwa lata później przyjęło nazwę TG „Sokół”. Od początku zajmowało się propagowaniem gimnastyki i teźny fizycznej,

zachęcając do uprawiania różnych dyscyplin sportowych. W latach osiemdziesiątych zaczęło się intensywnie rozrastać, a ośrodki sokolskie, zwane gniazdami, powstawały w całej Galicji, a nawet w zaborze pruskim.

Jazda konna była sportem dość kosztownym, wskutek czego pierwszy Oddział Konny „Sokoła”, zorganizowany w Krakowie w roku 1892, po pięciu latach został zmuszony do zawieszenia działalności. Nie zaniechano jednak w „Sokole” tej formy aktywności i w 1909 roku istniało w Galicji już piętnaście oddziałów konnych. Ich delegaci wzięli udział w V Zlocie Sokolstwa Polskiego w Krakowie w roku 1910, połączonym z obchodami pięćsetnej rocznicy bitwy grunwaldzkiej i odsłonięciem upamiętniającego ją pomnika.

W latach poprzedzających wybuch Wielkiej Wojny polskie organizacje niepodległościowe militarzowały się w coraz większym stopniu. TG „Sokół” było wśród nich bodaj najbardziej niechętnie przybrańsi charakteru wojskowego, lecz pod silną presją oddolną została podjęta decyzja o powołaniu Stałych Drużyn Sokolich, umundurowanych i uzbrojonych. W 1914 roku takich drużyn było już ponad sto, a liczyły one łącznie ok. 7 tys. członków.

W grupie Oddziałów Konnych „Sokoła” jedynie dwa wykazywały zainteresowania militarne: zamarstynowskie gniazdo nr III we Lwowie oraz oddział krakowski.

Przysze kadry Legionów

Największy oddział konny „Sokoła” działał przy gnieździe „Lwów-Macierz”; jego wyszkolenie miało jednak charakter sportowo-widowiskowy. Dla odmiany lwowskie Gniazdo nr III, Zamarstynów, miało zorganizowany w 1912 roku przez inż. Antoniego Langego stały oddział konny dysponujący ośmioma końmi własnymi i dwunastoma wypożyczonymi od kawalerii austriackiej. Wierzchowce własne były wynajmowane magistratowi do pracy przy wywożeniu śmieci i śniegu, a zarobione w ten sposób pieniądze przeznaczano na utrzymanie pozostałych koni i zakup sprzętu. Szkolenie sokołów było bardzo intensywne i oprócz innych zajęć obejmowało dwie godziny jazdy konnej co drugi dzień. Dzięki sprawnej organizacji oddział zamarstynowski w 1914 roku dysponował 36 kompletami wyposażenia, w których skład wchodziły austriackie, oficerskie

siodła, szable wzoru przewidzianego dla oficerów kawalerii austriackiej i jednostrzałowe karabiny systemu Kropatschka. Członkowie „Sokoła” byli jednolicie umundurowani na własny koszt, a było to obciążenie niemałe, koszt munduru bowiem wynosił 60 koron (około połowy pensji młodszego oficera c.k. kawalerii). Oddział zamarystynowski miał się niebawem stać zaczątkiem kawalerii I Brygady Legionów Polskich.

Pod koniec roku 1913 konną drużynę połową utworzył też, reaktywowany w październiku 1912 roku, Oddział Konny „Sokoła” krakowski, odbywający szkolenia w byłej ujeżdżalni austriackiej przy ul. Kapucyńskiej. Jego członkowie mieli w nieodległej przyszłości stać się kadrą kawalerii II Brygady Legionów Polskich.

Sokolskie symbole

Polskie TG „Sokół”, jakkolwiek jego idea wywodziła się z Czech, wybrało dla siebie oryginalną symbolikę, zdecydowanie od-

mienną od czeskiej. Podstawowym godłem organizacji stał się srebrny (biały) sokół, podrywający się do lotu i dzierżący w szponach skrzyżowane ciężarki gimnastyczne. Był on zakamuflowanym nawiązaniem do motywu białego orła zrywającego kajdany. Należy pamiętać, że godło to zostało zalegalizowane przez austriackiego zaborcę zaledwie kilka lat po upadku Powstania Styczniowego. Polskie Drużyny Strzeleckie, Związki Strzeleckie i Drużyny Bartoszwowe, które za godło przyjęły różne formy polskiego orła, uczyniły to bez mała pół wieku później.

Sokół stał się elementem oznaki Polowych Drużyn Sokolich, zwanych też Stałymi Drużynami Sokolimi. Nie jest niczym dziwnym zachowanie tradycyjnego godła organizacyjnego, mimo że zaborca zezwoliłby już w tym czasie na używanie orłów. O dziwo jednak dwie wspomniane konne drużyny połowe, zamarystynowska i krakowska, zrezygnowały ze znaku organizacyjnego.



Fot. ze zbiorów Tomasza Zawistowskiego

► Ułan 3. szwadronu kawalerii Legionów Polskich, Wiktor Kunachowicz; na zdjęciu, wykonanym we wrześniu 1914 roku w krakowskim zakładzie fotograficznym „Marya” przy ul. Karmelickiej 10, pozuje w mundurze ufundowanym przez wujka; urodzony w 1897 roku, do Legionów wstąpił w wieku 17 lat, został mianowany kapralem, otrzymał funkcję trębacza, miał bowiem doświadczenie z orkiestry gimnazjalnej; walczył w 2. Pułku Ułanów LP w czasie Wielkiej Wojny; w 1917 roku był wachmistrzem; w czasie wojny bolszewickiej dowodził szwadronem w 2. Pułku Szwoleżerów; po wojnie odszedł do rezerwy w stopniu rotmistrza; kawaler Orderu Wojennego Virtuti Militari, trzykrotnie odznaczony Krzyżem Walecznych

► Ułan 3. szwadronu kawalerii Legionów Polskich, Ludwik Myszkowski; urodzony w 1893 roku, ukończył studia rolnicze w Monachium, był właścicielem majątku Stubno pod Przemyślem; aresztowany przez gestapo za zorganizowanie Związku Walki Zbrojnej w powiecie limanowskim, został rozstrzelany 18 marca 1942 roku w Oświęcimiu; zdjęcie wykonane we wrześniu 1914 roku, w zakładzie „Marya”

Kawalerzyści z „Sokoła” nosili mundury wzorowane na austriackich mundurach połowych, ale najbardziej oryginalnym ich elementem były nakrycia głowy. Wysokie rogatywki, przypominające czapki Gwardii Narodowej Lwowskiej z 1848 roku, były ozdobione krótkimi, białymi kitami, zatkniętymi za plisowane, dwubarwne kokardy. Na kokardach znajdował się symbol odwołujący się do znaków Kawalerii Narodowej z ostatnich lat istnienia wojska I Rzeczypospolitej – srebrny krzyż kawalerski.

Powrót do rycerskiego znaku

Krzyż kawalerski, sięgający tradycją czasów średniowiecza, w Rzeczypospolitej przedrozbiorowej był znakiem stanu rycerskiego. W chorągwiach husarskich ►





Fot. IPMIS



Fot. IPMIS

► Ewolucja krzyża kawalerskiego; od lewej: trzy krzyże z napierśników husarskich, osiemnastowieczny krzyż towarzysza Kawalerii Narodowej lub Pułku Straży Przedniej, krzyż z czapki oficera pułku lekkokonnego polskiego gwardii cesarza Napoleona I ok. 1806 roku, krzyż oficera kawalerii Księstwa Warszawskiego wykopany na pobojowisku z 1812 roku pod Możajskiem



Fot. IPMIS

umieszczano go na napierśnikach bądź obojczykach zbroi folgowych. Towarzysze znaków lekkich nosili krzyże kawalerskie na ładownicach. W czasie reform w latach siedemdziesiątych XVIII wieku, likwidując resztki chorągwi husarskich, pancernych i lekkich, odrzucono ostatecznie husarskie zbroje jako przestarzałe. Znak rycerski z odesłanych do lamusa napierśników i obojczyków trafił na ładownice, a potem na czapki powstających oddziałów Kawalerii Narodowej. W Kawalerii Narodowej na ładownicach nosili go tak towarzysze, jak i pocztowi, a na czapkach od 1791 roku – wyłącznie towarzysze, czapki pocztowych zdobyła bowiem, tak jak i wcześniej, cyfra królewska. Utrzymano też tradycyjny podział kolorów: krzyże srebrne mieli nosić towarzysze koronnych brygad Kawalerii Narodowej, a krzyże złote – brygad litewskich. Znak krzyża kawalerskiego pojawił się też na broni drzewcowej, na karmazynowych proporcach, w formie białej aplikacji obramowanej granatową nicią.

Przepis ubioru dla „Kawalerii Narodowej i Pułków Przedniej Straży Wojska Obojga Narodów”, wydany 11 marca 1791 roku przez Komisję Wojskową Obojga Narodów, głosił, że do noszenia na czapkach towarzyszy tych znaków został przewidziany „Krzyż srebrny Kawalerski podług modelu, który porządnie może być utrzymywany, niżeli Kokardy, które od dżdżu i kurzawy, mimo największego ochędostwa, często się brukaią. Przy czapce pióro białe strzyżone wyso-

kości cali 8. dla tego, że nierównie lepiej się konserwuje, i pod czas deszczu formy swojej nie traci”. Nowo wprowadzane krzyże miały ujednoczone wymiary, ok. 7,5 na 7,5 cm.

Po upadku I Rzeczypospolitej krzyże kawalerskie powróciły na czapki generałów i oficerów pułków ułańskich w okresie Księstwa Warszawskiego i Królestwa Polskiego, współistniejąc na nich z wojskowymi orłami, by później, wraz z upadkiem Powstania Listopadowego, zniknąć na osiemdziesiąt lat.

Powstające stałe oddziały konne „Sokoła” – lwowski w roku 1912 i krakowski w rok później – powróciły do tradycji rycerskiego znaku, uzupełniając austriackie mundury czapkami z kitami strzyżonymi i krzyżami kawalerskimi. Prezentowany na str. 64 krzyż kawalerski z napisem „KU CHWALE OJCZYŹNY” jest jedną z dwóch znanych obecnie wersji wybijanych matrycowo przed wybuchem wojny. Na zdjęciach prezentujących ochotników Wiktora Kunachowicza i Ludwika Myszkowskiego widać krzyże bez napisów, wycięte z płaskiej blachy, z zaznaczoną bordiurą. Wiktor Kunachowicz przybył wraz ze starszym bratem Andrzejem do Krakowa już po wybuchu wojny. Bracia wstąpili do Drużyny Sokolich, a po kilku dniach ćwiczeń pieszych przenieśli się do oddziału Sokoła Konnego, z którego tworzono właśnie 2. i 3. szwadron kawalerii Legionów Polskich. Dzięki pamiętnikom starszego brata wiemy, że mundury

ufundował w owym momencie wuj Kunachowiczów, Wiktor Suski, zamożny kupiec i mieszczanin krakowski, a przy tym patriota i znany społecznik. Było to w sierpniu bądź we wrześniu 1914 roku. Czapki ochotników ozdabiają krzyże w wersji uproszczonej – być może wobec niemożności zdobycia krzyży wybijanych matrycowo.

Kawaleria I i II Brygady Legionów Polskich

Międzywojenna historiografia przyczyniła się do zbudowania takiej wersji legendy kawalerii legionowej, w której rola sokolów konnych jest niesłusznie marginalizowana. Tymczasem w legionowych szeregach to oni właśnie byli jedyną grupą fachowców wyszkolonych w jeździeckim rzemiośle. Nie tylko umiejętność jazdy wierzchem, lecz także musztra, wiedza na temat pielęgnacji koni, podstawy weterynarii oraz znajomość oporządzenia jeździeckiego były tymi niezbędnymi elementami służby kawaleryjskiej, które „Sokół” przekazywał niewyszkolonym ochotnikom. Członkowie Towarzystwa, o czym dzisiaj się zapomina, byli fachową kadram kawalerii obu brygad Legionów Polskich.

Pierwszy oddział Sokoła Konnego przywiódł do Krakowa podnaczelnik oddziału zamarstynowskiego, Marcei Śniadowski. Mimo otrzymania powołania do c.k. armii, której był oficerem rezerwy, mimo zakazu wydanego przez kierownictwo TG „Sokół” 1 sierpnia zgłosił się wraz ze swymi podkomendnymi z Za-

Fot. ze zbiorów Tomasza Zawistowskiego



Fot. MWPP



Fot. ze zbiorów Tomasza Zawistowskiego

marstynowa pod komendę Józefa Piłsudskiego. Trzydziestu czterech sokołów dotarło koleją do Krakowa 4 sierpnia, w mundurach, z ekwipunkiem i bronią. Wierzchowce zostały zarekwirowane przez władze austriackie, a sokołom obiecano wydanie koni wojskowych w Krakowie. Jako że zobowiązanie to okazało się niemożliwe do wyegzekwowania, sokoli wyruszyli z Oleandrów do Królestwa dorożkami, dojeżdżając do cukrowni Śreniawa koło Proszowic, a później do Jędrzejowa. Tam z darów miejscowego ziemiaństwa i z rekwizycji uzupełnili stan wierzchowców, a siła oddziału wzrosła do 45 szabel. Trzydziestu najlepiej wyposażonych i uzbrojonych sokołów wyruszyło 12 sierpnia w stronę Kielc i przeszło chrzest bojowy w potyczce z Moskalami pod Słowikiem. Po powrocie do Jędrzejowa i połączeniu z resztą oddziału wkroczyli ostatecznie do Kielc, gdzie zajęli kwatery w koszarach Kozłowskiego. Tam 27 sierpnia nastąpiło połączenie Oddziału Konnego „Sokoła” z niewiele od niego liczniejszym oddziałem Władysława Prażmowskiego „Beliny”, kwatrującym w hotelu Polskim. W ten sposób powstał szwadron, rozwinięty następnie w dywizjon, a w połowie 1915 roku – w 1. Pułk Ułanów Legionów Polskich.

Kadra kawalerii II Brygady Legionów również wywodziła się z szeregow Sokoła Konnego. Wspomnianą wcześniej grupą gorzej wyekwipowanych sokołów, pozostawionych na kilka sierpniowych dni w Jędrzejowie, dowodził Zbigniew Du-

nin-Wąsowicz, późniejszy sławny dowódca spod Rokitny. Po połączeniu oddziałów w Kielcach i objęciu nad nimi komendy przez „Belinę”, Dunin-Wąsowicz wraz z Jerzym Kisielnickim „Toporem”, sokołem zamartynowskim, wyruszył do Krakowa z zadaniem objęcia dowództwa nad organizowanymi tam kolejnymi oddziałami kawalerii. Prowadził werbunek w siedzibie Oddziału Konnego „Sokoła” krakowskiego, z którego do szeregów stało się 32 ludzi. Obok nich stanęli sokoli lwowscy oraz oddział Sokoła Konnego spod Miechowa. Dzięki napływowi kolejnych ochotników zostały sformowane szwadrony o numerach 2 i 3, które z czasem miały się stać 2. Pułkiem Ułanów LP. Pierwszymi mundurami, noszonymi w tych oddziałach, były oczywiście mundury Sokoła Konnego, najpierw przedwojennej produkcji, potem szyte na bieżąco, jak te, w których do zdjęć pozowali Wiktor Kunachowicz i Ludwik Myszkowski.

Oczywiście, nie wszystkich kawalerzystów stać było na uszycie tak eleganckich mundurów na własny koszt. W ciągu pierwszych tygodni organizacji oddziałów obok mundurów sokolskich można było zobaczyć marynarki i kapelusze eleganckich mieszczan, kraciaste ubrania mieszkańców przedmieść, góralskie guńki i chłopskie siermięgi. W początku września zaledwie jeden pluton 2. szwadronu był w pełni umundurowany. Intendenta Departamentu Wojskowego Naczelnego Komitetu Narodowego pracowała jednak ofiarnie i tuż przed

wyruszeniem na front, pod koniec września 1914 roku, ułani 2. i 3. szwadronu otrzymali jednolite mundury. W skład nowych ubiorów wchodziły czapki wyraźnie wzorowane na nakryciach głowy Sokoła Konnego. Nie zmieniono ani kształtu, ani proporcji, został natomiast zmieniony kolor – z zielonego stał się szaroniebieskim; dodano też karmazynową wypustkę. Doszły elementy metalowe: okucie daszka i łuskowa podpinka. Strzyżona kita z białego włosia została przeniesiona wyżej, na samą krawędź denka czapki. W centralnym punkcie nowych czapek został umieszczony duży orzeł z datą powstania oddziału na tarczy amazonek (por. „Pamięć.pl” nr 6/2015). Trochę szkoda, że projektant nowej czapki nie znalazł na niej miejsca na tradycyjny rycerski znak – krzyż kawalerski. Mimo to powrócił on w symbolice odrodzonego Wojska Polskiego. Na jego podstawie zaprojektowano wiele odznak pułkowych, a od 1919 roku po dzień dzisiejszy czerwony krzyż kawalerski z białymi polami między ramionami zdobi sztandary jednostek Wojska Polskiego, na morzu zaś, skonstrastowany na tle biało-czerwonym – proporce dziobowe oraz znaki dowódców okrętów Marynarki Wojennej. 🇵🇱

Piotr M. Zalewski – artysta plastyk, dyplomowany konserwator dzieł sztuki pracujący w Muzeum Narodowym w Warszawie, współzałożyciel Stowarzyszenia Regimentów i Pułków Polskich 1717–1831 ARSENAŁ

Tomasz Zawistowski – autor czterech tomów monografii polskiego orła wojskowego, urzędniczego i szkolnego *Polskie orły do czapek w latach 1900–1945*

Sport a sprawa polska

Andrzej Brzozowski

Po pierwszej wersji gry *ZnajZnak* i jej odmianie poświęconej bitwie o Monte Cassino powstała kolejna wersja – tym razem dla miłośników sportu.

Tak się składa, że najbardziej bodaj popularne zawody biegowe w Polsce wiążą się z wydarzeniami historycznymi. Mówi się nawet niekiedy o triadzie, na którą składają się Bieg Konstytucji (3 maja), Bieg Powstania Warszawskiego (koniec lipca) i bieg na rocznicę odzyskania niepodległości przez Polskę. Listopad raczej kończy u nas sezon biegowy (mam na myśli bieganie jako sport masowy, bo nie brakuje wszak zapaleńców biegających przez okrągły rok), a głośny akord stanowi Bieg Niepodległości. Sport i historia są więc związane ze sobą bardzo ściśle. Kwestią czasu było zatem wydanie przez Instytut Pamięci Narodowej (który zresztą uczestniczy we wspomnianych imprezach) kolejnej edycji gry *ZnajZnak*, tym razem w odsłonie sportowej. Wydarzenia i osiągnięcia sportowe to przecież także nasza historia, o której warto pamiętać. Szczególnie że mamy czym się pochwalić.

Mechanika gry jest identyczna jak w poprzednich edycjach. Każdy z graczy otrzymuje plik kart, na których awersach znajdują się związane z historią sportu symbole i postaci, a na rewersach – opisy do nich. Mówiąc pokrótce, chodzi o to, aby jak najszybciej na dwóch wyłożonych przez graczy kartach znaleźć ten sam symbol, a następnie poprawnie go opisać. Następnie gracz oddaje swoją kartę przeciwnikowi. Wygrywa ten, kto pierwszy pozbędzie się wszystkich kart, dowodząc tym samym refleksu i wiedzy.

Opisane na kartach symbole dotyczą wydarzeń sportowych, sportowców, klubów, stowarzyszeń itp. z lat 1918–1945. Na 63 kartach mamy zatem historię polskiego sportu w II Rzeczypospolitej i podczas II wojny światowej. Ramy czasowe są tu zresztą dość umowne, bo wiele np. klubów piłkarskich – jak chociażby legendarne, pierwsze na ziemiach polskich, drużyny lwowskie – Czarni i Pogoń – swoją historię rozpoczyna na samym początku XX wieku, a dzieje Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół” sięgają 1867 roku. Z narodzinami sportu



drużynowego wiązało się kształtowanie postaw patriotycznych, a później także, już w okresie niepodległości, uprawianie sportu uznawano za element wychowania patriotycznego, kształtowania – także w sensie fizycznym – obywateli i obrońców ojczyzny. Wszelkie sukcesy sportowe zaś traktowano na równi z innymi osiągnięciami. Triumfy święcili przede wszystkim wojskowi, w tym także ci, których znamy z historii wojennej, jak np. Janusz Kusociński (mistrz olimpijski w biegu na 10 km, podczas wojny żołnierz konspiracji, rozstrzelany przez Niemców w Palmirach) czy Eugeniusz Lokajski (lekkoatleta, fotograf Powstania Warszawskiego). Te nazwiska (a także sylwetki – co w grze ma przecież podstawowe znaczenie) są dość znane, podobnie jak Ernesta Wilimowskiego czy Heleny Marusarzówny, ale już np. szybowniczkę Janinę Lewandowską (jedyną kobietę zamordowaną w Katyniu) czy szachistę Akibę Rubinsteina nie każdy potrafiłby rozpoznać.

Prócz wybitnych postaci z kart *ZnajZnaku* można poznać liczne ciekawostki, m.in. o „igrzyskach” zorganizowanych w obozie jenieckim Langwasser pod Norymbergą czy o zakazanych, regularnych rozgrywkach ligi piłki nożnej pod okupacją niemiecką. I wówczas, i dziś sport staje się okazją do manifestacji patriotyzmu i narzędziem do umacniania ducha narodowego. Patrząc na polski sport z tej perspektywy, można na końcu antycznej maksymy „w zdrowym ciele zdrowy duch” dodać „patriotyzmu”. 🇵🇱

Andrzej Brzozowski – historyk, redaktor naczelny „Pamięci.pl”



Na znajznakowym pudełku widnieje m.in. herb Pogoni Lwów, jednego z pierwszych polskich klubów piłkarskich, wielokrotnego mistrza kraju. Po II wojnie światowej zlikwidowany, dzięki staraniom lwowskich Polaków reaktywowany w 2009 roku. Mimo licznych trudności funkcjonuje, ale liczy na wsparcie rodaków. Publikujemy obok list otwarty prezesa klubu i przyłączamy się do jego apelu.



Lwów, 23 listopada 2015 roku

List otwarty do Przyjaciół reaktywowanej „Pogoni” Lwów

W październiku 2009 roku, dzięki inicjatywie młodych Polaków ze Lwowa i wsparciu Konsulatu Generalnego RP, udało się reaktywować jeden z najbardziej zasłużonych klubów w historii polskiej piłki nożnej. Od początku przyświecał nam cel odrodzenia polskiego sportu we Lwowie i kontynuowania tradycji zasłużonych poprzedników. Dzięki wsparciu wielu ludzi dobrej woli i kilku organizacji z Polski, po siedemdziesięciu latach przerwy, na boiskach Lwowa znowu pojawili się „Pogoniarze”. Od początku działalności prowadzimy Szkołę Piłkarską, do której uczęszczają dzieci, uczniowie dwóch polskich szkół we Lwowie. Nasza szkoła to nie tylko treningi – popularyzujemy wśród najmłodszych pamięć o gwiazdach przedwojennej polskiej piłki, organizujemy wyjazdy na turnieje i obozy do Polski, dzięki czemu młodzi Pogoniacy mają okazję poznać swoich rówieśników po drugiej stronie granicy. Chcemy dzięki temu wychować przyszłą kadrę naszego klubu, która w przyszłości będzie mogła godnie reprezentować „Pogon”.

Klub rozpoczął swoją działalność od najniższych szczebli krajowych, stopniowo zdobywając kolejne sukcesy, m.in. w 2010 roku zdobyliśmy tytuł Mistrza Ligi Miasta Lwowa, w tym roku byliśmy finalistami Juniorskiego Pucharu Obwodu Lwowskiego i Wicemistrzem Juniorskiej Premier Ligi Obwodowej. Dziś seniorski i juniorski skład „Pogoni” gra na wysokim szczeblu 3. ligi krajowej. W drużynie grają piłkarze różnego pochodzenia – zarówno z rodzin polskich, mieszanych jak i z ukraińskich, wszyscy z dumą występując jako polski klub ze Lwowa.

Oprócz sekcji piłkarskiej i szkoły prowadzimy też sekcje kolarską i sportowo-rekreacyjną, które m.in. organizują gry uliczne i rajdy związane z promocją historii i wybitnych postaci Lwowa, związanych z kulturą, nauką i filmem. Nasi działacze biorą aktywny udział w życiu polskiej społeczności we Lwowie, angażując się w takie akcje, jak „Światelko pamięci dla Cmentarza Lyczakowskiego”, polskie święta narodowe i obchody rocznicowe. W miarę naszych możliwości staramy się też pośredniczyć w pomocy dla polskich szkół i przedszkoli obwodu lwowskiego. Byliśmy też inicjatorem turnieju Polskiej Ligi Obwodu Lwowskiego, który był okazją do spotkania amatorskich drużyn polskich z małych miejscowości wokół Lwowa, skupionych najczęściej przy parafiach łańciskich.

Z bogatej bazy treningowej przedwojennego klubu dziś we Lwowie nie pozostało nic. Na terenie słynnego stadionu mieści się jednostka wojskowa. Nasz odrodzony klub nie posiada żadnych własnych obiektów – na każdy trening musimy wynajmować halę. Według umowy najmu boiska, klub odpowiada również za utrzymanie murawy boisk meczowych, co dodatkowo obciąża nasz budżet. Oplacamy też wynajem bardzo skromnego biura. Z polskiej strony wielokrotnie obiecywano nam budowę boiska czy „Orlika”, ale na obietnicach się skończyło. Nie ma mowy o bezpłatnej dzierżawie od miasta ani jakimkolwiek wsparciu władz lokalnych – jako odpowiedź zawsze słyszymy, że jako polski klub mamy szukać wsparcia w Polsce. Kilukrotnie też naciskano na nas, domagając się zmiany nazwy klubu, my jednak używamy oryginalnej, polskiej nazwy. Zdarza się jednak, że spotykamy się z brakiem obiektywizmu ze strony sędziów, a nasze protesty do Federacji Piłki Nożnej Obwodu Lwowskiego są ignorowane.

Przez cały czas borykamy się z brakiem stabilności finansowej. Kilukrotnie już nasza dalsza działalność stawała pod znakiem zapytania. W wyniku naszych apeli kilku sponsorów wspierało nas, zawiązując jednak umowy tylko na okres kilku miesięcy. Nasze wnioski do MSZ były częściowo rozpatrywane pozytywnie, nigdy jednak nie zabezpieczają naszego budżetu w całości. Nasi jedyni stali sponsorzy to spółka PZU Ukraina oraz środowisko kibiców, na których regularne, choć małe wsparcie zawsze możemy liczyć. Każdego roku jednak, przez brak stabilności finansowej, mamy problem z zamknięciem sezonu, nie mówiąc już o planowaniu dalszych inicjatyw. Z powodu braku środków jesteśmy zmuszeni odmawiać na wiele wartościowych zaproszeń.

Tracimy też dobrych piłkarzy, których przyciągają bogate kluby. W obecnej sytuacji ekonomicznej na Ukrainie nawet skromne stypendium może decydować o losie zawodnika.

Jak pokazują nasze liczne spotkania z zasłużonymi klubami w Polsce oraz reakcje naszych sympatyków – istnieje szansa na dalszy rozwój lwowskiej „Pogoni”. Zależy nam jednak przede wszystkim, aby nie być dodatkiem do rocznicowych spotkań w Polsce, lecz aby silnie działać na miejscu, we Lwowie. Często spotykamy się z pytaniem, dlaczego nie gramy w polskiej lidze. Pomijając kwestie formalne – chcemy swoją działalnością przypominać o polskich tradycjach sportowych, które właśnie tutaj we Lwowie się narodziły, i godnie je kontynuować. Naszym celem nie jest być bazą wypadową dla młodych Polaków, którzy chcą wyjechać do Polski, tylko wręcz przeciwnie – chcemy umożliwić pozostanie w rodzinnym mieście i działać u siebie. Mamy szansę być marką, która nie tylko będzie skupiać środowisko polskie we Lwowie, ale też będzie rozpoznawalna wśród Ukraińców, jako kontynuator jednego z najbardziej zasłużonych polskich klubów, z którym warto się liczyć. Stajemy obecnie przed pytaniem: co dalej z działalnością LKS „Pogon”? Czy znajdują się instytucje lub firmy, które poważnie potraktują sens dalszego istnienia klubu jako profesjonalnej drużyny sportowej, z zabezpieczonym budżetem i możliwością planowania dalszych inicjatyw? Czy nasza praca ma skupiać się na łataniu finansów i braku pewności, czy w kolejnych rozgrywkach będziemy w stanie wziąć udział? Jako zarząd Lwowskiego Klubu Sportowego możemy ze swojej strony zapewnić, że zrobimy wszystko, aby klub nie przestał istnieć. W przypadku braku możliwości finansowych będziemy jednak zmuszeni całkowicie zrezygnować z udziału w rozgrywkach lokalnych, a co za tym idzie – realizowania idei odrodzenia polskiego sportu we Lwowie. Pozostaniemy jedynie grupą Polaków, rekreacyjnie zajmujących się sportem – wtedy jednak trudno będzie mówić o kontynuowaniu chlubnych tradycji wielokrotnego Mistrza Polski, lwowskiej Pogoni.

Dziękujemy naszym sympatykom za wsparcie i śledzenie bieżących problemów klubu. Jesteśmy otwarci na wszelkie propozycje.

Ze sportowym pozdrowieniem



Prezes
Lwowskiego Klubu Sportowego
„POGOŃ”



Marek Horbar

PRZYSTANEK HISTORIA



Centrum Edukacyjne IPN im. Janusza Kurtyki

ul. Marszałkowska 21/25, 0-628 Warszawa
faks (22) 576 30 02

www.ipn.gov.pl

przystanek.historia@ipn.gov.pl

facebook.com/przystanek.historia

przystanekhistoria.ipn.gov.pl

11–31 grudnia

Wystawa „Stan wojenny w SB-ckim albumie”, przygotowana przez Oddziałowe Biuro Edukacji Publicznej IPN w Krakowie. Ekspozycja prezentuje wcześniej niepublikowane, a odnalezione w archiwum krakowskiego IPN zdjęcia operacyjne Służby Bezpieczeństwa, wykonane przez jej funkcjonariuszy w latach 1981–1983, m.in. w czasie manifestacji solidarnościowych.

11 grudnia (piątek), godz. 17:30

Dyskusja z cyklu „Historia z Piotrem Skwieceńskim”. Czy stan wojenny to po prostu obrona władzy PZPR, czy można coś jeszcze do tego dodać? O decyzji, której ocena dramatycznie dzieli Polaków, będą rozmawiać prof. Antoni Dudek, przewodniczący Rady IPN, oraz Robert Krasowski, były redaktor naczelny „Dziennika”, autor książki *Po południu* o pierwszych latach III RP

12 grudnia (sobota), godz. 9:00

Szkolenie dla nauczycieli szkół ponadgimnazjalnych, którzy realizują założenia podstawy programowej przedmiotu historia i społeczeństwo dotyczące historii XX wieku. Współorganizatorem szkolenia jest Warszawskie Centrum Innowacji Edukacyjno-Społecznych i Szkoleń. Informacje i zgłoszenia: barbara.pamrow@ipn.gov.pl

13 grudnia (niedziela), godz. 19:30

Z okazji rocznicy wprowadzenia stanu wojennego 13 grudnia 1981 r. **spektakl Świat nieprzerwany** w wykonaniu zespołu Piramidy z udziałem Wojciecha Wysockiego. Na swojej pierwszej płycie, *Rozmowa z piramidami*, muzycy zaprezentowali utwory polskich poetów – Norwida, Mickiewicza, Słowackiego i Asnyka – w rockowo-jazzowej aranżacji. Kolejny album, zatytułowany *Rok wojny*, ukaże się w lutym przyszłego roku. Będzie to muzyczna historia XX i XXI wieku w rockowej odsłonie.

Wojciech Wysocki jest aktorem teatralnym, filmowym i telewizyjnym. W 2008 r. został uhonorowany Wielkim Splendorem – nagrodą Teatru Polskiego Radia.

14 grudnia (poniedziałek), godz. 18:00

Seminarium popularnonaukowe „**Konflikty zimnowojenne**”, ukazujące dzieje najważniejszych konfliktów w czasie trwania zimnej wojny. Cykl jest kolejną odsłoną cieszącego się wielką popularnością seminarium „Pod sierpem i młotem”. Wykład poświęcony kryzysowi na Kubie wygłosi dr Katarzyna Dembiczy z Centrum Studiów Latinoamerykańskich Uniwersytetu Warszawskiego.

15 grudnia (wtorek), godz. 17:00

W ramach spotkania filmowego Klubu Historycznego im. Gen. Stefana Roweckiego „Grota” **projekcja filmu** Andrzeja Trzosa-Rastawieckiego ...*Gdziekolwiek jesteś, panie prezydencie* (1978) poświęconego Stefanowi Starzyńskiemu, legendarnemu prezydentowi Warszawy. Komentarz historyczny wygłosi dr Paweł Kosiński z Oddziałowego Biura Edukacji Publicznej IPN w Warszawie.

Zrealizowany na czarno-białej taśmie film łączy archiwalne kroniki ze scenami nakręconymi przez ekipę filmową w latach 70. Obok postaci historycznych, takich jak Stefan Starzyński, Walerian Czuma, Mieczysław Niedziałkowski czy

Juliusz Rómmel, występują w nim fikcyjni bohaterowie – reżyser chciał, „by w ich losach odbiły się losy ludzi, którzy żyli, walczyli i umierali w Warszawie we wrześniu 1939 roku”. Bohater filmu, Stefan Starzyński, od 1934 r. pełnił urząd prezydenta Warszawy, a we wrześniu 1939 r. dowodził cywilną obroną stolicy. Nie skorzystał z możliwości wyjazdu, został w Warszawie i w codziennych przemówieniach radiowych podtrzymywał na duchu mieszkańców stolicy. W październiku 1939 r. został aresztowany przez gestapo, a w grudniu rozstrzelany.

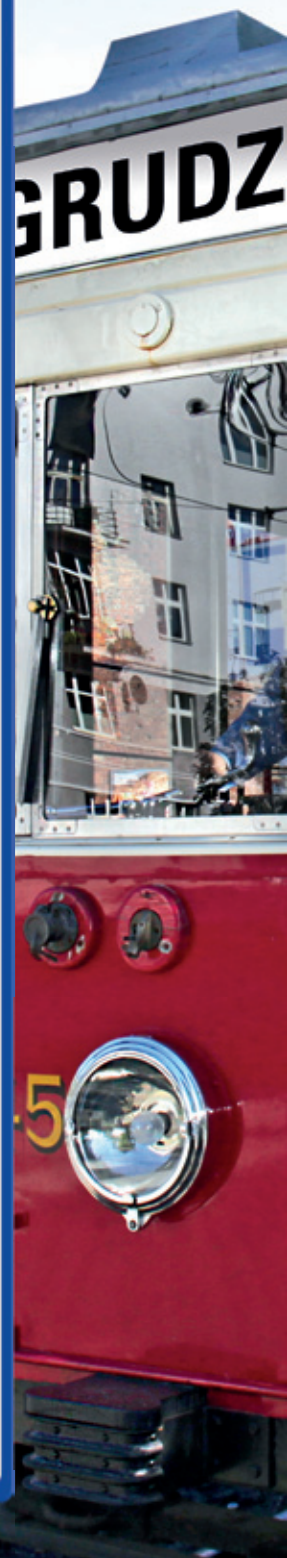
21 grudnia (poniedziałek), godz. 18:00

Finał Plebiscytu na Złotą Dziesiątkę pieśni z repertuaru Przemysława Gintrowskiego. W programie ogłoszenie wyników plebiscytu oraz część artystyczna. Organizatorem plebiscytu jest Komitet Organizacyjny Ogólnopolskiego Przeglądu Twórczości Zbigniewa Herberta „Herbertiada”, z którym był związany Przemysław Gintrowski. Głosowanie trwa od 20 października do 15 grudnia, mogą w nim wziąć udział wszyscy, którzy ukończyli 13. rok życia. Aby oddać głos, wystarczy wysłać e-mailem na adres plebiscyt.gintrowski@gmail.com tytuły trzech ulubionych utworów z repertuaru Przemysława Gintrowskiego w ustalonym porządku (1 – pierwsze miejsce, 2 – drugie miejsce, 3 – trzecie miejsce). Przemysław Gintrowski (1951–2012) był pieśniarzem i kompozytorem. Śpiewał piosenki do tekstów Zbigniewa Herberta, Krzysztofa Sieniawskiego, Jerzego Czechy, Tadeusza Nowaka, Marka Tercza i innych poetów. Współpracował z Jackiem Kaczmarskim i Zbigniewem Tańskim, z którymi stworzył programy *Mury, Raj, Muzeum, Mury w Muzeum Raju* oraz *Wojna Postu z Karnawalem*. Skomponował również muzykę do ponad dwudziestu filmów fabularnych i seriali. Swoją ostatni koncert zagrał 1 marca 2012 r. w Przystanku Historia.

Zapal Światło Wolności

Jak co roku zachęcamy do upamiętnienia ofiar stanu wojennego przez zapalenie **13 grudnia** o 19:30 symbolicznej świecy w oknach Państwa domów. Kampania społeczna IPN nawiązuje do gestu solidarności, jaki w Wigilię Bożego Narodzenia 1981 r. wobec Polaków wykonały rzemieślnicy ówczesnego wolnego świata. W oknie Pałacu Apostolskiego w Watykanie zapłonęła wtedy świeca. Na znak jedności z rodakami zapalił ją papież Jan Paweł II. Do postawienia w oknach świec wezwał także prezydent USA Ronald Reagan, który w bożonarodzeniowym orędziu do narodu powiedział: „Polacy zostali zdradzeni przez własny rząd. Ci, którzy nimi rządzą, oraz ich totalitarni sojusznicy obawiają się wolności, którą Polacy tak bardzo umiłowali. [...] Niech płomień milionów świec w amerykańskich domach będzie świadectwem, że światła wolności nie uda się zgasić”.

13 grudnia ulicami Warszawy przejedzie zabytkowy ikarus 280 kursujący na trasie wytyczonej przez miejscy związane ze stanem wojennym. Podróżnych czeka wycieczka z komentarzem historycznym oraz koncert piosenek opozycyjnych. Przejazd autobusem edukacyjnym jest bezpłatny.



Kronika strajku

Trzydziesta piąta rocznica podpisania porozumień sierpniowych sprzyjała publikacji nowych opracowań dotyczących historii Solidarności. Dociekliwi czytelnicy mieli możliwość zapoznania się z obszerną monografią naukową Andrzeja Friszke (*Rewolucja Solidarności 1980–1981*), osoby zainteresowane syntetycznym i przystępnym podejściem mogły sięgnąć po książkę Jana Skórzyńskiego (*Krótką historią Solidarności 1980–1989*), a czytelnicy szukający szerokiej analizy socjologicznej otrzymali podsumowanie trzydziestu lat cyklicznie prowadzonych badań socjologicznych: *Fenomen Solidarności i zmiana ustroju. Polacy 1980–2011* pod redakcją Władysława Adamskiego. Co na tym tle ma do zaoferowania pozycja autorstwa Anny Machcewicz, która na warsztat wzięła węższy temat – historię sierpniowych strajków?

Książka dzieli się na dwie części. Pierwsza jest poświęcona genezie buntu – to społeczno-polityczna panorama PRL lat siedemdziesiątych. Polska w tym czasie stała się podreżnikowym wręcz przykładem sytuacji przedrewolucyjnej. Władza, która w grudniu 1970 roku ostatecznie utraciła jakąkolwiek legitymację ideologiczną do rządzenia, próbowała się ratować projektem, który Marcin Zaremba chwytliwie określił mianem bigosowego socjalizmu. Celami ekipy Edwarda Gierka były modernizacja kraju i zaspokojenie konsumpcyjnych potrzeb społeczeństwa. Krach tej polityki stał się wkrótce widoczny na co najmniej trzech płaszczyznach: doszło do załamania gospodarki, pogłębiło się niezadowolenie społeczne, a szeregi opozycji demokratycznej stale zasilałi nowi współpracownicy. Autorka przedstawia historię tego procesu zarówno z perspektywy całego kraju, jak i interesującego ją Trójmiasta. *Clou* książki jest jednak jej część druga – historia protestów na Wybrzeżu od momentu przygotowań i zawiązania tzw. małego strajku w Stoczni Gdańskiej im. Lenina do chwili zakończenia negocjacji Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego z władzami.

Pierwsza część książki nie jest szczególnie oryginalna. Autorka musiała się zmierzyć z zagadnieniem dość skomplikowanym i niezbyt atrakcyjnym dla czytelnika. Temat „przedrewolucyjnych” nastrojów w PRL lat siedemdziesiątych został już wcześniej opisany, podobnie jak historia opozycji demokratycznej. Plusem tej części książki jest jednak skupienie się na specyfice Trójmiasta; warto patrzeć na spostrzeżenia autorki jako na uzupełnienie pracy Piotra Perkowskiego, opisującej wcześniejszą historię tego regionu (*Gdańsk – miasto od nowa. Kształtowanie społeczeństwa i warunki bytowania w latach 1945–1970*).

Rozbudzone oczekiwania spełnia natomiast druga część książki – dokładnie i ciekawie odmalowany obraz wydarzeń z sierpnia 1980 roku. Jest to nie tylko dobrze napisana opowieść, lecz także praca naukowa wartościowa z kilku powodów. Po pierwsze – do tej pory brakowało opracowania dotyczącego samych strajków trójmiejskich, napisanego na podstawie źródeł dostępnych stosunkowo od niedawna. Autorka sięga zarówno po dokumenty aparatu partyjnego czy służb specjalnych, jak i po relacje spisane bądź zebrane w ostatnich latach. Jest to pewien paradoks, że wcześniej dość szczegółowych opracowań doczekały się inne wydarzenia z historii Solidarności. Powstało np. trzytomowe wydawnictwo *Kryzys bydgoski 1981. Przyczyny, przebieg, konsekwencje*, autorstwa Krzysztofa Osińskiego i Piotra Rybarczyka, poświęcone najważniejszej przed stanem wojennym konfrontacji władz z związku. Na półkach księgarskich odnajdziemy także liczne studia regionalne, jednak same strajki sierpniowe cały czas czekały na opracowanie. Po drugie – książka Anny Machcewicz jest ważna, ponieważ temat strajku i negocjacji był od lat źródłem wielu kontrowersji i ahistorycznych interpretacji. Machcewicz porządkuje fakty, pokazuje kontekst wydarzeń, zestawia różne punkty widzenia. Rzetelnie opisuje m.in. zakończenie „małego strajku” w Stoczni Gdańskiej, genezę mitu trzech ratujących go kobiet czy też rolę ekspertów doradzających MKS-owi i przyświecające im motywacje.

Wartością książki jest to, że autorka nie zasklepia się w *stricte* historycznym opisie wydarzeń, lecz stara się prze-

platać narrację *passusami* o charakterze reporterskim (jak np. opis codziennego dnia strajkujących) czy też próbą analizy psychologiczno-społecznej (fenomen przywództwa strajkowego). Te zabiegi sprawiają, że czytelnik może nie tylko poczuć atmosferę tamtych wydarzeń, lecz także uświadomić sobie działanie pewnych mechanizmów, które miały wpływ na rozgrywkę między strajkującymi, liderami buntu oraz władzami. Ciekawe jest np. przedstawienie, na ilu scenach działali liderzy strajkowi, którzy musieli lawirować między radykalnie nastawioną częścią protestujących a reprezentantami władz; między wiecowymi przemowami a poufnymi rozmowami. W tym kontekście warto podkreślić, że autorka docenia, jak ważną rolę odegrały interakcje między strajkującymi a władzami, jak z biegiem wydarzeń obie strony były zmuszone modyfikować swoje strategie w obliczu konfrontacji z przeciwnikiem politycznym. ■



Anna Machcewicz, *Bunt. Strajki w Trójmieście. Sierpień 1980*, Europejskie Centrum Solidarności, Gdańsk 2015, 488 s.

Dziadek Mróz kontra św. Mikołaj

Chyba każdy, czyje dzieciństwo przypadło na okres PRL, pamięta pojawiające się w okolicach Bożego Narodzenia – mniej lub bardziej intensywnie – zapowiedzi spotkania z Dziadkiem Mrozem. Ta radziecka podróbka św. Mikołaja miała wyprzeć z masowej wyobraźni starożytnego biskupa z Miry, któremu tradycyjnie przypisuje się podrzucanie pod choinkę bożonarodzeniowych podarków. Skądinąd sama choinka (wraz z wręczanymi pod nią prezentami) miała być związana raczej z Nowym Rokiem niż Bożym Narodzeniem.

Skutek, jak wiadomo, był marny – nawet osoby wychowane w rodzinach komunistycznych przyznają, że prezenty pod choinkę dostawały od Mikołaja, a nie Dziadka Mroza. Pozostały jednak liczne pamiątki po zabiegach zmierzających do osadzenia w polskiej kulturze tego ostatniego. Zebrały je – obok wielu innych dokumentów związanych ze staraniami komunistów o wykorzenie z polskiego społeczeństwa przywiązania do wiary – skomentowały i opublikowały Łucja Marek i Monika Bortlik-Dźwierzyńska, autorki albumu *Za Marksem bez Boga. Laicyzacja życia społecznego w Polsce w latach 1945–1989*. Nieszczęsny Dziadek Mróz zerka na nas z wycinków prasowych reprodukowanych w rozdziale *Świecka kultura i świętowanie* (podrozdział *Desakralizacja świąt religijnych*). W tej części książki prawdziwą perełką jest prудnicki afisz z 1947 roku, zapraszający do udziału w obchodach Święta Zmarłych (tak komuniści przemianowali dzień Wszystkich Świętych), którego pierwszym punktem było... nabożeństwo „za poległych o wolność i demokrację”. To zresztą jeden ze śladów zjawiska charakterystycznego dla pierwszych dwóch, trzech lat komunizmu w Polsce: prób współistnienia nowych władz z obyczajowością religijną (najsłynniejszy przykład to Bolesław Bierut niosący baldachim nad monstrancją podczas procesji w Boże Ciało).

Istną skarbnicą kuriozów epoki jest rozdział *Obywatelska obrzędowość*. Autorki piszą w nim o genezie ceremoniałów powszechnych do dzisiaj ślubów cywilnych czy – rzadszych nieco, ale wciąż praktykowanych – świeckich pogrzebów. Mało kto jednak spośród osób niepamiętających PRL (lub pamiętających tylko ostatnie jej lata) wie, że od lat sześćdziesiątych w urzędzie stanu cywilnego można było zorganizować uroczystość nadania dziecku imienia (w tych „świeckich chrzcinach” rodziców chrzestnych zastępowali „honorowi opiekunowie”, a prezenty – książeczki oszczędnościowe lub mieszkaniowe albo polisy PZU – fundowali podatnicy „ludowe-

go” państwa). Mało kto pewnie też pamięta pasowanie na młodzika – obrzęd stworzony z myślą o dzieciach z rodzin niewierzących, żeby nie czuły się poszkodowane z powodu nieprzystępowania z pozostałymi rówieśnikami do pierwszej komunii (i tego, że omijają je prezenty wręczone z tej okazji). W praktyce były to najczęściej imprezy rodzin resortowych, których matki należały do Koła Rodzin Milicyjnych lub Organizacji Rodzin Wojskowych. Struktury te były częścią Ligi Kobiet (od grudnia 1982 roku – Ligi Kobiet Polskich).

Oprócz licznych reprodukcji stron peerelowskiej prasy, rozmaitych ulotek, afiszów i broszur promujących laicki model życia znajdziemy zdjęcia z parareligijnych uroczystości publicznych – np. pochód ze śląskich dożynek na pierwszy rzut oka przypominający procesję. Ilustracje (szkoda, że zrezygnowano z wiernej reprodukcji kolorów – poza czernią i bielą pozostawiono tylko czerwień) są wzbogacone kilkudziesięciu, dobranymi stosownie do tematyki cytatami z publikacji dotyczących teorii laicyzacji i świeckiej obrzędowości. Niektóre wyimki świadczą np. o żywotnych, *nomen omen*, problemach organizatorów świeckich pogrzebów: „Warto przy tej okazji zwrócić uwagę na fakt, że w sklepach spotykamy tylko trumny z symboliką wyznania katolickiego. W przypadku zamówienia innej trzeba dopiero zrywać dewocjonalia. Czy nie należałoby zatem wprowadzić przepisu sprzedaży trumien bez owych symboli? Dopiero na wyraźne życzenie kupującego opatrzyć ją w odpowiednie dekoracje”. Inne cytaty świadczą o tym, jak trudno było nawet najbardziej twardegłowym komunistom unikać odwoływania się do motywów wywodzących się np. z Biblii („Polska socjalistyczna to świątynia nie do zburzenia. Powstała ona z krwi i trudu klasy robotniczej i mas ludowych i na nich się opiera” – powiedział Władysław Gomułka w sejmie 21 lipca 1966 roku).

Całość albumu dopełniają komentarze autorek – zwięzłe, napisane przystępnym językiem i rzetelne, choć – co naturalne dla takiej formy publikacji, i co zresztą same badaczki zaznaczają we wstępie – niewyczerpujące zagadnienia procesu laicyzacji w PRL. Album *Za Marksem bez Boga*, dzięki przejrzystej formie, z całą pewnością okaże się pomocny naukowcom zajmującym się staraniami komunistów o wykorzenie religii z polskiego społeczeństwa. Ciekawa ikonografia z kolei zachęci może każdego, kto tylko amatorsko interesuje się życiem codziennym w PRL. Dla takich osób może to być znakomity upominek pod choinkę. Oczywiście od Mikołaja, nie od Dziadka Mroza. 🍷



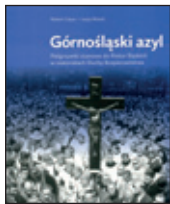
Łucja Marek,
Monika Bortlik-Dźwierzyńska,
Za Marksem bez Boga. Laicyzacja życia społecznego w Polsce w latach 1945–1989, IPN,
Katowice 2014, 376 s.



■ *Armia Krajowa w dokumentach 1939-1945, t. 1, cz. 1: Wrzesień 1939 - czerwiec 1941*, wyd. II (poprawione i uzupełnione), IPN, Studium Polski Podziemnej - Instytut Polski i Muzeum gen. Sikorskiego w Londynie, Warszawa 2015, 464 s. + 24 s. wkł. ilustr. + mapy



■ *Armia Krajowa w dokumentach 1939-1945, t. 1, cz. 2: Wrzesień 1939 - czerwiec 1941*, wyd. II (poprawione i uzupełnione), IPN, Studium Polski Podziemnej - Instytut Polski i Muzeum gen. Sikorskiego w Londynie, Warszawa 2015, 508 s. + mapa



■ Robert Ciupa, Łucja Marek, *Górnośląski azyl. Pielgrzymki stanowe do Piekar Śląskich w materiałach Służby Bezpieczeństwa*. Katalog wystawy, IPN, Drukpol sp.j., Katowice 2015, 80 s.



■ *Drogi do „Solidarności”*, red. F. Musiał, t. 23 serii: *Z archiwów bezpieki - nieznanne karty PRL*, IPN, Ośrodek Myśli Politycznej, Kraków 2015, 165 s.



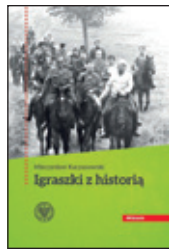
■ *Granice kompromisu. Naukowcy wobec aparatu władzy ludowej*, red. P. Franaszek, IPN, Warszawa 2015, 343 s.



■ Andrzej Grajewski, Michał Skwara, *Agca nie był sam. Wokół udziału komunistycznych służb specjalnych w zamachu na Jana Pawła II*, IPN, Instytut Gość Media, Katowice 2015, 440 s.



■ Wojciech Hausner, Marek Wierzbicki, *Sto lat harcerstwa*, IPN, Warszawa 2015, 343 s.



■ Mieczysław Kaczanowski, *Igraszki z historią*, red. Marcin Stefaniak, IPN, Szczecin 2015, 218 s.



■ Marcin Kruszyński, *Uniwerytet Marii Curie-Skłodowskiej w latach 1944-1989. Zarys dziejów uczelni w warunkach PRL*, IPN, Lublin 2015, 440 s.



■ Łukasz Michalski, *Świadomość historyczna uczniów szkół ponadpodstawowych w aglomeracji warszawskiej. Raport z badań*, IPN, Warszawa 2015, 480 s.



■ *Polska pod okupacją 1939-1945*, t. 1, IPN, Warszawa 2015, 488 s. + 16 s. wkł. ilustr.



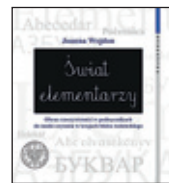
■ *Referendum z 30 czerwca 1946 roku w województwie poznańskim w dokumentach UB. Wybór źródeł*, wybór, oprac. A. Chmielewska-Metka, T. Cieślak, P. Drzymała, W. Makuch, P. Orzechowski, A. Pawlicki, IPN, Poznań 2015, 930 s.



■ *Studia nad wywiadem i kontrwywiadem Polski w XX wieku*, t. 2, red. W. Skóra, P. Skubisz, IPN, Szczecin 2015, 766 s.



■ Karolina Wichowska, *„Łączka”. Poszukiwania i identyfikacja ofiar terroru komunistycznego na warszawskich Powązkach*, IPN, Warszawa 2015, 173 s.



■ Joanna Wojdon, *Świat elementarzy. Obraz rzeczywistości w podręcznikach do nauki czytania w krajach bloku radzieckiego*, IPN, Warszawa 2015, 246 s.



■ *Wysiedlenia jako narzędzie polityki ludnościowej w Europie XX wieku*, red. J. Wołoszyn, IPN, Lublin 2015, 336 s.



■ *Z dziejów walk o niepodległość*, t. 3, red. M. Gałęzowski, S. Kalbarczyk, J. Kirszak, D. Koreś, IPN, Warszawa 2015, 680 s.

Instytut Pamięci Narodowej - Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu
02-675 Warszawa, ul. Wołoska 7

Publikacje IPN można nabyć:
w Centrum Edukacyjnym IPN im. Janusza Kurtyki
PRZYSTANEK HISTORIA, ul. Marszałkowska 21/25,
00-628 Warszawa, tel. 22 576 30 05
i w księgarni IPN, ul. Wołoska 7, 02-675 Warszawa,
tel. 22 581 86 78, 22 581 86 79.

Prenumerata „Pamięci.pl”

Szczegółowe informacje na temat prenumeraty wraz z cennikiem i formularzem zamówienia znajdują się na stronie www.pamiec.pl przy opisie najnowszego wydania. Zamówienie można złożyć telefonicznie lub wysłać wypełniony formularz zwykłą pocztą na adres IPN albo pocztą elektroniczną na adresy podane poniżej.

Sprzedaż wysyłkowa publikacji

Zamówienia można składać telefonicznie:
tel. 22 581 86 78, 22 581 86 79;
22 581 86 96; faks 22 581 89 40
pocztą zwykłą na adres IPN
pocztą elektroniczną: joanna.pamula@ipn.gov.pl;
joanna.pszczola@ipn.gov.pl; danuta.wierzman@ipn.gov.pl
lub w księgarni internetowej: www.ipn.pocztaj.pl

Nowa gra
planszowa IPN



W OBRONIE
LWOWA



Rok 1920

to nie tylko Bitwa Warszawska

16  **kontra 17**   

**Niezwykłe starcie polskiego lotnictwa
z bolszewicką kawalerią**



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

Patron medialny:

pamięć.pl



pamiec.pl/gra7

Gra „7. W obronie Lwowa” do nabycia w punktach sprzedaży IPN oraz w dobrych sklepach z grami planszowymi.

